

A high-contrast, low-angle photograph of a person walking away from the camera on a cobblestone path. The person is in silhouette, and their long shadow is cast prominently on the ground. The lighting is dramatic, with deep shadows and bright highlights on the cobblestones.

**JAMES
PATTERSON**

ALEX CROSS
MUSI ZGINAĆ

O książce

Nie oglądaj się za siebie!

Nie zastanawiaj się!

Po prostu uciekaj!

Być może Alex Cross, profiler bostońskiej policji,
właśnie tak by zrobił...

Gdyby akurat nie ścigał psychopatycznych morderców.

Gdyby nie szukał zaginionej nastolatki, którą wraz z żoną
zamierzali adoptować.

Gdyby wiedział, że sam jest na celowniku.

Elijah Creem, wzięty chirurg plastyczny, który dał się poznać policji jako amator orgii z narkotykami i nieletnimi dziewczętami, może na długie lata trafić do więzienia. Niestety, detektyw Alex Cross nie ma czasu się tym zająć. W Bostonie w krótkich odstępach czasu zostają znalezione zwłoki trzech brutalnie zamordowanych młodych kobiet. W dwóch przypadkach wszystko wskazuje na to, że chodzi o dzieło jednego sprawcy. Seryjny zabójca? Jeśli tak, to w mieście grasuje ich dwóch, bo w tym samym czasie giną młodzi mężczyźni, zabijani w ten sam, spektakularny sposób. Tymczasem ktoś próbuje załatwić z Crossem swoje osobiste porachunki. I najwyraźniej nie poprzestanie na zniszczeniu mu reputacji.

**JAMES
PATTERSON**

ALEX CROSS
MUSI ZGINAĆ

Z angielskiego przełożył
GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK



Wydanie elektroniczne

James Patterson

Najchętniej czytany i najlepiej zarabiający amerykański pisarz. Zdobywca Nagrody im. Edgara Alana Poe. Światową sławę przyniósł mu thriller **W sieci pająka** (pierwszy z serii liczącej ponad 20 tytułów), w którym pojawia się czarnoskóry policjant z Waszyngtonu, doktor psychologii Alex Cross, tropiący seryjnych zabójców. Kolejne książki – wciągające mieszanki nieoczekiwanych zwrotów akcji, oszałamiającego tempa narracji i niesłabnącego ani na chwilę napięcia – umocniły pozycję Pattersona na czele rankingów sprzedaży. Trzy powieści z Alexem Crossem doczekały się ekranizacji – z udziałem Morgana Freemana („Kolekcjoner”, „W sieci pająka”) oraz Tylera Perry’ego („Alex Cross”).

www.jamespatterson.com

Tego autora

DOM PRZY PLAŻY
DROGA PRZY PLAŻY

KRZYŻOWIEC

MIESIĄC MIODOWY

RATOWNIK

SĘDZIA I KAT

SZYBKI NUMER

OSTRZEŻENIE

BIKINI

REJS

POCZTÓWKOWI ZABÓJCY

(z Lizą Marklund)

KŁAMSTWO DOSKONAŁE

WYCOFAJ SIĘ ALBO ZGINIESZ

DRUGI MIESIĄC MIODOWY

Kobiocy Klub Zbrodni

TRZY OBLICZA ZEMSTY

CZWARTY LIPCA

PIĄTY JEŻDZIEC APOKALIPSY

SZÓSTY CEL

SIÓDME NIEBO

ÓSMA SPOWIEDŹ

DZIEWIĄTY WYROK

Alex Cross

W SIECI PAJĄKA

KOLEKCJONER

JACK I JILL

FIOŁKI SĄ NIEBIESKIE
CZTERY ŚLEPE MYSZKI
WIELKI ZŁY WILK
NA SZLAKU TERRORU
MARY, MARY
ALEX CROSS
PODWÓJNA GRA
TROPICIEL
PROCES ALEXA CROSSA
GRA W KOTKA I MYSZKĘ
JA, ALEX CROSS
W KRZYŻOWYM OGNIU
ZABIĆ ALEXA CROSSA
ALEX CROSS MUSI ZGINĄĆ

Michael Bennett

NEGOCJATOR
TERROR NA MANHATTANIE
NAJGORSZA SPRAWA

Private Investigations

DETEKTYWI Z PRIVATE
DETEKTYWI Z PRIVATE: IGRZYSKA

Tytuł oryginału:
ALEX CROSS, RUN

Copyright © James Patterson 2013
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Grzegorz Kołodziejczyk 2015

Redakcja: Monika Strzelczyk

Zdjęcie na okładce: © Mark Owen/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-263-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em](#)

Spis treści

[Prolog. Umrzyj młodo, a trup twój będzie piękny](#)

[Część pierwsza. Zwycięstwo, porażka lub remis](#)

[Część druga. Wskazówka](#)

[Część trzecia. Padasz trupem, ślicznotko](#)

[Część czwarta. Wszyscy padnij](#)

[Epilog. Krąg życia](#)

Prolog

**Umrzyj młodo, a trup twój będzie
piękny**

1

Nie co dzień zdarza mi się, by drzwi, do których pukam, otworzyła naga dziewczyna.

Dla jasności: pilnuję prawa od dwudziestu lat i takie sytuacje, owszem, bywały. Ale niezbyt często.

– Kelnerzy? – zapytała. Spojrzenie miała jasne, lecz puste. To musiało być ecstazy, zresztą zapach ziela płynął z wnętrza pokoju. Była i muzyka, owo bezlitośnie dudniące techno, które, gdybym musiał tego dłużej słuchać, jak nic pchnęłoby mnie do podcięcia sobie żył.

– Nie, to nie kelnerzy – odparłem, pokazując jej odznakę. – Policja metropolitalna, a ty włóż coś na siebie, i to raz-dwa.

Ani trochę jej to nie speszyło.

– Bo mieli przyjść – rzuciła, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Jej słowa zasmuciły mnie i zniesmaczyły zarazem. Dziewczyna wyglądała na taką, co nie skończyła jeszcze liceum, a my przyszliśmy aresztować mężczyznę, który mógł być jej ojcem.

– Przeszukaj jej ubrania, zanim je włoży – zwróciłem się do jednej z policjantek. Oprócz mnie było pięcioro mundurowych, ktoś z wydziału młodzieżowo-rodzinnego, trzech detektywów z wydziału do spraw prostytutki oraz trzech z drugiego okręgu, w tym mój przyjaciel John Sampson.

Drugi okręg, Georgetown, nieczęsto odwiedzają ludzie z obyczajówki. Kamienica z białej cegły przy N Street, do której wkroczyliśmy, jedna z wielu podobnych w kwartale, była pewnie warta pięć milionów z górką. Wynajmowała ją podstawiona osoba i płaciła czynsz za pół roku z góry, jednak dokumenty prowadziły do właściciela, którym był doktor Elijah Creem, jeden z najbardziej wziętych chirurgów plastycznych

w Waszyngtonie. Odkryliśmy, że za rzekome imprezy biznesowe płacił z lewych funduszy, a jego współnik w przekręcie, Josh Bergman, trudnił się dostawą landrynek.

Bergman był właścicielem Cap City Dolls, legalnie działającej agencji modelek z biurem przy M Street. Głośne plotki mówiły o tym, że firma ma podziemną filię parającą się handlem żywym towarem. Detektywi z obyczajówki byli niemal pewni, że Bergman jedną ręką kieruje legalnym biznesem, drugą zaś podsyła klientom egzotyczne tancerki, dziewczyny do towarzystwa na jedną noc, masażystki oraz obdarzone „talentem” aktorki filmów porno. Na pierwszy rzut oka wyglądało, że takie właśnie „talenty” zapełniały lokal, osiemnastoletnie i młodsze. Z naciskiem na młodsze.

Nie mogłem się doczekać, kiedy dorwiemy w swoje łapy tych dwóch gnojów.

Patrol obserwacyjny ustalił, że tego wieczoru około dziewiętnastej Creem i Bergman przebywali w Minibarze w centrum, a od wpół do dziesiątej w tym domu uciech. Teraz pozostawało nam ich jedynie wykurzyć.

W głębi, za oddzielnym przedsionkiem, impreza trwała w najlepsze. Hol i salon były zapełnione. Wśród zabytkowych mebli, na podłogach pokrytych parkietem podskakiwali w rytm muzyki młodzi, do połowy roznegliżowani ludzie, popijając drinki z plastikowych kubków.

– Zbierz wszystkich we frontowym pomieszczeniu! – krzyknął Sampson do jednego z mundurowych. – Mamy pełny nakaz, więc zacznijcie szperać. Szukamy prochów, gotówki, ksiąg rachunkowych, notesów z adresami, telefonów komórkowych, wszystkiego. I wyłączcie tę cholerną muzykę!

Połowa naszej ekipy została, by zabezpieczyć frontową część domu, reszta zaś ruszyła w głąb; tam także trwała zabawa.

W połączonej z salonem kuchni, obok wyspy z marmurowym blatem, na potęgę grano w rozbieranego pokera. Sześciu dobrze umięśnionych mężczyzn i dwa razy tyle dziewcząt w białym bieliźnie stało z kartami w dłoniach, racząc się drinkami i podając sobie skręty.

Na nasz widok się zakotłowało. Kilka dziewczyn krzyknęło i chciało się wymknąć, ale zdążyliśmy odciąć im drogę.

Ktoś wreszcie wyłączył muzykę.

– Gdzie są Elijah Creem i Joshua Bergman? – zapytał Sampson. – Pierwszy, kto odpowie mi poprawnie na to pytanie, będzie mógł spokojnie stąd wyjść.

Chuda dziewczyna w czarnym koronkowym staniku i obciętych dżinsach wskazała w stronę schodów. Po wielkości jej biustu w stosunku do reszty ciała oceniłem, że już co najmniej raz zaznała noża doktora Creema.

– Tam – rzuciła.

– Zdzira – mruknął ktoś pod nosem.

Sampson skinął na mnie zakrzywionym palcem i ruszyliśmy na górę.

– Mogę już iść?! – zawołała dziewczyna.

– Sprawdzimy twoje słowa – odrzekł Sampson.

Kiedy dotarliśmy do holu na piętrze, nikogo tam nie było. Jedyne oświetlenie zapewniała elektryczna lampka żeglarska stojąca na połyskliwym zabytkowym stoliku przy schodach. Na ścianach wisiały portrety jeźdźców konnych, a podłogę przykrywał długi orientalny chodnik sięgający aż do zamkniętych podwójnych drzwi po przeciwnej stronie domu. Nawet z tego miejsca słyszałem dudniącą tam muzykę. Był to stary kawałek Talking Heads, *Burning Down the House*.

Uważaj, bo możesz znaleźć, czego szukasz.

Odlotowe kociaki, dziwne, lecz nie obce.

Usłyszałem również dwa męskie głosy.

„O właśnie, skarbie. Ciut bliżej. A teraz ściągnij jej majtki”.

„Tak, to się nazywa odkrywać skarb”.

Sampson spojrzał na mnie, jakby zachciało mu się rzygać. Albo kogoś ukatrupić.

– No to do roboty – powiedział i ruszyliśmy korytarzem.

2

– Policja! Wchodzimy!

Grzmiący okrzyk Sampsona zagłuszył wszystko. Mój kumpel rąbnął pięścią w mahoniowe drzwi – tak pewnie, według niego, wyglądało grzeczne pukanie – po czym mocno je pchnął.

Elijah Creem stał tuż za nimi i wyglądał co do joty jak na zdjęciach, które widziałem: gładko zaczesane do tyłu włosy, kwadratowa broda z przedziałkiem, perfekcyjny garnitur zębów ze sztucznym szkliwem.

On i Bergman byli całkowicie ubrani, ale pozostała trójka już nie. Bergman trzymał przed sobą iPhone'a i filmował dziwaczny trójkąt, który odgrywał swoją scenkę na olbrzymim łóżku z ozdobnym wezglowiem.

Jedna dziewczyna leżała płasko z rozpiętym stanikiem i jasnoczerwonymi stringami ściągniętymi do kostek. Miała także na sobie przezroczystą maskę tlenową, która była przywiązana do wysokiego, szarego metalowego zbiornika obok łóżka. Leżący na niej chłopak był całkiem goły, jeśli nie liczyć czarnej opaski na oczach. Druga dziewczyna stała nad nim z małą kamerą cyfrową i nagrywała scenę.

– Co tu się dzieje, do cholery? – rzucił Creem.

– O to samo chciałem zapytać – odparłem. – Nikt się nie rusza.

Wszyscy gapili się na nas, z wyjątkiem dziewczyny w masce. Ta sprawiała wrażenie nieobecnej.

– Co jest w tej butli? – spytałem, kiedy Sampson do niej podszedł.

– To tylko podtlenek azotu – odrzekł Creem. – Spokojnie, nic jej nie będzie.

– Wal się – burknął John i zdjął dziewczynie maskę.

Oszołomienie podtlenkiem azotu trwa dość krótko, ale nawet przez sekundę nie myślałem, że jest to jedyny środek, który wzięły te dzieciaki. Na nocnym stoliku wałało się kilka niebieskich tabletek; domyśliłem się, że to

ecstasy. Było tam również parę małych brązowych szklanych buteleczek, prawdopodobnie z azotynem amylu, oraz do połowy opróżniona butelka tequili Cuervo Reserva.

– Proszę mnie posłuchać – odezwał się Creem, patrząc mi prosto w oczy. Wyglądało na to, że on tu rządzi. – Widzi pan tę walizeczkę, tam w rogu?

– Elijah, co ty kombinujesz? – odezwał się Bergman, lecz Creem nie odpowiedział. Wciąż patrzył na mnie, jakby w pomieszczeniu nikogo więcej nie było.

– Jest w niej trzydzieści tysięcy dolarów. – Znacząco przeniósł wzrok z aktówki stojącej na zabytkowym sekretarzyku na jedno z trzech okien. Wszystkie zasłony z frędzlami były zaciągnięte, lecz nie miałem wątpliwości, co mu chodzi po głowie. – Ile czasu, pana zdaniem, można kupić za trzydzieści tysięcy dolców? – Facet okazywał niewiarygodny spokój. Oraz arogancję. Chyba naprawdę myślał, że na to pójdę.

– Nie wygląda mi pan na jednego z tych, co pryskają przez okno, Creem – odparłem.

– W zasadzie nie, ale jeśli wie pan, kim jestem, rozumie pan, że stawka jest dla mnie dość wysoka. Rodzina, praktyka lekarska...

– Tylko w ubiegłym roku sześć i pół miliona dochodu – wpadłem mu w słowo. – Tak wynika z naszych danych.

– No i moja reputacja, rzecz jasna, która jest w tym mieście bezcenna. A więc jak będzie, detektywie? Umowa stoi?

Myślamy był już prawie za oknem. Ten gość przywykł, że dostaje to, czego sobie zażyczy. Ja jednak nie byłem siedemnastolatką, która ma problemy z określeniem własnej tożsamości.

– Zdaje się, że mój kolega wyraził to najlepiej – odparłem. – Jak powiedziałeś, John?

– Pierdol się, czy coś w tym rodzaju – odrzekł Sampson. – Ile lat mają te szczeniaki, Creem?

Po raz pierwszy wyniosła maska doktora zaczęła pękać. Głupawy uśmiešek rozpląnął się, gałki oczne poruszyły się szybciej.

– Proszę. Gotówki jest więcej, o wiele więcej. Na pewno się dogadamy.

Ale nie miałem ochoty go dłużej słuchać.

– Ma pan prawo zachować milczenie...

– Nie chcę błagać.

– A więc proszę tego nie robić. Wszystko, co pan powie, może być i zostanie wykorzystane przeciwko panu...

– Na litość boską, zrujnujcie mnie! Zdaje pan sobie z tego sprawę?

Jego narcystyczne ego wręcz porażało. A jeszcze bardziej porażało to, że nie zdawał sobie sprawy, jakich czynów się dopuścił.

– Nie, doktorze Creem – powiedziałem, podchodząc do niego z tyłu i zakładając mu kajdanki. – Sam pan to zrobił.

3

Dwa miesiące po tym, jak skandal z udziałem Elijaha Creema eksplodował na czołówkach gazet, jego bohater gotów był do zmiany postawy. I to dużej. Wprost nie do wiary, ile można zdziałać, mając trochę czasu, dobrego prawnika i masę gotówki.

Jeszcze się do końca nie wykaraskał, a gotówka musiała się kiedyś wyczerpać. Zwłaszcza jeśli Miranda miała w tej kwestii coś do powiedzenia. Porozumiewała się z nim teraz wyłącznie przez adwokata; nie miał także prawa widywać się z Chloe i Justine. Przyszła była pani Creem wysłała je do swoich rodziców w Newport. Adwokat twierdził, że właśnie tam obie skończą szkołę.

Milczenie dziewcząt brzmiało ogłuszająco. Wszystkie trzy blond piękności doktora, Miranda, Justine i Chloe, odwróciły się od niego i trzasnęły drzwiami.

Jeśli zaś chodzi o praktykę medyczną, to od czasu, gdy w prasie podano, że doktor Creem (co podlejsze szmatławce przekreśliły nazwisko na Creep¹) od niektórych nieletnich protegowanych Joshui Bergmana pobierał zapłatę w formie usług seksualnych, nie zgłosił się do niego nikt ani na konsultację, ani tym bardziej na zabieg. Niewielka kolekcja nagrań wideo, którą zgromadził na domowym komputerze, obciążała go na tyle, że w razie procesu sądowego istniało bardzo realne zagrożenie, że wyląduje w pudle.

Elijah Creem jednak ani myślał do tego dopuścić. Jak brzmi to stare oklepane powiedzonko? Dziś jest pierwszy dzień reszty twojego życia.

O tak! Elijah zamierzał postąpić zgodnie z tą maksymą.

– Nie mogę iść do więzienia – powiedział mu przez telefon Josuha. – Nie to, że nie chcę. Mam na myśli to, że nie mogę. Wydaje mi się, że nie dałbym tam sobie rady.

Creem zakrył dłonią słuchawkę Bluetooth w uchu, by lepiej słyszeć oraz nie zostać podsłuchanym przez przechodniów na M Street.

– Poradziłybyś sobie lepiej niż ja, żeby to trafiło na ciebie, Joshua. Ty przynajmniej lubisz kutasy.

– Mówię poważnie, Elijah.

– Żartowałem, Josh. I wierz mi, nie uśmiecha mi się to bardziej niż tobie. I dlatego nie dopuścimy, by do tego doszło.

– Gdzie ty w ogóle jesteś? – chciał wiedzieć Joshua Bergman. – Twój głos jakoś dziwnie brzmi.

– To maska – odparł Creem.

– Maska?

– Tak. Właśnie to usiłowałem ci powiedzieć. Nastąpiła zmiana planów.

Maska uformowana ze skomplikowanego lateksowego kompozytu łączyła w sobie cechy wielu ludzkich twarzy. Najnowszy gadżet. Creem eksperymentował z nią od czasu, gdy wybuchł skandal, a jego sławne oblicze stało się dla niego obciążeniem. Przechodząc obok tafli szkła, za którą mieściła się siedziba firmy Design Within Reach, z trudem sam siebie rozpoznawał. Widział jedynie szpetnego starucha: szara skóra, zapadnięte policzki, nędzna resztkę suchych srebrnych włosów na skórze czaszki pokrytej plamami wątrobowymi. Doprawdy spektakularny efekt. Można było się w nim doszukać czegoś poetyckiego. Odbicie starca w szybie przypominało ludzką ruinę, i tak doktor Creem czuł się ostatnio.

Okulary z ciemnymi oprawkami zasłaniały otwory wokół oczu. I choć miał nieprzyjemne wrażenie skrępowania ust, dopasowana maska pozwalała mówić, pić, jeść, robić właściwie wszystko.

– Nie chciałem ci tego ujawniać, dopóki nie byłem pewny, że się powiedzie – ciągnął – ale mam dla ciebie niespodziankę.

– Co? Jaką niespodziankę? – zaciekawił się Bergman.

– Pamiętasz Fort Lauderdale?

Nastąpiła długa pauza, po której padła cicha odpowiedź:

– No pewnie.

– Początek wiosny tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego.

– Przecież mówię, że pamiętam – burknął Bergman, lecz po chwili jego głos znowu złagodniał. – Byliśmy wtedy niemowlakami.

– Wiem, minęło dużo czasu. Sporo o tym myślałem i nie zamierzam zapaść się w mrok po cichu. A ty?

– Boże drogi, nie. Ale to przecież ty sam...

– Wiem, co powiedziałem. To było dawno, a teraz jest teraz.

Creem usłyszał, jak przyjaciel bierze długi powolny oddech.

– O Jezu, Elijah. Naprawdę? – W głosie Bergmana dał się słyszeć strach, lecz więcej niż strachu było w nim ekscytacji. Poza lękliwością cechowała go jeszcze inna, osobliwa skłonność. Morderstwa zawsze podniecały go bardziej niż Creema.

Ten drugi widział w nich przede wszystkim katharsis. Stanowiły środek do osiągnięcia celu. Ale tym razem chodziło mu po głowie coś zupełnie nowego.

– A więc... to się zdarzy naprawdę? – dociekał Bergman.

– Owszem, zrobię to – potwierdził Creem.

– Kiedy?

– Zaraz, w tej chwili. Czekam na nią, aż wyjdzie.

– Mogę posłuchać?

– Naturalnie – powiedział Creem. – Jak myślisz, dlaczego zadzwoniłem? Ale dość gadania. Oto i ona.

4

Creem ustawił się po drugiej stronie ulicy naprzeciwko ośrodka Down Dog Yoga; budynek właśnie opuszczała grupa, która rozpoczęła wieczorne zajęcia o dziewiętnastej czterdzieści pięć. Jako jedna z pierwszych na Potomac Street wyszła Darcy Vickers, wysoka, zgrabna blondynka.

Wzrost i jasny kolor włosów Darcy nie były jego zasługą, lecz perfekcyjne proporcje części ciała zawdzięczała właśnie jemu. Bujne piersi, doskonała symetria brwi i ust, a także kształt szczupłych ud – wszystkie te elementy jej urody należały do najlepszych osiągnięć doktora Creema.

Nigdy nie okazała mu za to ani odrobiny wdzięczności, o nie. W mniemaniu Darcy Vickers świat zapełniali jej lokaje. Stanowiła w gruncie rzeczy typowy okaz lobbystki z K Street, obdarzonej łącznie męskim poczuciem uprzywilejowania i rozpaczliwą potrzebą zachowania urody najdłużej jak to możliwe.

Znał to wszystko na pamięć. Tak jakby widział na własnym domowym podwórku.

Czekał przed lokalem Dean & Deluca, ona zaś pędziła, by posilić się tym, co kobiety jej pokroju raczą jadać w dzisiejszych czasach. Obserwował, jak stoi w kolejce do kasy, rozmawiając przez komórkę i na nic nie zwracając uwagi. Następnie przekroczył ulicę i ruszył pokrytą staroświeckimi kocimi łbami alejką ku garażowi, w którym stało zaparkowane bmw Darcy.

Nie musiał zachowywać dużej odległości. Prezentował się jak pierwszy lepszy dziadyga w wiatrówce i butach ortopedycznych, prawie niewidzialny dla takiej damy jak Darcy Vickers. Zanim dotarli na opustoszały trzeci poziom garażu, zmniejszył dystans do jakichś sześciu metrów.

Darcy wcisnęła guzik pilota, który trzymała w ręce, i drzwi otworzyły się z miękkim stuknięciem. W tej samej chwili Creem przystąpił do działania.

– Przepraszam... Miranda? – zagadnął nieco zaleknionym głosem.

– Niestety nie. – Darcy wrzuciła do bagażnika torbę na zakupy i fioletową matę do ćwiczeń. Nawet na niego nie zerknęła.

– Dziwne, bo taka pani podobna. – Nie zareagowała, więc postąpił o krok, przekraczając niedostrzegalną granicę przestrzeni osobistej. – Właściwie prawie taka sama.

Gdy odwróciła się, na jej twarzy, mimo botoksu, pojawił się wyraz rozdrażnienia.

– Słuchaj pan, nie chcę być niegrzeczna...

– Ależ ty nigdy nie jesteś niegrzeczna, Mirando.

Kiedy znalazł się tuż obok, uniosła rękę, by go odepchnąć, ale doktor Creem miał więcej siły niż staruszek, na jakiego wyglądał. I więcej niż Darcy Vickers. Palce jego prawej dłoni zacisnęły się na jej nadgarstku. Lewa zatkała usta, gdy kobieta usiłowała krzyknąć.

– To ja, skarbieńku – szepnął. – Twój mąż. I nie obawiaj się, wszystko jest wybaczone.

Zamilkł na krótką chwilę, by ujrzeć zaskoczenie w jej oczach, a potem wbił w jej brzuch nóż do steków. Milej byłoby użyć skalpela, lecz na razie musiał się powstrzymać od stosowania profesjonalnych narzędzi.

Całe powietrze uleciało z płuc Darcy Vickers; upadła do przodu, zginając się wóół. Wyjęcie noża kosztowało doktora nieco wysiłku, lecz po chwili ostrze wyszło.

Podciął ofiarę szybkim kopnięciem w kostki, dźwignął ją i wpakował do bagażnika. Nawet się nie szamotała. Rozległo się parę gulgoczących dźwięków, zakrztusiła się i próbowała złapać oddech.

Nachylił się, by odgłosy za pośrednictwem telefonu dotarły do uszu Bergmana. Potem zadał drugie pchnięcie, tym razem w klatkę piersiową. A następnie jeszcze jedno w tętnicę udową, tak by przekreślić wszelkie szanse ratunku.

Ujął w dłonie blond włosy i szybko oderznął je ząbkowaną krawędzią noża. Potem chwycił jeszcze raz i spod nierównych kęp wyjrzała skóra

głowy. Jedną garść włosów zachował dla siebie i włożył do torby, a resztę zostawił rozrzucone wokół ciała.

Zginęła tak samo paskudnie, jak żyła. A doktor Creem niemal od razu poczuł się lepiej.

Dokonawszy dzieła, zamknął bagażnik i odszedł. Najbliższymi schodami skierował się ku M Street. Nie odezwał się, dopóki nie oddalił się od garażu i nie znalazł na chodniku.

– Joshua, jesteś tam?

Bergman odpowiedział dopiero po paru sekundach.

– Tak, jestem... – Jego głos był przerywany, ledwie głośniejszy od szeptu.

– Czy ty... – Creem uśmiechnął się, choć odczuwał lekkie zniesmaczenie. – Joshua, czy ty się onanizujesz?

– Nie – zaprzeczył ciut za szybko jego przyjaciel. Należało mu oddać, że miał coś w rodzaju poczucia skromności zaprawionego ironią. – Załatwione? – spytał.

– Podpisane, zapieczętowane i doręczone – oznajmił Creem. – A ty wiesz, co to oznacza.

– Tak – potwierdził Bergman.

– Twój ruch, stary koleżko. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, co upichcisz.

Część pierwsza

Zwycięstwo, porażka lub remis

Rozdział 1

Szóstego kwietnia w ciemności poprzedzającej świt Ron Guidice siedział za kierownicą swojego samochodu i śledził wzrokiem budynek po przeciwnej stronie ulicy.

Dom Alexa Crossa nie był niczym nadzwyczajnym. Dwupiętrowy, obity białą deską, stał przy Piątej Ulicy w stołecznej dzielnicy Southeast. Okiennice czekały na pociągnięcie farbą. Przed frontem na pochyłości rozsiadł się mały schludny ogródek z ziołami.

Cross mieszkał w nim z babką, żoną oraz dwojgiem z trojga ich dzieci, Janelle i Alexem juniorem zwanym Alim. Najstarszy syn, Damon, akurat przyjechał do domu na ferie wiosenne, lecz większość czasu spędzał w szkolnym internacie. W domu mieszkało oprócz tego przybrane dziecko, Ava Williams. Nie było jasne, czy sprawa zmierza ku adopcji. Guidice musiał poszperać głębiej. O śledzonych obiektach lubił wiedzieć jak najwięcej.

Miał na liście jeszcze kilkunastu funkcjonariuszy policji metropolitalnej i obserwował ich wszystkich, by móc porównywać. Jednakże Cross był wyjątkowy. To właśnie jego Guidice pragnął uśmiercić.

Ale jeszcze nie teraz.

Zabić człowieka to łatwizna, byle tępak z pistoletem może wpakować komuś kulkę w głowę. Ale przejrzeć go naprawdę, poznać jego słabe punkty, dowiedzieć się, gdzie najlepiej uderzyć, rozłożyć na kawałki jego życie... To jest już masa roboty.

Tymczasem Cross – czy o tym wiedział, czy nie – miał przed sobą ważny dzień.

Guidice spoglądał na frontowe okna domu i czekał, aż zapali się światło. Ściśle rzecz biorąc, nie musiał spędzać tyle czasu na obserwacji obiektu, ale sprawiało mu to przyjemność. Lubiał spokój wczesnych godzin rannych,

nawet jeśli oznaczało to beczynne siedzenie i przyswajanie nieistotnych z pozoru szczegółów: wyrwy w betonowych schodach, ekologicznej żarówki na ganku. Wszystkie detale składały się na szerszy obraz i nigdy nie wiadomo, który drobny fragment układanki okaże się na koniec z jakiegoś powodu istotny. Guidice urozmaicał sobie czas, zapisując spostrzeżenia w kołonotatniku, który trzymał na kolanach.

Tuż po piątej na tylnym siedzeniu coś zachrobotało.

– Tato? Już czas wstawać?

– Nie, skarbie – odparł Guidice, nie unosząc głowy i nie spuszczać wzroku z domu. – Możesz sobie dalej lulać.

Emma Lee kuliła się w wojskowym śpiworze ze swoją ulubioną lalką Barbie o imieniu Cee-Cee. Na poduszce leżała książka o Kopciuszkę. Wybrała ją z powodu widocznych na obrazku myszek pomocniczek, które z jakiegoś powodu ubóstwiała.

– Zaśpiewasz mi coś? – zapytała dziewczynka. – *Sza, dziecinko?*

Guidice się uśmiechnął. Emma Lee zawsze prosiła o piosenki, cytując ich pierwsze słowa.

– *Sza, dziecinko, nie mów nic* – zaśpiewał cicho. – *Tatusz kupi drozda ci...*

W domu Alexa, w holu od frontu, zapaliło się światło. Przez zmatowioną szybę drzwi Guidice dostrzegł ciemną sylwetkę postawnego mężczyzny schodzącego po schodach.

Śledził go wzrokiem, nie przestając śpiewać.

– *A jak drozd nie zechce śpiewać, pierścionek z brylantem tatusz ci przyniesie...*

– Prawdziwy? – wtrąciła Emma Lee. Za każdym razem zadawała to samo pytanie. – Prawdziwy pierścionek z brylantem?

– No pewnie – odrzekł. – Kiedyś, gdy trochę podrośniesz.

Zerknął przez ramię i spojrzał w łagodne zaspane oczy córki. Czy można kogoś bardziej kochać, niż on ją kochał? Chyba nie.

– A teraz już śpij, Misiu. Kiedy się obudzisz, będziemy w domu.

Rozdział 2

Pierwsze wezwanie odebrałem tego dnia około drugiej po południu.

W garażu w Georgetown znaleziono zwłoki kobiety, tkwiły w bagażniku jej samochodu. Dość nietypowe wydarzenie jak na tę dzielnicę, więc włosy zjeżyły mi się bardziej niż zwykle w takich sytuacjach. Z wielkim kubkiem kawy zjechałem windą na dół aż do parkingu w Daly Building. Zapowiadał się diabelnie długi dzień.

Mówię tak, ale mimo to lubię swoją robotę. Lubię dawać głos tym, którzy nie mogą już przemawiać – tym, którym głos odebrano. W mojej profesji oznacza to zwykle, że padli ofiarą jakiejś formy przemocy.

Funkcjonariusz dyżurny przyjął zgłoszenie od stróża pilnującego garażu American Allied Parking przy M Street, który zauważył plamę wyglądającą jak zakrzepnięta krew pod bmw należącym do niejakiej Darcy Vickers. Kiedy gliniarze przybyli na miejsce, wyważyli klapę bagażnika i potwierdzili to, co wcześniej podejrzewali. Pani Vickers nie dawała oznak życia, już od pewnego czasu była martwa. Potem czekali na przybycie detektywa z wydziału zabójstw, który miał przejąć dochodzenie.

Właśnie wtedy wkroczyłem do akcji. Tak mi się w każdym razie zdawało.

Był piękny słoneczny dzień, najbardziej urokliwa pora roku w Waszyngtonie. Trwał ogólnokrajowy festiwal kwitnących wiśni, na mieszkańców nie spadła jeszcze pierwsza fala letniej duchoty oraz turystów. Jechałem z opuszczonymi szybami, z głośników płynęły donośne dźwięki *Soul Bossa Nostra* Quincy'ego Jonesa; ledwo usłyszałem telefon, kiedy sygnał odezwał się po raz drugi.

Wyświetlił się numer sierżant Marti Huizengi, mojej przełożonej w wydziale przestępstw ciężkich. Ściszyłem dźwięk i odebrałem, zanim połączenie zostało przekierowane na pocztę głosową.

– Doktorze C. – odezwała się Marti. – Gdzie jesteś?

– Róg Pennsylvania i Dwudziestej Pierwszej. Czemu pytasz?

– To dobrze. Skręć w prawo w New Hampshire. Przed chwilą pojawiły się drugie zwłoki i prawdę powiedziawszy, wyglądają koszmarnie.

– A ty od razu pomyślałaś o mnie.

– Nee. Chcę, żeby ktoś od razu dotarł na miejsce. A wygląda to strasznie, Alex. Nieżywa dziewczyna zwisa z okna na piątym piętrze. Możliwe samobójstwo, ale nie wiem.

– Chcesz, żebyśmy pojechali tam zamiast do Georgetown?

– Chcę cię i tam, i tam – wyjaśniła Huizenga. – Przynajmniej na razie. Chodzi mi o to, żeby jedna para oczu zerknęła na obie sceny, i to jak najszybciej. Później usłyszę od ciebie, że to był tylko zbieg okoliczności, dobrze? Bardzo proszę.

Huizenga miała tak czarne poczucie humoru, jak czasem ja. Lubiłem z nią pracować. Oboje wiedzieliśmy, jaka jest różnica między niepowiązanymi przypadkami śmierci a tymi, które są ze sobą powiązane. Taka sama jak między niedosypianiem przez dwie doby i całkowitym brakiem snu.

– Zrobię, co w mojej mocy – zapewniłem.

– Vernon Street, między Osiemnastą a Dwudziestą. Powiem tym z drugiego okręgu, żeby w garażu w Georgetown zaczęli bez ciebie, ale postaraj się dotrzeć tam migiem.

Równie dobrze można dyktować chmurom, kiedy ma spaść deszcz. Nie miałem pojęcia, ile czasu spędzę przy dopiero co znalezionych zwłokach. Nigdy tego nie wiadomo, dopóki człowiek nie dotrze na miejsce.

Jak się okazało, czekał tam na mnie istny koszmar.

Rozdział 3

Vernon Street to wysadzana drzewami uliczka biegnąca wzdłuż jednego kwartału przy zachodnim końcu U Street. Leży w spokojnej dzielnicy mieszkalnej, ale gdy tylko skręciłem z Osiemnastej, zobaczyłem tłum ludzi zgromadzony na chodniku. Większość zadzierała głowy, wskazując ceglany budynek z mansardowym dachem na południowej stronie ulicy.

Wysiadłem i od razu ją zobaczyłem. To było jak cios w żebra. Dziewczyna wisiała na sznurze zawiązanym na szyi, jakiś metr poniżej okna na piątym piętrze. Wyraźnie było widać odbarwienie twarzy, ręce miała skrępowane z tyłu.

O Jezuu, o Jezuu.

Przed budynkiem ustawiły się dwa radiowozy i karetka, lecz jedynym funkcjonariuszem, jakiego zobaczyłem, był ten, który stał w drzwiach kamienicy. Pozostałą część chodnika wypełniali gapie pstrykający zdjęcia telefonami i aparatami fotograficznymi. Wnerwiło mnie to i zadziwiło zarazem.

– Odgrodzić ulicę, i to już! – nakazałem gliniarzowi. – Kiedy dojdę na górę, nie chcę stamtąd zobaczyć nikogo na chodniku, jasne?

Wiedziałem, że ma pełne ręce roboty, ale nie potrafiłem opanować złości. Ta dziewczyna była czyjąś córką, miała rodzinę. Ci ludzie na pewno nie chcieliby ujrzeć jej zdjęcia na czyimś profilu na Facebooku, na które wszyscy mogliby się gapić.

Zostawiłem mundurowego z zadaniem i zamiast wjechać windą, ruszyłem schodami. Jeśli popełniono morderstwo, to prawdopodobne, że sprawca właśnie tą drogą opuścił miejsce zbrodni. Ma się tylko jedną szansę, by zobaczyć je po raz pierwszy.

Na korytarzu piątego piętra zastałem drugiego policjanta i dwóch sanitariuszy; stali przed otwartymi drzwiami mieszkania. Na piętrze znajdowały się trzy lokale mieszkalne, wszystkie wychodziły na ulicę. Martwa dziewczyna zwisała z okna środkowego.

– Drzwi były zamknięte na klucz, kiedy tu dotarliśmy – wyjaśnił funkcjonariusz. – Ta rozłupana futryna to nasza robota. Spędziliśmy w środku tylko tyle czasu, ile było trzeba do stwierdzenia zgonu. Ale nie ręczę, że niczego nie ruszyliśmy.

Mieszkanie było małe – kawalerka z wnęką. Po jednej stronie znajdował się aneks kuchenny, a po drugiej łazienka; jej drzwi były otwarte. Obok stała niska kanapa, która prawdopodobnie pełniła także funkcję łóżka. Nigdzie nie zauważyłem śladów szamotaniny. Jedyną właściwie rzeczą, która nie pasowała do wnętrza, był staroświecki, rozłożysty drewniany wieszak oparty o otwarte okno, z pętlą liny zwisającą pośrodku.

Zmusiłem się, by powoli wejść do pokoju, a jednocześnie szukałem wzrokiem śladów wleczenia ciała. Kiedy dotarłem do okna i spojrzałem w dół, zobaczyłem wierzchołek głowy dziewczyny, do którego nie mogłem sięgnąć. Obcas jej buta przebił okno mieszkania piętro niżej, sznur krępujący dłonie był taki sam jak ten, na którym ją powieszono.

To jednak nie wykluczało samobójstwa. Wielu krępuje sobie dłonie przed jego popełnieniem, by udaremnić uwolnienie się w decydującej chwili.

Nadjechał następny radiowóz i ulica opustoszała, ale powstał inny problem. Spojrzawszy na budynek naprzeciwko, w oknach zobaczyłem kilkanaście osób, które patrzyły w moją stronę. I znowu telefony, aparaty fotograficzne. Najchętniej pokazałbym im wszystkim środkowy palec, ale się powstrzymałem.

Mimo to nie zamierzałem tego tolerować ani sekundy dłużej.

– Pomóżcie mi tutaj! – krzyknąłem w stronę korytarza.

Ściśle rzecz biorąc, zwłokami na miejscu zbrodni zajmuje się patolog, a nie funkcjonariusz. Jednak w tym momencie nie w głowie mi były niuanse regulaminu. Myślałem o nieboszczce i jej krewnych.

Już wcześniej wyjąłem telefon i zrobiłem parę zdjęć. Miałem fotografie

wieszaka, ramy okna, sznura i dziewczyny widzianej z góry. Przed przystąpieniem do realizacji mojego zamiaru musiałem zarejestrować jak najwięcej szczegółów.

– Tak? – odezwał się policjant za moimi plecami.

– Pomóżcie mi ją wciągnąć.

– Hm... A nie poczeka pan na patologa?

– Nie – odparłem, wskazując ręką publikę zgromadzoną po drugiej stronie ulicy. – Dość tego. Proszę mi pomóc albo zawołać kogoś, kto to zrobi!

Rozdział 4

Z największą ostrożnością ułożyliśmy dziewczynę na podłodze, nie zdejmując jej sznura z szyi. Chodziło mi tylko o to, żeby nie wisiała na widoku. Resztę można było pozostawić śledztwu.

Nazywała się Elizabeth Reilly. Z prawa jazdy, które znalazłem w torebce przy drzwiach, dowiedziałem się, że do dwudziestu jeden lat brakowało jej dwóch tygodni. Wszystkie znaki w mieszkaniu wskazywały, że ma jednego lokatora; w lodówce leżały mrożonki, a w łazience wisiały równo obok siebie ręcznik i myjka.

Oczywiście kryło się w nim więcej, ale niczego jeszcze nie dostrzegałem.

Przyjechał patolog i ucieszyłem się, że jest nim Joan Bradbury. Joan to wyluzowana, sześćdziesięcioletnia Teksanka. O ile mi wiadomo, nigdy nie przyszła do pracy w innym obuwiu niż wyszywane kowbojskie botki, nawet po dwudziestu latach spędzonych w stolicy. Apodyktyczna, ale nie upierdliwa. Zobaczywszy, jak postąpiłem ze zwłokami, nie palnęła mi wykładu. Ma cztery córki i chyba instynktownie wyczuła, czym się kierowałem.

Zabrała się do wstępnych oględzin, ja tymczasem wysłałem funkcjonariuszy śledczych, by pukali do drzwi zwłaszcza tych mieszkań, które znajdowały się po przeciwnej stronie ulicy. Ofiarę powieszono w biały dzień, ktoś musiał coś zauważyć.

Od sierżant Huizengi dostałem więcej informacji o Elizabeth Reilly. Uczyła się na pielęgniarkę w Radians College przy Vermont Avenue, lecz w grudniu ubiegłego roku zrezygnowała z nauki. Na razie nic nie było wiadomo o jej zatrudnieniu; miała jeden mandat za parkowanie, ale poza tym jej kartoteka raziała czystością.

Kiedy znalazłem się znów obok Joan, już owijano zwłoki i umieszczano w worku, by przygotować je do transportu do kostnicy.

– Będzie mi potrzebna pełna autopsja, ale coś mi się wydaje, że dziewczyna już nie żyła, kiedy zawisała za oknem – zakomunikowała patolog.
– Być może uduszono ją tym samym sznurem.

Wskazała dłonią ciemne plamy o purpurowym zabarwieniu na dolnej części szyi Elizabeth Reilly.

– Widzi pan te obrażenia? Przypominają ślady po ręcznym duszeniu. A tam wyżej, gdzie zacisnęła się pętla... Tylko nieznaczne sińce. Gdyby w chwili, kiedy ją wieszano, w ciele płynęła krew, zsinienie byłoby ciemniejsze.

Zakołysałem się na piętach i dotknąłem dłonią brody.

– Właśnie tego się obawiałem.

– To nie wszystko, Alex.

Joan zazwyczaj wyraża się rzeczowo nawet na miejscu najokropniejszych zbrodni, lecz teraz mówiła spiętym głosem, jakiego nigdy u niej nie słyszałem. To morderstwo musiało ją poruszyć.

– Brzuch nadal jest zwiotczały, skóra na środkowej części tułowia i wokół piersi ma wyraźne pomarszczenia. Jeśli mnie wzrok nie myli, ta dziewczyna niedawno urodziła dziecko. I, Chryste Panie, to się stało naprawdę niedawno.

Rozdział 5

Był późny wieczór, kiedy dojechałem do Allied Parking w Georgetown. Miejsce zbrodni było dobrze zabezpieczone, lecz ciało Darcy Vickers już stamtąd zabrano. Później przyjdzie mi wypełnić puste miejsca dzięki zdjęciom, a tymczasem musiałem jak najlepiej się rozeznać.

Srebrne bmw 550i pani Vickers stało zaparkowane na trzecim poziomie. Tam też ją znaleziono. Oprowadził mnie Will Freemont, detektyw z drugiego okręgu. Dziwił się, że przybywam na miejsce tak późno, ale tym nie musiałem się zbytnio trapić. Moje myśli wciąż zaprzętało zabójstwo Elizabeth Reilly.

– No więc tutaj ją znaleźli – oznajmił, pokazując otwarty bagażnik. – Rany kłute tu, tu i tu – mówił, wskazując dwoma palcami swoją klatkę piersiową, brzuch i udo. – Ta pani dobrej śmierci nie miała, ale na mur beton umarła szybko, jeśli to ma jakieś znaczenie. A on, chyba tak dla zabawy, obciął jej także włosy.

Została mata do ćwiczeń jogi, parę torebek na zakupy i torba z ubraniami. Wszystko pokrywała zakrzepła krew i garście jasnych włosów; niektóre kosmyki były nią zlepione.

Sporo krwi zebrało się pod samochodem, tworząc ciemną plamę.

– Musiał się uwijać – zauważyłem. – Morderstwo w takim miejscu jest dość ryzykowne.

– On? – powiedział Freemont.

– Zgaduję – odparłem. W tej chwili mogłem wnioskować tylko na podstawie pierwszych wrażeń. – Co wiemy o Darcy Vickers?

Detektyw otworzył mały notes, taki sam jak mój, i zajrzał do środka.

– Czterdzieści dwa lata. Rozwódka, bezdzietna. Pracuje w kancelarii Kimball-Ellis przy K Street, głównie zajmuje się ochroną interesów wielkich

firm tytoniowych. Z tego, czego się dowiedziałem, miała opinię ostrej jak żyłeta.

Innymi słowy, Darcy Vickers miała wrogów co niemiara. Tak jak większość lobbystów. Ale nie każdy lobbysta kończy w bagażniku samochodu zakłuty nożem na śmierć. Komu mogło na tym zależeć? I dlaczego?

I jeszcze jedno: czy ta sprawa mogła mieć coś wspólnego z powieszeniem Elizabeth Reilly?

Nie zabrano żadnego z oczywistych przedmiotów, które zwykle są kradzione. Wiadomo było, że portfel, gotówka, telefon i biżuteria Darcy Vickers nie zniknęły. Wywnioskowałem, że motywem było samo zabójstwo, które albo miało zaspokoić potrzebę przemocy, albo umożliwić pozbycie się tej kobiety. Albo jedno i drugie.

Z tego punktu widzenia oba przypadki wydawały się podobne. Tyle że sposoby dokonania morderstw całkowicie się różniły.

Jeśli założyć, że Elizabeth Reilly nie popełniła samobójstwa, zabójca chciał ją zostawić w miejscu, w którym wszyscy mogli widzieć ofiarę. Musiał zadać sobie niemało trudu, żeby to osiągnąć. Zabicie Darcy Vickers stanowiło natomiast cel sam w sobie: najpierw zakłuł ją nożem, a później z jakichś powodów ostrzygł.

Przeczenie podpowiadało mi, że są to dwie różne sprawy, ale do rozwiązania niewiadomych pozostało jeszcze wiele. Być może te dwie kobiety coś ze sobą łączyło.

– Świadcowie? – zapytałem.

– Raczej nie – odparł Freemont. – Ale kamery bezpieczeństwa złapały coś ciekawego. – Wyjął z kieszeni plik arkuszy, rozłożył je i pokazał mi czarno-białe wydruki.

– Ten jest z wczoraj wieczór, godzina dwudziesta pierwsza cztery. Pani Vickers wchodzi wschodnim wejściem z tamtej alejki. A tuż za nią ten facet.

Zdjęcie ukazywało białego mężczyznę w średnim bądź starszym wieku. Było marnej jakości, ale pozwalało dostrzec parę szczegółów. Łysina, okulary w ciemnych oprawkach i kurtka z pagonami.

– O dwudziestej pierwszej dziewięć ten sam facet wychodzi inną drogą na M Street – ciągnął detektyw. – Można tylko zgadywać, co porabiał w tym miejscu przez pięć minut.

– A kamery na tym poziomie? – zapytałem.

– O, tam. – Wskazał zmasakrowane urządzenie w narożniku pod sklepieniem. – Ktoś ją załatwił wczoraj wieczorem tuż po dwudziestej. Rąbnął kamieniem albo czymś w tym rodzaju.

– Hm... – Zastanowiłem się. – Jeśli ten starszy facet ma z tym coś wspólnego, to dlaczego rozwalił tylko jedną kamerę? Czemu pozwolił się nagrać dwóm innym?

– Tak, dobre pytanie – przyznał detektyw. – Akcja poszukiwawcza już ruszyła. Jeśli go namierzemy, czegoś się dowiemy.

Być może, pomyślałem. Coś jednak mówiło mi, że nie będzie to takie łatwe.

Rozdział 6

Do domu wróciłem około piątej rano, z nadzieją że uda mi się parę godzin przekimać.

I chyba tak się właśnie stało. Ledwo pamiętam, jak wczółgałem się do łóżka obok mojej żony Bree. Później mignęło mi światło wpadające przez okna i nastąpił atak małej bandy skrzatoludków.

– Obudźcie się, obudźcie się! Nooo! Dziś jest wielki dzień!

Ali, najmłodszy, wgramolił się na środek łóżka i klęczał między nami. Jannie stanęła przy nogach łóżka, ubrana i gotowa.

– Jest wpół do ósmej, tato – oznajmiła. – Mamy tam być przed dziewiątą!

– Aa... tak.

– Przecież nie zapomniałeś, prawda?

– No nie, jasne, że nie. Zaraz schodzimy.

Oczywiście, że zapomniałem. Z samego rana wybierałem się na odprawę do biura patologa, a później zamierzałem uczestniczyć w autopsji Elizabeth Reilly.

Ale dzieci miały rację. Dzisiaj był ważny dzień.

Miała się odbyć loteria w Marian Anderson Public Charter School, najlepszym liceum w Southeast i jednym z najlepszych w mieście. Jannie, podobnie jak Ava, która obecnie z nami mieszkała, złożyła tam podanie wraz z czterystu dwudziestoma innymi ósmoklasistami, licząc na zdobycie jesienią jednego ze stu pięciu miejsc w pierwszych klasach. Z mocy prawa szkoły prywatne muszą urządzać loterie, kiedy popyt przewyższa podaż, co zdarza się zawsze. My zaś, na przekór wszystkiemu, liczyliśmy, że obie dziewczynki się dostaną.

– Słuchaj, to wcale nie jest konieczne, żebyś tam był – powiedziała Bree, masując mi plecy. – Oglądałam wczorajsze wiadomości, wiem, że toniesz

w robocie po uszy. Nana i ja damy sobie radę.

– Nie, pojedę. Muszę odgruzować mózg.

W ciągu paru miesięcy opuściłem Wigilię, sztukę teatralną Alego, ćwierćfinał Damona oraz większość porannych mszy w kościele, że wymienię tylko niektóre wydarzenia. Dzisiejsze było jak ostatnia cieniutka granica, a ja nie chciałem jej przekraczać. Zadzwonię do kogoś i poproszę, żeby zastąpił mnie w siedzibie patologa, dopóki nie dojadę.

Na dole babcia Nana zdążyła już włączyć kuchenkę. Kiedy weszliśmy z Bree, wszystkie dzieci siedziały przed stosami naleśników. Ostatnimi czasy dom był pełny. Damon przyjechał na ferie wiosenne i wraz z Avą dopełnili siódemkę.

– Dzień dobry, dzieci – powiedziała Nana, zwracając się naturalnie do mnie i do Bree. Jest niekwestionowaną królową naszej rodziny, kuchnia zaś to jej sala tronowa. – Z jagodami czy bez?

Skierowałem się prosto ku kawie.

– Co ty wyprawiasz? Przecież ledwie co wróciłeś do domu? – mruknęła do mnie Nana znad kuchenki. W odpowiedzi wymamrotałem coś o ważnym dniu. W tej chwili nie myślałem właściwie o niczym poza tym, że potrzebuję dawki kofeiny.

– No to kto czuje, że ma dzisiaj szczęście? – odezwała się Bree z głównego miejsca przy stole.

Ręce podnieśli wszyscy oprócz Avy, która wsuwała śniadanie w tym samym tempie co zawsze.

– A ty, Ava? – spytałem. – Cieszysz się?

Wzruszyła ramionami i odpowiedziała z ustami pełnymi naleśnika:

– I tak się nie dostanę.

– Daj spokój, nie smęć – obruszyła się Nana, wciąż stojąc przy kuchence. – Najważniejsze jest dobre nastawienie.

Jeśli mam być szczery, to nie było mi trudno zrozumieć pesymizm Avy. Była o wiele bystrzejsza, niż to ujawniała, być może nawet bystrzejsza, niż jej samej się zdawało. Jednak nie o to chodzi.

Trafiła na łono naszej rodziny przed paroma miesiącami, po tym, jak jej

matka ćpunka przedawkowała i porzuciła ją bez opieki na ulicach Southeast. Ava musiała się jeszcze zmierzyć z wieloma przeszkodami, a ja skontaktowałem ją z moją terapeutką, Adele Finaly. Po drodze miewaliśmy lepsze i gorsze dni.

Zasadniczo Ava zakodowały sobie w głowie, żeby nie oczekiwać za wiele od życia, a więc i zbyt wiele nie pragnąć. Od czasu do czasu udawało mi się, kiedy się nie pilnowała, zobaczyć u niej uśmiech; był to swoisty przebłysk potencjału, który w niej drzemał, a my mogliśmy jej dopomóc w jego odkryciu. Jedynym, czego nie miała, była nadzieja. Określiłbym to jako syndrom miejskiego getta, a nic nie tłamsi człowieka bardziej.

Jeśli istniało coś, co można było zrobić, by odmienić parszywe karty, które Ava dostawała dotąd od życia, zamierzaliśmy to uczynić.

Jeden dobry dzień po drugim, krok po kroku.

Rozdział 7

Sunąc wśród tłumu ludzi do wnętrza szkolnej sali gimnastycznej, można było pomyśleć, że odbywa się tam zabawa karnawałowa. Wszędzie unosiły się balony, nauczyciele i inni pracownicy szkoły w jasnych żółto-zielonych koszulkach witali gości szerokimi uśmiechami.

Trybuny dla widzów zostały usunięte, na podłodze rozstawiono krzesła. Kandydaci ubiegający się o przyjęcie do szkoły, rodzice, ich rodzeństwo oraz personel utworzyli niemal tysiącosobowy tłum, sala aż tętniła nerwowym podnieceniem.

Twarz Nany napięła się w chwili, gdy znaleźliśmy się w środku. Przez wzgląd na dziewczęta usiłowała trzymać się w ryzach, lecz przez czterdzieści jeden lat pracowała jako nauczycielka i miała wyrobione zdanie na temat rozpoczynającej się ceremonii.

– Mm-mm – mruknęła, rozglądając się. – Wiecie, dlaczego się tu dzisiaj znaleźliśmy? Otóż dlatego, że my, dorośli, zamiast ruszyć tyłki i postarać się o przyzwoitą edukację dla dzieci w tym mieście, proponujemy im losowanie.

Wydaje mi się, że zastój w reformie oświaty w Waszyngtonie wnerwia Nanę bardziej niż cokolwiek innego w życiu. Nie sposób było uciec przed myślą, że trzy czwarte zgromadzonych w sali osób opuści ją z rozczarowaniem. Niektórzy, zwłaszcza ci z uboższych rodzin, będą zdruzgotani. Jediną szansę darmowej nauki w szkole średniej na naszym terenie dawały tak zwane fabryki odrzutków, które kończy niespełna sześćdziesiąt procent pierwszoklasistów.

Znaleźliśmy kilka wolnych krzeseł i usadowiliśmy się. Jannie nie usiadła, rozglądała się za znajomymi, lecz Ava spokojnie zajęła miejsce.

Wreszcie, tuż po dziewiątej, dyrektor szkoły wszedł na podest, by wszystkich powitać. A potem się zaczęło. Z obrotowego pojemnika

wyjmowano karty i jedno po drugim odczytywano nazwiska.

– Monique Baxter... Leroy Esselman... Thomas Brown...

Za każdym razem rozlegał się krzyk lub pisk, w którejś części sali następowało poruszenie. Naprawdę przypominało to ciągnięcie losów na loterii. Każde wyczytane dziecko wchodziło na podest przy akompaniamencie braw personelu szkoły, by odebrać pakiet powitalny, a następnie wśród aplauzu odprowadzono je z powrotem.

Padaly kolejne nazwiska, wiele osób robiło znaczki na kartkach lub odliczało na palcach. Siedziałem między Jannie z jednej strony i Naną z drugiej. Napięcie, które od nich emanowało, było wprost namacalne.

Po dziesięciu minutach loteria zaczęła wytracać impet. Doszliśmy do nazwisk numer osiemdziesiąt dwa, osiemdziesiąt trzy, osiemdziesiąt cztery, a potem...

– Janelle Cross!

Zerwaliśmy się na równe nogi i ściskaliśmy się nawzajem w porywie radości. Nie będę udawał, że się nie ucieszyłem, bo ucieszyłem się, i to bardzo. To była wielka szansa dla Jannie. Jednak zmierzając z nią w kierunku sceny, mimo woli obejrzałem się i zerknąłem na Avę.

Siedziała i patrzyła w podłogę, jakby nic się nie stało. Jak gdyby była z kamienia, przynajmniej na zewnątrz. Bree otoczyła ją ramieniem i machnęła mi ręką, żebym się nie zatrzymywał. Żonglowanie tak sprzecznymi emocjami nie przyszło mi łatwo.

A może nie wszystko jeszcze stracone, może piorun uderzy dzisiaj dwa razy w to samo miejsce.

Rozdział 8

Próżne nadzieje.

Zanim pokonaliśmy z Jannie drogę do podestu i z powrotem, loteria dobiegła końca. Większość gości już wstała z miejsc i kierowała się do wyjścia.

Ava dalej siedziała na krześle, szurając nogami. Wyglądała na otępiałą, tylko tak można to określić.

Nana miała gniewną minę, twarz Bree wyrażała przygnębienie.

– Przykro mi, Avo – powiedziałem, siadając. – Szkoda, że tak to wyszło.

– Nieważne – rzuciła. – Wiedziałam, że się nie załapię.

Frustrowało mnie, kiedy sprawy przybierały dokładnie taki obrót, jakiego Ava się spodziewała. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że pragnęła się dostać do szkoły tak bardzo jak Jannie, choćby dla poczucia, że przynajmniej raz udało jej się coś wygrać.

Jannie podeszła i usiadła z drugiej strony. Kilka rodzin stało w pobliżu i obejmowało się, sporo dzieci płakało. Płakali także ich rodzice. Szansa umknęła im zbyt szybko.

– To straszne – odezwała się Jannie. – Przykro mi.

– Wcale nie – burknęła Ava, odwracając się do niej nagle z ostrym spojrzeniem. Jannie chciała ją wziąć za rękę, lecz ona ją wyrwała i wstała. – Wyośmy się już stąd, loteria się skończyła. – Ruszyła, nie oglądając się na nas. Nie pozostało nic innego, jak tylko za nią podążyć.

Kiedy Nana ujęła mnie za ramię, poczułem, że dygocze ze złości.

– To obłęd, po prostu obłęd. Dlaczego, na litość boską, dzieci muszą wygrać na jakiejś cholernej loterii, żeby zdobyć szansę na dobrą edukację? I to tutaj, w stolicy kraju! Jaką opinię wystawiamy sobie w oczach reszty świata, Alex? No, sam powiedz.

Nawet słowo „cholerna” rzadko padało z jej ust, ale wiedziałem, jak się czuje. Problem wydawał się duży i tak trudny do ogarnięcia, że już nie było wiadomo, na kogo się wściekać. Na dyrektora szkoły? Na związek zawodowy nauczycieli? Na burmistrza? Na Pana Boga?

– Chciałbym móc ci na to pytanie odpowiedzieć, Nano. Naprawdę.

– A więc słuchaj – ciągnęła. – Nasza panna Ava Williams nie będzie się tułać po kątach, o nie. Ta dziewczyna otrzyma taką edukację, na jaką zasługuje, nawet jeśli ja sama będę musiała się dla niej poświęcić.

Innymi słowy, babcia Nana zamierzała dokonać tego, czego nie zdołał uczynić dyrektor szkoły, związek zawodowy nauczycieli, burmistrz i Pan Bóg.

A ja wierzyłem niezachwianie, że dopnie swego. Byłem tego pewien na sto procent.

Rozdział 9

Ron Guidice siedział na widowni w sali gimnastycznej Marian Anderson High School i w trakcie loterii robił notatki. Sala była wypełniona po brzegi. Biali nie byli zbyt liczni, jednak było ich tylu, że nie wyróżniał się z tłumu. Nikt nawet nie zwrócił uwagi, że nie holuje własnego czternastolatka.

Emma Lee przez cały czas bawiła się u jego stóp, rozbierając i ubierając Cee-Cee i nie unosząc głowy. Miała cierpliwość małej świętej, bez dwóch zdań.

Może pod tym względem wrodziła się we mnie, pomyślał.

On tymczasem śledził wzrokiem rodzinę Crossów, ciągnięcie losów powoli dobiegało końca. O dziwo, ucieszył się, gdy z głośników padło nazwisko Jannie. A później zasmucił, kiedy stało się jasne, że Ava się nie dostała.

Biedacze fortuna wciąż nie sprzyjała. Chyba że za łut szczęścia uznać przyjęcie do rodziny Crossów. Przyzwoici z nich byli ludzie – na papierze. Guidice zaczynał ich nawet lubić ciut bardziej, niżby chciał. W każdym razie babkę i dzieciaki. Stale mu się to przytrafiało: jakoś nie mógł się powstrzymać od emocjonalnego traktowania obiektów.

Czy będą zdruzgotani, kiedy Alex zginie, kiedy go zabraknie? Jasne, że tak. To nieuniknione. Świat jest pełen niewinnych ofiar.

Ron Guidice także stał się kiedyś jedną z nich. Przez Alexa.

To jednak się nie liczyło i tak pozostanie, jeśli nie straci z oczu pełnego obrazu sytuacji. Pełny obraz, to zawsze jest najważniejsze.

Alex Cross wyglądał na nim jak chodzący denat.

Rozdział 10

Odpuściłem sobie lunch z rodziną i machnąłem się prosto do nowego centralnego ośrodka medycyny sądowej przy skrzyżowaniu Czwartej i School. Gmach jest imponujący: ponad dwadzieścia pięć tysięcy metrów kwadratowych pod jednym olbrzymim dachem. Policja metropolitalna wreszcie skupiła w jednym miejscu laboratoria balistyczne, toksykologiczne, DNA, daktyloskopijne i medyczne.

Od razu po przybyciu włożyłem fartuch chirurgiczny i maskę, a potem przepchnąłem się przez wahadłowe drzwi do sali, w której Joan Bradbury już była w połowie autopsji ciała Elizabeth Reilly.

– Czego się pani dowiedziała, Joan? – zapytałem.

– Dużo – odparła. – Proszę wejść.

Zwłoki leżały na stole, środek tułowia miał rozcięcie w kształcie długiej litery Y z rozwartymi szeroko bokami. Widziałem już więcej autopsji, niż mogę spamiętać, i mój żołądek dawno do nich przywykł, ale nigdy nie pozwalałam sobie zapomnieć, po co się tam stawiam. Przynajmniej tyle jestem winien Elizabeth.

– Wczoraj wieczorem zrobiłam badanie na zawartość toksyn, tak na początek – powiedziała Joan. – Wynik okazał się pozytywny, jeśli chodzi o antydepresanty i, uwaga, pitocynę.

– Robi pani badanie na zawartość pitocyny?

– Zazwyczaj nie, ale w tej sytuacji pomyślałam, że może warto. I cieszę się, że je przeprowadziłam. Pitocyna nie utrzymuje się długo w organizmie, najwyżej dwie doby. Co oznacza, że Elizabeth Reilly wywołała poród mniej niż dwa dni przed śmiercią.

Moje myśli zaczęły wirować wokół tej nowej informacji. Jak dotąd nie doszła do nas wiadomość z żadnego okolicznego szpitala o pobycie Elizabeth

Reilly, o tym, że kobieta o takim nazwisku urodziła żywe dziecko, a tym bardziej że poród wywołano farmakologicznie.

Czy to możliwe, by z jakiegoś powodu dokonała tego sama? Uczyła się w szkole dla pielęgniarek. Mogła łatwo zdobyć pitocynę, mogła nawet wiedzieć, jak ją zażyć.

Ale dlaczego?

A poza tym, czy zostawiła gdzieś dwudniowe niemowlę? Musiałem się tego dowiedzieć, i to szybko.

– No i jeszcze jedno – ciągnęła Joan. – Na jej palcach i dłoniach nie znaleźliśmy włókien ze sznura, ani kawałka. Pętlę na szyję założył jej ktoś inny. Nie koniec na tym. Pęknięcia drugiego i trzeciego kręgu z pewnością powstały już po zgonie. Przede mną jeszcze parę godzin roboty, ale już teraz mogę panu powiedzieć, że w raporcie wykluczę możliwość samobójstwa.

Ustalenie przyczyny śmierci to ostatecznie sprawa patologa. Rzadko kiedy nie zgadzam się z wnioskami Joan, i tym razem także nie miałem powodu. Teraz już oficjalnie było to śledztwo w sprawie zabójstwa.

Być może również w sprawie zaginięcia osoby.

Moje zadanie zostało wytyczone, tyle wiedziałem na pewno.

Rozdział 11

Po wyjściu z kostnicy od razu odszukałem Sampsona. Właśnie nadrabiał zaległości w raportach. Wyciągnąłem go z budynku, żeby pogadać.

Znam Johna całe życie i ufam mu jak chyba nikomu w stołecznej policji. Poza tym jest w policji metropolitalnej od dawien dawna i zna ludzi w całym mieście. Na dodatek wie, kto w jakiej agencji zechce z nim pogadać o zaginionym dziecku bez składania podpisów na kilkunastu formularzach. Rozumiem, dlaczego musimy odwalić masę papierkowej roboty, ale jest na to czas i miejsce. Tak się złożyło, że czasu akurat nie miałem. A jeżeli szybkość działania była priorytetem numer jeden, to drugą pozycję na liście zajmowała dyskrecja.

Stanęliśmy obok mojego samochodu na policyjnym parkingu, wsuwaliśmy kanapki i omawialiśmy szczegóły.

– Wszystko wskazuje, że był to poród pochwowy. Żadnych śladów nacięcia ani innej interwencji lekarskiej – relacjonowałem. – W jej organizmie znajdowała się pitocyna, ale nikt, z kim rozmawialiśmy, nie wspomniał o ciąży. Wydaje się dość oczywiste, że próbowała zachować sprawę w tajemnicy.

– Nie jest trudno zataić ciążę, zwłaszcza jeśli nikt się nie przygląda – rzekł John, przerzucając kartki w teczce, którą mu dałem.

– No właśnie. Sąsiedzi prawie jej nie znali, a ona odeszła ze szkoły przed pięcioma miesiącami.

– A rodzina? – zapytał. – Najbliżsi krewni?

– Niewielu. Ma dwoje dziadków w Georgii, którzy ją wychowali, i to wszystko. Powiedzieli, że jakiś czas temu znikła im z zasięgu. Nie mieli od niej wiadomości od Bożego Narodzenia.

– Innymi słowy, to dziecko może być...

– Dosłownie wszędzie, taak.

John przełknął resztkę dietetycznej coli i zgniótł puszkę w ogromnej dłoni. Nie bez powodu nazywamy go Człowiekiem Górą.

– Będę potrzebował mocniejszych materiałów – oznajmił.

– Spróbuj w wydziale do spraw młodzieży, zorientuj się, czy ktoś coś wie. Harry Keith się nie wygada, w razie gdybyś potrzebował pomocy. Jeśli będziesz musiał, sprawdzaj dzielnicę po dzielnicy. Jak najczęściej zerkaj do bazy Narodowego Centrum Poszukiwania Zaginionych i Wykorzystywanych Dzieci, pogadaj z personelem w Alexandrii. Tylko nie mów nic o mnie i tej sprawie.

To było ważne. Cięża Elizabeth Reilly stanowiła jedyną kartę, którą nadal trzymaliśmy w zanadrzu. Jeśli zabójca był jakoś powiązany z jej dzieckiem, to nie chciałem, by się połapał, że go ścigamy; sprawa już stała się publiczna, a publiczność o mnie wiedziała. I właśnie dlatego potrzebny był Sampson.

Druga ewentualność była taka, że niemowlęcia już nie było. Nie wiedzieliśmy, czy cięża Elizabeth została donoszona, czy dziecko urodziło się martwe albo, broń Boże, zabito je z powodu, którego jeszcze nie rozumiałem.

Tymczasem wszystko stało pod znakiem zapytania. Dla dobra dziecka i przez wzgląd na matkę musieliśmy jednak przyjąć założenie, że nadal gdzieś jest i trzeba je ratować.

Rozdział 12

Przez trzy dni nic nie dziaaliśmy; w sprawach morderstw Darcy Vickers i Elizabeth Reilly nie było żadnych postępów. Czekałem na telefon od Sampsona, ale się nie doczekałem. Nie pojawiały się żadne tropy.

Nagle w sobotę rano coś się zdarzyło. Coś najgorszego. W Georgetown znaleziono kolejne zwłoki.

Byłem w domu, kiedy zadzwoniła sierżant Huizenga. Chciała, żebym zmierzał w tym samym kierunku co do tej pory i jednocześnie monitorował sprawę nowego zabójstwa. Sztuka miała polegać na tym, żebym najpierw potraktował to nowe jako niezależne od tamtych i z nimi nie porównywał. Czasem, szukając powiązań, zaczyna się widzieć to, co chce się zobaczyć, zamiast tego, co naprawdę jest.

Pojechałem Pennsylvania i M Street aż do mostu Key i pod nim zaparkowałem. Stało już tam kilka radiowozów, żółta taśma przecinała Water Street od południowej strony Potomac Boat Club.

Pracownik służby technicznej znalazł rano ciało chłopaka pod jednym z doków. Ktoś wyciągnął je z wody na brzeg i tam zostawił na spłachetku ziemi i trawy, tuż za budynkiem obłożonym białymi deskami i pokrytym zielonym gontem.

Pierwsze spojrzenie na zwłoki wstrząsnęło nawet mną. Przyczyną śmierci był prawdopodobnie ostrzał z broni palnej w twarz. Paskudna szeroka rana świadczyła o tym, że ofiara została trafiona z bliskiej odległości. Trudno było określić, jakie ślady oparzeń prochem zmyła woda, lecz wokół resztki kości policzkowej zostało parę ciemnych plam. W miejscu, w którym pocisk oderwał płat mięsa, sterczało kilka strzaskanych zębów; twarz chłopca wyglądała, jakby zastygła w krzywym grymasie, jak gdyby nadal dręczył go ból.

To nie było wszystko. Jego dzinsy miały ciemne plamy wokół bioder i krocza, przypuszczalnie od ran kłutych. Materiał wokół genitaliów znaczyły otwory z poszarpanymi brzegami. Strach było myśleć, co spotkało tego biednego dzieciaka. Mogłem tylko mieć nadzieję, że najpierw go zastrzelono, a dopiero potem okaleczono. Marna pociecha.

Najbardziej przygnębiał jego młody wiek. Nie wyglądał na więcej niż osiemnaście lat, przemoczona marynarka sportowa nosiła znaczek St. Catherine's, prywatnego liceum w północno-zachodniej dzielnicy Waszyngtonu. Można było tylko zgadywać, jak znalazł się w tym miejscu.

Domyślałem się jedynie tego, że zabójstwa dokonano w porywie gniewu, prawdopodobnie na ofiarę, ale być może sprawca czuł również odrazę do samego siebie. Okaleczenia mogą o tym świadczyć, ale nie muszą. Tak czy owak, morderca najwyraźniej zmagił się z jakimiś demonami. Ktoś, kogo napędza wyłącznie chęć mordy, nie potrzebuje pistoletu i do tego noża.

Odniosłem wrażenie, że zabójca dał wyraz wszystkim swoim zamysłom jednocześnie: zadźgał, zastrzelił i utopił. Ale dlaczego? Jaką potrzebę w ten sposób zaspokajał?

Przyjrzawszy się wszystkim szczegółom, włożyłem rękawiczki i sprawdziłem, co jest w kieszeniach ubrań ofiary. Wszystkie były puste, ale znalazłem nazwisko Smithe zapisane na plecach marynarki. Od razu zgłosiłem je telefonicznie.

Nie musiałem długo czekać na odzew. Dwie minuty później odebrałem połączenie z policyjnego centrum informacyjnego i usłyszałem, że przed dwoma dniami rodzice zgłosili zaginięcie Cory'ego Smithe'a, osiemnastoletniego ucznia jednej ze starszych klas St. Catherine's. Sto osiemdziesiąt sześć centymetrów, jasne włosy i małe znamię na prawym nadgarstku. Tak, tak i jeszcze raz tak.

– Masz adres? – zapytałem operatorkę.

– Już ci go wysłałam mailem – odparła.

Oboje wiedzieliśmy, co mam dalej robić.

Rozdział 13

Idąc do samochodu po drugiej stronie hangaru, zobaczyłem opadającą nawałnicę szarańczy, tej z kamerami, mikrofonami i wieżyczkami anten.

Zamiast, jak to bywało do tej pory, kilkunastu dziennikarzy, zebrało się kilkudziesięciu; czekali na materiał. Na Water Street ustawiły się furgonetki, a ponieważ nie było wyznaczonego miejsca dla przedstawicieli mediów, cisnęli się tuż przy taśmie.

W niespełna tydzień znaleziono trzy ciała w jednej z najspokojniejszej dzielnic Waszyngtonu. Dla porównania, poprzednie trzy morderstwa na zachód od Rock Creek wydarzyły się w ciągu czternastu miesięcy. Teraz więc reporterzy zajęli stanowiska i robili notatki.

– Detektywie Cross, tutaj!

– Kim jest ofiara, Alex?

– Czy policja prowadzi śledztwo w sprawie seryjnego zabójcy?

Można się poczuć trochę jak gwiazda rocka, ale na dodatkowe korzyści nie ma co liczyć. Podałem im minimum informacji, bo tylko na tyle mogłem sobie w tej chwili pozwolić.

– Sierżant Huizenga zorganizuje konferencję dla dziennikarzy, kiedy już zawiadomimy rodzinę ofiary – oznajmiłem tym, którzy stali najbliżej. – Do tego czasu nie ujawniamy więcej szczegółów.

– Detektywie Cross, czy będzie pan nadzorował śledztwo w sprawie wszystkich trzech przypadków? – dopytywała Shawna Stewart z Kanału Piątego.

– Jeszcze nie wiem.

– Jak posuwają się śledztwa w sprawach zabójstw Darcy Vickers i Elizabeth Reilly?

– Posuwają się – odparłem, dochodząc do samochodu.

– Hej, Alex, czy to prawda że wyciągnąłeś zwłoki Elizabeth Reilly z okna, zanim je należycie zbadano?! – krzyknął ktoś. – Czy nie utrudniłeś w ten sposób śledztwa?

To pytanie zmroziło mnie i zastopowało. Może powinienem był iść dalej, ale się odwróciłem; chciałem wiedzieć, kto je zadał.

Już na pierwszy rzut oka zorientowałem się, że facet działa w pojedynkę. Widywałem takich: aparat fotograficzny na szyi, dyktafon skierowany w moją stronę i notes sterczący z kieszeni szortów bojówek. Poza tym miał bujną brodę; znaczka akredytacyjnego nie zauważyłem. Wszyscy inni nosili laminowane identyfikatory wpięte w klapy albo dyndające na szyjach.

– Nie rozpoznaję pana. Gdzie pan pracuje?

– Chcę tylko ustalić fakty, detektywie.

– Nie o to mi chodziło. Pytałem, kto jest pana pracodawcą.

Mężczyzna podniósł głos tak, by dotarł do wszystkich zgromadzonych mikrofonów.

– Czyżbym był podejrzany, detektywie? Czy chce mnie pan aresztować?

Rzucił mi przynętę, widziałem to milion razy. Jeśli nie mogą zdobyć materiału, usiłują go stworzyć, zwłaszcza pismaki gorszego sortu i stażyści.

– Nie chcę pana aresztować – odparłem. – Zadałem tylko proste pytanie.

– Dlaczego? Czy prawo nakazuje mi się wylegitymować?

Teraz zachowywał się jak fiut. Cywil siedzący we mnie miał ochotę chwycić dyktafon i wpakować mu go do gardła.

– Nie, nikt od pana nie wymaga, by się pan legitymował.

– W takim razie bez komentarza – powiedział, siląc się na uśmiech. Paru spośród zebranych się zaśmiało, ale nie ja. Najlepsze, co mogłem w tej sytuacji zrobić, to wsiąść do samochodu i odjechać.

Miałem coś ważniejszego do załatwienia, gdzie indziej. Tamto nie mogło czekać.

Rozdział 14

Zatrzymując samochód przed domem Cory'ego Smithe'a, czułem się tak, jakby na mojej klatce piersiowej zaległ wór z pięćdziesięcioma kilogramami żwiru. Powiadamianie rodzin ofiar to najtrudniejszy składnik mojej pracy, bezdyskusyjnie.

Państwo Smithe mieszkali w jednym z tysięcy wybudowanych na początku dwudziestego wieku domków ustawionych rzędami wzdłuż ulic północno-zachodniej części stolicy. Ten stał przy Shepherd Street w Petworth i miał malutki zielony trawnik tarasu na wysokości połowy schodów prowadzących do drzwi wejściowych. Pośrodku trawnika wznosił się posążek Maryi Dziewicy otoczony klombem wiosennych tulipanów. Może Najświętsza Panienska przyniesie mieszkańcom odrobinę pociechy w chwili największej potrzeby.

Zawiadomiłem wydział poszukiwania osób zaginionych w czwartym okręgu. Ludzie ze służby pomocy ofiarom byli już w drodze, ale pierwsza część zadania spoczywała na mnie. Wszedłem po schodach i nacisnąłem dzwonek.

Ojciec Cory'ego otworzył niemal od razu. Wyglądał na starszego, niż się spodziewałem, w ręce trzymał laskę z wygiętym uchwytem.

– Czego pan sobie życzy? – zapytał z odrobiną obawy.

– Pan Smithe? Jestem Alex Cross z policji. Przyszedłem porozmawiać o Corym. Mogę wejść?

Istnieją rzeczy, których chce się w takiej sytuacji uniknąć. Pierwszą jest wzmianka na samym wstępie, że pracuje się w wydziale zabójstw. Oficjalne informacje powinny padać we właściwym tempie, nie za szybko, ale i nie za wolno.

– Proszę – rzekł, otwierając siatkowe drzwi. – Żona jest na tyłach domu.

Pokuśtykał, a ja podążyłem za nim do ganku sąsiadującego z kuchnią. Pani Smithe była w kapciach i kwiecistej podomce. Na mój widok ściągnęła pod szyję jej poły i wstała. Bezprzewodowy telefon zsunął jej się z kolan na podłogę, ale żadne z małżonków nie zwróciło na to uwagi.

– O co chodzi? – spytała. Odgadłem z wyrazu jej twarzy, że już brała pod uwagę najgorsze. Przedstawiłem się szybko i od razu przeszedłem do sedna.

– Chciałbym, żeby dało się łatwo wypowiedzieć to, co mam do powiedzenia – zacząłem.

– O Boże, nie...

– Bardzo mi przykro, ale Cory został zabity. Jego ciało znaleziono dziś rano.

Jej głos jak gdyby przebił powietrze. Nie było już słów, pozostały tylko szarpiące wnętrzości wyrazy żalu. Straty, rozpacz. Kobieta opadła na kolana i wsparła się o męża, który wciąż trzymał w rękach laskę i także walczył o to, by nie upaść. Pochylił się, zaciskając mocno powieki, laska trzęsła się pomiędzy nim a żoną.

– Gdzie? – wyrzucił. – Gdzie go znaleziono?

– W Potomacu – odparłem. – Przy nabrzeżu Georgetown. – W takiej chwili nie ma sensu dozować informacji. Lepiej, żeby dowiedzieli się ode mnie niż później z serwisów informacyjnych.

– Zabity? – powiedział mężczyzna. – To znaczy, że...

– Tak, ktoś mu to zrobił. Naprawdę nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro.

Wielu wyobraża sobie zapewne, że gliniarze klepią w takich sytuacjach czcze formułki, ale prawda jest taka, że niewiele brakowało, a rozplakałbym się tam. Strata dziecka, nawet czyjś, to tragedia. Ale człowiek uczy się trzymać to w sobie.

Poczekalem, aż będą gotowi na dalszy ciąg.

– Wiem, jakie to trudne, ale gdyby zechcieli mi państwo udzielić informacji o synu, mogłoby to bardzo pomóc.

Pan Smithe, wciąż stojąc, skinął głową. Jego żona usiadła na krześle i płakała cicho.

– Co chce pan wiedzieć? – zapytał.

– Co Cory lubił, dokąd chodził, z którymi kolegami spędzał najwięcej czasu. Tego rodzaju rzeczy.

Matka chłopca uniosła głowę.

– Czy on miał jakieś kłopoty? – zapytała.

– Nie wiem – odparłem szczerze.

– To był dobry chłopiec, detektywie – powiedział pan Smithe. – Wiem, że każdy rodzic tak mówi... a może i nie. Ale Cory chodził ręką w rękę z Panem Bogiem. Modlił się z nami co wieczór. No i jesienią miał rozpocząć studia na katolickim uniwersytecie. W seminarium.

Później dowiedziałem się, że pan Smithe był diakonem w rodzinnym kościele, a jego żona przez dwadzieścia lat była zakonnica. Śmierć syna musieli odczuć jako najokrutniejszy cios od Boga.

Naciskałem ich tyle, ile mogłem, i udało mi się zdobyć nazwiska najbliższych kolegów Cory'ego. Dowiedziałem się, że była jeszcze jego dziewczyna, Jess Pasternak. Mieszkała parę przecznic dalej. Mogłem tam skierować następne kroki, czemu nie?

Wręczyłem państwu Smithe wizytówkę z numerem komórki i zostawiłem ich, by mogli w samotności oddać się żałobie. Najlepsze, co mogłem dla nich teraz zrobić, to iść dalej.

Czas jak zwykle nie był po mojej stronie.

Rozdział 15

– A więc to pan od nich usłyszał? Katolicki uniwersytet? Ministrant i tak dalej?

Pół godziny później siedziałem w moim samochodzie z Jess Pasternak. Trzymała nogi na fotelu, obejmując rękoma kolana przyciśnięte do piersi, i gorzko szlochała.

Kiedy stanąłem w drzwiach jej domu, poprosiła, abyśmy pomówili na zewnątrz. Miała osiemnaście lat, tak jak Cory, przysługiwało jej więc takie prawo. Przy drzwiach napiętym głosem zamieniła parę zdań z rodzicami, po czym wyszliśmy na ulicę.

Teraz rozmawialiśmy, ale nie przychodziło jej to łatwo.

– Dlaczego? – spytałem. – Czyżby rodzice Cory’ego o czymś nie wiedzieli?

Rąbnęła pięścią w fotel, walcząc ze łzami. Wyglądało to tak, jakby była podzielona na dwie części – jedną przepełniała rozpacz, a drugą gniew.

– Ostrzegałam go, naprawdę go ostrzegałam.

– Jess, o czym ty mówisz? Wiem, że to trudne, ale musisz mi wyjawić wszystko.

Wyprostowała się i otarła łzy. Na grzbiecie dłoni została ciemna plama od tuszu do rzęs, a ona w roztargnieniu wytarła ją o kolano podartych dżinsów.

Była ładną dziewczyną, ale nie w tradycyjnym stylu uczennic z liceum St. Catherine’s. Jej blond włosy były krótko obcięte nad uszami, nosiła bokserki podkoszulek, wąskie skórzane szelki i czarne botki do połowy łydki. Bardziej przypominała dziewczynę rockmana niż cheerleaderkę.

– Cory nawet nie wybierał się do college’u – odparła. – Jesienią zamierzaliśmy wyruszyć w podróż. No wie pan, Francja, Włochy, tralala. – Machnęła ręką w powietrzu, jakby wszystko to jawiło się teraz jako mrzonka.

– Jak to się ma do tego, co się stało? – spytałem. Nie wyjawilem jej szczegółów morderstwa Cory’ego, ale dziewczyna chyba się domyślała, że spotkało go coś okropnego. I nie pomyliła się.

– Przysięgałam, że nic nie powiem – oznajmiła, skręcając w dłoni pogniecioną chusteczkę higieniczną. Widziałem, że jest o krok od przełamania się, więc siedziałem spokojnie i czekałem.

Nagle uniosła się lekko na siedzeniu i wyjęła srebrny telefon z tylnej kieszeni. Pomyślałem, że chce do kogoś zadzwonić, ale ona weszła do internetu i odnalazła jakąś stronę.

– Proszę. – Położyła komórkę między nami. – Nie pisnęłam ani słowa, jasne?

Podniosłem aparat i zobaczyłem, że otworzyła stronę o nazwie randyboys.com. Konkretnie był to profil Cory’ego Smithe’a albo raczej Jeremy’ego, bo pod takim imieniem tam figurował. Przewinąłem stronę i ukazały się fotki: Cory bez koszuli, w bieliźnie, nagi od tyłu, z zamazaną twarzą. Wśród informacji można było wyczytać, że jest dostępny na telefon, nigdy na całą noc i nie w plenerze. W niedziele również nie, odnotowałem.

– Powiedzieli, że jesteś jego dziewczyną.

– Taa, no... – Jess prychnęła lekko, nadal zapłakana. – Niech mnie pan źle nie zrozumie, państwo Smithe są bardzo mili i w ogóle. Ale kompletnie nic nie kumają. A zwłaszcza – bez patrzenia skinęła na telefon – nie wiedzą o tym.

– Wiesz coś o mężczyznach, z którymi Cory się umawiał? – zapytałem. – Czy to byli regularni klienci?

Rozłożyła rękę.

– Mówił tylko, że to same zaślinione zboki. Faceci przy forsie, tak myślę.

– Wiesz, gdzie się z nimi spotykał?

– Tam, gdzie chcieli – odparła. – W hotelu, w parku, nad rzeką... – Przewróciła oczami i nagle jakby na nowo do niej dotarło, że jej kolegi już nie ma. Powróciły łzy. – Mówiłam mu, żeby się pilnował, naprawdę. Ale on nie chciał słuchać, duppek jeden!

Dałem Jess moją ostatnią chusteczkę i pozwoliłem jej się wypłakać. Nie

próbowałem wnioskować zbyt wiele na podstawie gniewu dziewczyny; reagowała jak ktoś, na kogo spadł nagły cios. Wyglądało na to, że mówi mi o Corym wszystko, co wie.

A jeśli dopisało mi szczęście, ujawniła to i owo o jego zabójcy.

Rozdział 16

Co to znaczy wziąć się w garść! Spędziłem dzień z rodzicami, którzy przeżywali najgorszy z możliwych koszmarów, a potem musiałem wrócić do domu i pokazać uśmiechniętą twarz. Zwłaszcza dzisiaj. To był ostatni wieczór Damona, jutro wracał do szkoły na czwarty semestr. Planowałem zabrać wszystkich na kolację do Kinkead's.

Tym razem ucieszyłem się, że jestem spóźniony; miałem pretekst, żeby spędzić parę minut na osobności. Prysznic, koszula, bluza i byłem jako tako zdatny do publicznej konsumpcji.

Siedząc z rodziną w ulubionej restauracji, słuchając wesołych rozmów i śmiechów, znów poczułem się mniej więcej jak człowiek. Na fortepianie grał tego wieczoru David Yarboro, przede mną stał kieliszek dobrego pinot noir i przez krótką chwilę mogłem udawać, że największym moim problemem jest wybór między łososiem a stekiem po nowojorsku z sosem ze szkockiej whisky à la Kinkead's.

Życie smakowało naprawdę przyjemnie.

Kiedy wszyscy zamówili, pchnąłem krzesło do tyłu i wstałem z kieliszkiem w dłoni. Niektórzy goście skierowali na mnie spojrzenia i zauważyłem, że Jannie odrobinę struchlała, ale ojcu wolno czasem wprowadzić dzieci w zakłopotanie, to jeden z jego przywilejów. Bo jeśli nie, to chyba w ogóle ich nie ma.

– Chciałbym wznieść toast – powiedziałem.

– Tost może być z chleba białego, pszenicznego lub żytniego – zażartowała Nana i wszyscy przy stole parsknęli śmiechem. Babcia czyta w moich myślach jak mało kto. Jestem pewny, że tego wieczoru potrzebny mi był krzepiący kop.

– Za naszego gościa honorowego. Damonie, jestem z ciebie dumny, każdego dnia. Będziemy za tobą tęsknić jak szaleni, kiedy wyjedziesz, ale tymczasem piję twoje zdrowie. Za rewelacyjny semestr w Chapin. A przede wszystkim za letnie wakacje, gdy znów się zobaczymy.

– Za letnie wakacje! – podchwyciły chórem dzieci.

– To już niedługo – dodała Bree i wszyscy stuknęliśmy się kieliszkami.

Później Damon wstał i także wznosił toast. Uświadomiłem sobie, że mój najstarszy syn, stojący w marynarce i krawacie obok głównego miejsca przy stole, nie jest już chłopcem. Na domiar tego miał piętnaście lat, ale wyglądał na dwadzieścia.

– Za Avę – powiedział, patrząc prosto na nią. – Wiem, że nie spędziliśmy razem dużo czasu, ale chciałem tylko powiedzieć: „Witaj w rodzinie”.

– Witaj w rodzinie! – powtórzyli wszyscy niczym echo.

Popatrzyłem na Avę i nie bez odrobiny szoku zobaczyłem, że uśmiecha się od ucha do ucha. Od czasu szkolnej loterii snuła się cały dzień i długo przesiadywała sama w swoim pokoju. Teraz jakby ktoś po raz pierwszy od dawna zapalił jej światło.

I właśnie dlatego mój Damon zasługuje na miano gwiazdy. Paroma słowami zrobił dla Avy to, co mnie nie udawało się przez cztery miesiące. Może i jest najcichszym z moich dzieci, ale tak to bywa z najspokojniejszymi. Jeśli już zabierają głos, to zwykle mają po temu dobry powód.

Albo wręcz doskonały.

Nagle zapiekły mnie oczy i obraz się rozmazał. Ani się tego spodziewałem. Było tak, jakby cały miniony dzień przewalił się nade mną jedną wielką falą – stres towarzyszący mi w drodze do domu, a potem wszystko to, za co mogłem czuć wdzięczność.

– Tato? – Ali nachylił się i spojrzał na moją twarz. – Czemu płaczesz?

– Wcale nie – odparłem, ocierając oczy. – No, może troszeczkę. – Wziąłem go na kolana i otoczyłem ramionami drobną jak fasolka postać. – Ale to są wesołe łezki.

– Nie bierzcie mu tego za złe, dzieci – odezwała się Nana. – Pogromca Smoków tylko tak srogo wygląda, ale serce u niego mięciutkie, oj mięciutkie.

– Prawda, prawda – potwierdziłem.

Nana puściła do mnie oko i uniosła kieliszek.

– Za staruszką o miękkim sercu, niech się maże, ile zapragnie, ale kolację i tak stawia!

Rozdział 17

Tego wieczoru Ron Guidice wrócił do domu około wpół do jedenastej. Wstał o piątej rano i przez cały dzień krążył po mieście, toteż był wyczerpany. A i tak zostało mnóstwo roboty do wykonania. Pewnie czeka go kolejna zarwana noc.

Gdy tylko wszedł do swojego skromnego domku w Reston, zdjął buty. Pozostał mu taki zwyczaj z młodości w New Hampshire, gdzie zimy były długie, po nich zaś następowały sezony błotne. Postawił timberlandy na gumowej macie przy drzwiach, obok małych tenisówek Emmy Lee i starych mokasynów matki.

– Mamo, już jestem! – zawołał.

Lydia Guidice drgnęła i obudziła się, leżąc na kanapie z pulchną dłonią opartą na piersi. Zdrzemnęła się w trakcie *NCIS*, *CSI* lub *SVU*, Guidice nie odróżniał jednego serialu od drugiego.

– Dobry Boże, aleś mnie przestraszył, o Jezuniu – powiedziała. – Jeszcze się nie przyzwyczyłam do tej twojej brody. Wyglądasz jak jakiś terrorysta.

– Aha. – Guidice nachylił się do lodówki i wyjął piwo. – Emma Lee zjadła grzecznie?

– Wszystkie nuggetsy z kurczaka i dokładkę z musem jabłkowym. Zległa koło wpół do dziewiątej.

– To dobrze, to dobrze. Chcesz coś?

– Mała porcja lodów by nie zaszkodziła – odparła matka.

Lody były ostatnią rzeczą, której potrzebowała Lydia Guidice. Nie ważyła się od czasu, gdy przekroczyła granicę stu pięćdziesięciu kilogramów. Ale brutalna prawda była taka, że łatwiej było z nią wytrzymać, kiedy napychała sobie buzię.

– Gdzieżeś się dzisiaj podziewał? – zapytała, podpierając się rękami i siadając.

– Pracowałem.

– Mogłeś zadzwonić.

– Już to przerabialiśmy, mamó. Jeśli nie dzwonię, to znaczy że pracuję do późna. Nie wiem, dlaczego tak trudno to zrozumieć.

– Po prostu się martwię. Zabiłoby cię to, gdybyś wziął telefon do ręki? Guidice pociągnął długi łyk piwa. Ta sama śpiewka, za każdym razem.

– Jeśli chcesz, mogę zabrać Emmę Lee i znaleźć sobie mniejszy lokal...

– Nie, nie...

– I zabiorę ze sobą bony zasiłkowe. Zdaje się, że szukają ludzi do pracy w Safeway. Wziąć dla ciebie jutro wnioszek?

– Nie zaczynaj – odparła, wyciągając rękę po deser. Guidice zatrzymał się, tak że nie mogła sięgnąć deseru miętowego.

– Kto tu rządzi, mamó? – zapytał.

– Och, dajże już spokój.

– No, powiedz.

Lydia stęknęła niechętnie i uniosła na niego wzrok.

– Ty rządzisz, Ronaldzie, zawsze tak było. Zadowolony?

Podał jej lody, schylił się i cmoknął ją w czubek głowy.

– A więc nie ciągnijmy tej gadki, mamó, co ty na to?

Prawda była taka, że Lydia Guidice nie ukończyła dziesiątej klasy, nie wyszła za ojca Rona i nigdy w życiu nie miała prawdziwej pracy. Teraz, w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, z wagą ponad stu pięćdziesięciu kilogramów i bez ubezpieczenia, miała wartość rynkową zbliżoną do zużytej prezerwatywy. Oboje byli tego świadomi.

Guidice nie napawał się zawstydzaniem matki. Robił to tylko, gdy było konieczne.

– Pójdę ucałować Emmę Lee, a później popracuję u siebie w pokoju – oznajmił.

– W porządku.

– Kocham cię, mamó.

– Ja też cię kocham, synku – odpowiedziała, zjadając lody. – Nie siedź za długo.

Rozdział 18

Guidice wślizgnął się na palcach do pokoju Emmy Lee i stanął nad jej łóżkiem. Leżała w rogu pod kołdrą, zwinięta w kłębuszek jak mały jeż, i spokojnie spała.

Nic nie było dla niego droższe od tego widoku, absolutnie nic.

Pochylił się, pogładził córeczkę po policzku i odgarnął z oczu kosmyk piaskowych włosów. Pocałował ją w czoło.

W połowie drogi do drzwi zmienił zamiar i przysiadł w pomalowanym na biało bujanym fotelu. Mógł popracować w tym pokoiku, słuchając kojącego, równomiernego jak metronom szmeru oddechu Emmy Lee.

Włączywszy laptopa, włożył wtyczkę słuchawek do wyjścia audio i zaczął otwierać okienka. Musiał poprzemnieść informacje nagromadzone w ciągu dnia, przejrzeć maile; najpierw jednak chciał się upewnić, czy w domu Alexa wszystko działa jak należy.

Tego wieczoru cała rodzina wybrała się do knajpy na kolację, miał więc mnóstwo czasu na to, by zainstalować transmitery na wszystkich poziomach domu Crossów. Każdy był podłączony do gniazdka elektrycznego, nie trzeba więc było martwić się o pojemność baterii czy utratę zasilania. Trzy mikrofony wielkości zapałki umieścił w kuchni, głównej sypialni i gabinecie Alexa na piętrze. Jeśli był powód do zmartwień, to taki, że napłynie cała masa informacji i Guidice nie znajdzie czasu, by je przesiać. Lepsze to jednak, niż gdyby ich było za mało.

Otworzył wszystkie trzy kanały i nie przerywając pracy, pozwolił im sączyć się do uszu. Przeważnie słyszał ciszę. Ktoś oglądał telewizję, wydawało się, że Alex jest u siebie w gabinecie; świadczył o tym szmer przerzucanych kartek i sporadyczne chrząknięcia.

Przedziwny galimatias: Guidice siedział w pokoju córki i odsłuchiwał nagrania z czyjegoś prywatnego domu. Chwila ciszy w samym środku burzy.

Miał jeszcze na głowie Lydię, ale jak dotąd bardziej mu pomogła, niż zaszkodziła. Na swój sposób wiedziała, jakie pytania ujdą jej na sucho, a których lepiej nie zadawać. Na przykład, skąd się bierze forsa na utrzymanie.

Praca reportera już od pewnego czasu nie przynosiła Guidice'owi znaczących dochodów. Od dnia, w którym wszystko uległo zmianie, od finansowej ugody zawartej po tym, jak gliny ukradły mu życie.

Jakby zwitek banknotów mógł wynagrodzić to, co zrobili!

To była rutynowa niekompetencja, nic więcej. Tamtej nocy Theresie pozwolono umrzeć na chodniku niczym pospolitemu kryminaliście.

I nie tylko jej. Nikt inny o tym wtedy nie wiedział, lecz wraz z jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochał, zmarło również ich nienarodzone dziecko. Oboje zamordowani z zimną krwią.

A wszystko to zdarzyło się podczas służby Alexa Crossa.

Rozdział 19

Elijah Creem wolał rano sam kroić swojego grejpfruta. Lubił łatwość, z jaką oddzielał się miąższ od błonki, ale także precyzję, której wymagało to od noża w jego ręku.

Nie spieszył się tego ranka, pomału zjadał owoc, stek i jajka, jednocześnie czytając „Washington Post”. Zwłaszcza jeden artykuł przykuł jego uwagę; przejrzał go dwa razy.

– Kate?! – zawołał do gosposi.

– Tak, proszę pana? – odpowiedziała, wtykając głowę przez drzwi wahadłowe oddzielające jadalnię od kuchni.

– Mogłabyś mi przynieść telefon? Chyba jest w holu.

– Oczywiście – odparła i zniknęła za drzwiami.

Gazeta donosiła, że jakiś chłopak z dzielnicy Northwest w Waszyngtonie został zastrzelony, podżgany nożem i wrzucony do Potomacu; wczoraj znaleziono jego ciało unoszące się w wodzie. Z artykułu w „Post” wynikało, że policja nie ma żadnych tropów prowadzących do sprawcy.

– O, słyszałam o tym – odezwała się Kate, która przyszła z telefonem i zerknęła nad ramieniem doktora Creema. – Wczoraj wieczorem mówili o nim na wszystkich kanałach.

– Tak? Wygląda na to, że chłopak zginął straszną śmiercią.

Podobało mu się, że dziewczyna nie odwróciła głowy. Schyliła się, żeby popatrzeć na czarno-białe zdjęcie ofiary. Creem mógł dzięki temu oprzeć delikatnie dłoń na jej krągłym tyłku.

– Taki młody – powiedziała, choć była niewiele starsza.

Nie wzdrygnęła się pod jego dotykiem. Borykająca się z zieloną kartą i opiekująca chorym ojcem dziewczyna z pewnością wiedziała, z której strony chleb jest posmarowany.

– To będzie na razie wszystko. – Creem puścił do niej oko, kiedy dolewała mu kawy. Uśmiechnęła się ładnie.

Odprowadził ją wzrokiem, poczekał, aż znajdzie się w kuchni, poza zasięgiem słuchu, podniósł telefon i zadzwonił do Josha Bergmana.

– Elijah? – odezwał się Bergman. – Czy coś się stało?

– Nie. Wiem, umówiliśmy się, że będziemy tymczasem zachowywali dystans. Ale patrzę na zdjęcie w gazecie i po prostu musiałem sobie zadać pytanie, czy byłeś ostatnio tak zaabsorbowany, jak mi się wydaje.

– Ach, to – rzucił Bergman z udaną nonszalancją.

– Tak myślałem. – Josh najwyraźniej przebił osiągnięcie kolegi. Zaimponował mu tym.

– A ty jak się miewasz, Elijah? Myślałem o tobie.

– Nigdy nie było lepiej – odpowiedział przyjacielowi Creem. Była to prawda, do pewnego stopnia. Może i poszło z dymem jego dawne życie, ale oto na jego miejscu powstawało nowe, niczym feniks z popiołów. – Okazuje się, że przez szesnaście lat nienawidziłem żony. Nie uświadamiałem sobie tego aż do dnia, w którym odeszła.

– A córki?

– Strasznie za nimi tęsknię – odrzekł głucho Creem. – Ale tymczasem ubieram się do stołu tak, jak chcę, nie mam już w rozkładzie koszmarnych wieczornych przyjęć i zastanawiam się poważnie nad moją ciemnooką gosposią.

– To znaczy Kate? Niezły wybór. – Bergman zawsze lubił słuchać o życiu intymnym Creema i tylko po trosze ukrywał ten fakt. – Co cię powstrzymuje?

– Chyba nic. Ale posłuchaj, Josh. Jeszcze jedna rzecz. Chcę, żebyś wiedział, jak bardzo cię cenię. Jak cię ceniłem przez cały ten czas.

– Elijah, czyżbyś coś wypił?

– Mówię poważnie – oznajmił Creem. – Myślę, że jesteś jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego miałem.

– No dobra – rzucił Bergman. – Więc pozwól mi posłuchać, jak posuwasz swoją gosposię.

Creem parsknął śmiechem. Poprawiali sobie nawzajem humor, bez

wątpienia.

– Rozłączam się, Josh. Dzięki, że zepsułeś chwilę szczerości.

– Pamiętaj, piłeczka jest po twojej stronie siatki.

– Tak, oczywiście – odparł Creem. – Nie mogę się doczekać.

Odłożył telefon, wziął ze stołu mały ząbkowany nóż i ruszył do kuchni.

Rozdział 20

Kate zmywała naczynia, kiedy się zbliżył.

– Mogę panu coś podać, doktorze? – zapytała.

– Nie, nie trzeba – odparł, stając obok zlewu. – Chciałem tylko powiedzieć, że możesz używać wszystkiego, co Miranda zostawiła na górze. Zdaje się, że nosicie ten sam rozmiar.

– Bardzo miło z pana strony, dziękuję.

– Poza tym niepotrzebnie paradujesz dalej w tym mundurku – powiedział, wskazując szaro-białą sukienkę z fartuchem. – To był pomysł Mirandy, nie mój.

Kate odpowiedziała pięknym uśmiechem, nie przestając myć szklanki. Jak na dziewczynę, która nigdy nie przeszła operacji plastycznej, był z niej wyjątkowy okaz.

– Jak w ogóle udaje ci się cokolwiek w tym zrobić? – dziwił się Creem. Wyciągnął rękę i przesunął dłonią po rąbku fartucha, tak że jego kciuk otarł się o jej udo. – Musi ci w tym być strasznie niewygodnie.

– Bo ja wiem – odparła, spuszczaając oczy.

– Myślę, że o wiele wygodniej byłoby ci... – Creem uniósł dłoń z nożem do białego kołnierzyka z tyłu na szyi – o, tak.

Odciągnął kołnierzyk i przeciągnął ostrzem, robiąc szarpane nacięcie w materiale aż do samego dołu sukienki.

Dziewczyna krzyknęła piskliwie i zeszywniała. Creem także znieruchomiał.

– Wszystko gra – zapewnił. – Jestem chirurgiem, trafiłaś w dobre ręce.

Zaśmiała się nerwowo, ale przycisnęła do niego ciało, przywierając tyłkiem. Chciała go, prawda? Oczywiście, że tak. Doktor Elijah Creem również jej chciał. Mógł z nią robić przeróżne rzeczy.

Mógł je także zrobić jej.

Przesunął rękę z nożem po jej udach i przeciął cienki jak naskórek materiał majtek. Nie to samo co cięcie skóry, ale miało swój urok. Poza tym jego życie było w tej chwili wystarczająco skomplikowane. Nie mógł sobie pozwolić na sprzątnięcie własnej gosposi. Jak brzmi to powiedzonko? Nie robi się gnoju przy własnym stole?

Przechylił ją nad zlewem przy wtórze lejącej się z kranu ciepłej wody i wszedł w nią od tyłu.

– Rozluźnij się – powiedział. – To powinno być przyjemne.

Koniuszkiem ostrza przesunął leciutko po obnażonej skórze pleców. Nacisk był minimalny, pozostawiał nieznaczną białą linię niczym okruch kredy. Kate zadrżała – albo jej się spodobało, albo wykazywała niesamowite zdolności aktorskie. Nie chciało mu się wnikać w jej motywy.

Długo nie wytrzymał. Pocięta sukienka, widok dziewczyny wypiętej nad zlewem i ciepłej wody spływającej z jej włosów wystarczyły, by go pobudzić. W myślach przemknął mu obraz, w którym zamiast niego w środku dziewczyny tkwi nóż, i wtedy przekroczył punkt graniczny.

Wzlatywanie i opadanie.

Czwarty lipca, fajerwerki i tym podobne.

Skończył i kazał Kate iść na górę i przynieść sobie coś do ubrania. Dał jej potem garść gotówki, żeby sobie coś kupiła, i wolne na resztę dnia.

– Dziękuję, panie doktorze – powiedziała z tym swoim śmiesznym akcentem. – Bardzo dziękuję.

– To ja ci dziękuję – odparł. – Przeuroczy początek dnia.

Uśmiechnął się, kiedy wybiegała. Niech się tymczasem zabawi.

Pod koniec tygodnia zacznie szukać innej pracy.

Rozdział 21

Spotkanie Creema z adwokatem wyznaczone było na dziewiątą trzydzieści. Zjawił się w siedzibie kancelarii Schuman and Pace przy L Street tuż po dziesiątej.

– Elijah – odezwał się Bill Schuman, obchodząc biurko i podając mu dłoń.
– Miło cię widzieć. – Zrobił pauzę, by klient mógł przeprosić za spóźnienie, ten jednak tylko skinął głową. Kancelaria zapewne i tak obciąży go za stracony czas.

– Usiądź, proszę – powiedział prawnik.

– O, chętnie.

Creem wybrał stojącą obok drzwi kanapę z tweedową tapicerką zamiast skórzanego obrotowego fotela przy biurku Schumana. Ten zdziwił się trochę, ale usiadł bez słowa i zaczął przewracać leżące przed nim kartki akt.

– Mów prosto, doktorku. Ile życia mi zostało? – zapytał Creem.

– Tryskasz dziś humorem – zauważył Schuman.

– Właśnie zaliczyłem numerkę, jeśli chcesz wiedzieć.

Adwokat posłał mu spojrzenie wyrażające stan pośredni między obrazą a zazdrością. Tak patrzy facet, który rzadko kiedy kogoś zalicza.

– W każdym razie – podjął – sprawy się posuwają. Ściągnęliśmy Lew Carrolla z Nowego Jorku, będzie obrońcą posiłkowym, a ja zamówiłem już na proces dwóch najlepszych w mieście konsultantów od selekcji przysięgłych.

– Brawo, brawo – rzucił Creem. – Dużo mamy do omówienia?

Teraz, gdy Joshie z taką determinacją podjął rzuconą rękawicę, Creem miał do przemyślenia o wiele ciekawsze sprawy.

– Hm, owszem – rzekł adwokat. – Oczywiście, że tak. Elijah, musimy się skupić. Jeśli obrona ma być warta twoich pieniędzy...

– Przy stawce osiemset dwadzieścia pięć za godzinę wątpię, czy jest to możliwe – wpadł mu w słowo Creem.

– ...musisz się pokazać – ciągnął Schuman, podnosząc głos. – I nie tylko w sensie dosłownym. Zarzut stręczycielstwa to ślepek, ale chcę pomówić o zarzucie pornografii. W tym punkcie sprawa robi się o wiele bardziej śliska.

Creem miał ochotę wtrącić: „Kalambur niezamierzony”, ale zmilczał.

– Najgorszą ewentualnością byłaby odsiadka – ciągnął adwokat. – Pięć lat za posiadanie; do piętnastu, jeśli prokurator dorzuci zarzut rozpowszechniania. Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Kiedy spodziewasz się rozpoczęcia procesu? – zapytał Creem. Było to jego pierwsze poważne pytanie.

– Czwartego czerwca, chyba że namówię prokuratora na coś strawniejszego.

– Na przykład?

– Ugodę za porozumieniem stron, powiedzmy.

– Nie.

– Elijah, wysłuchaj przynajmniej, jakie są możliwości...

– Nie. – Creem wstał i podszedł do okna. – Nie pójdę na żadną ugodę, chcę procesu. A ty, do cholery, rób, co do ciebie należy.

– Ależ robię, do cholery, co do mnie należy! – odciął się Schuman, pierwszy raz pokazując odrobinę ikry. – Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz... – Zamilkł w pół słowa i spuścił głowę. – O kurczę, tylko mi nie mów...

Adwokat wstał i podszedł do Creema, który wyglądał przez okno na pojazdy toczące się L Street. Kiedy ponownie się odezwał, niepotrzebnie ściszył głos.

– Elijah, proszę cię, nie mów mi, że planujesz coś głupiego, na przykład dać nogę z kraju. Przynajmniej tyle mi powiedz.

Creem uśmiechnął się i spojrzał na niego z góry. Może jednak ten spięty kurdupel jest bystrzejszy, niż wygląda.

– Ale dlaczego miałbym wiać, Bill? – zapytał. – Przecież załatwiłem sobie

najlepszego adwokata w mieście.

Rozdział 22

Tego dnia po południu odbyła się odprawa głównej grupy śledczej i sierżant Huizenga na wstępie poinformowała nas, że dostała z góry pozwolenie na dowolne wyznaczanie nadgodzin; miało obowiązywać aż do odwołania.

Odpowiedziały jej brawa. Nic w tym nadzwyczajnego, że gliniarze pracują po godzinach, kiedy robi się tak gorąco jak ostatnio. Ale, oczywiście, lepiej jest, kiedy nie jest to konieczne.

– Będę zgadywał – mruknął ktoś za moimi plecami. – Al Ayla.

Przed paroma miesiącami Waszyngton zainkasował szereg ciężkich ciosów ze strony pewnej organizacji terrorystycznej z bazą w Arabii Saudyjskiej, znanej także jako Rodzina. Burmistrzowi i szefowi policji dostało się z tego powodu; zarzucono im niewłaściwe dysponowanie środkami i zbyt powolne reakcje w sytuacjach kryzysowych.

Wynikło z tego tylko tyle dobrego, że teraz mieliśmy środki, z którymi naprawdę można coś zdziałać. Patrole w i wokół Georgetown w ciągu dnia zostały podwojone, a w nocy bywały czasami potrajane. Utworzono linię informacyjną, a nasze ochotnicze czujki w terenie były na ulicach dzień w dzień.

Niektóre z tych posunięć istotnie poszerzały zakres śledztwa, inne zaś miały za zadanie zmiękczyć bicz publicznej krytyki, która spada na policję bez względu na to, jak bardzo się stara.

Każdy z trzech wydziałów zabójstw miał teraz wyznaczonego głównego detektywa oraz pełną grupę dochodzeniową. Ja miałem krążyć między tymi trzema grupami i korzystać z pomocy wszelkich współpracowników, których uda mi się ściągnąć z ulicy, zależnie od potrzeb. Huizenga ucieszyła się, że razem z Sampsonem będę poszukiwał zaginionego dziecka Elizabeth Reilly,

bo główna grupa śledcza była w tej chwili kompletnie bezradna. Jeśli wszystkie trzy sprawy trafią pod jeden parasol, to właśnie ja miałem go trzymać.

Kiedy oddała mi głos, zacząłem od wyświetlenia na ekranie zdjęć z kostnicy wszystkich trzech ofiar. Niełatwo było na nie patrzeć, lecz skupiłem się na tym, by wskazać punkty łączące poszczególne sprawy.

– Są uporządkowane chronologicznie od lewej do prawej. Z analizy patologicznej wynika, że Cory Smithe zginął dwadzieścia cztery godziny po śmierci Elizabeth Reilly i czterdzieści godzin po śmierci Darcy Vickers.

Zgromadzeni w sali policjanci zaczęli notować. Kilku jedynie słuchało, przyswajając sobie szczegóły; ja należę do tych drugich.

– Poza zbieżnością czasową – ciągnąłem – jest sporo innych, ale przeważnie dotyczą dwóch spośród trzech zabójstw. Prawie nic, co do tej pory znalazłem, nie łączy wszystkich trzech przypadków. Dwie ofiary zostały zakłute, na przykład, jednak rany pani Vickers były śmiertelne, a Smithe’a okaleczono dopiero po zgonie. W obu przypadkach użyto wąskiego, ale nie identycznego ostrza. Dwie ofiary, co oczywiste, były płci żeńskiej. Dwie znaleziono w samym Georgetown, choć nie wiemy na pewno, gdzie dokładnie wrzucono do rzeki ciało Smithe’a, zatem miejsce tej zbrodni pozostaje nieznane.

Szef wydziału zabójstw, Frank Salazar, wtrącił pytanie, które prawdopodobnie nurtowało wszystkich.

– Alex, wiem, że jesteśmy na etapie przypuszczeń, ale jakie są twoje wnioski? Z iloma sprawcami mamy, twoim zdaniem, do czynienia?

Zastanowiłem się chwilę. Najkrótsza odpowiedź brzmiałaby: cholernie chciałbym to wiedzieć.

– W tym właśnie kłopot, że na razie żadna z możliwych odpowiedzi nie układa się w całość zgodnie z logiką ani nawet z zasadami prawdopodobieństwa – odparłem. – Nigdy nie mieliśmy takiej serii, jeśli chodzi o układ topograficzny i czasowy. Ale powiedziałbym, że wydaje mi się wysoce nieprawdopodobne, by sprawcą był jeden zabójca. Według mnie,

ważniejsze pytanie brzmi: czy sprawcy działają niezależnie od siebie, czy też nie.

Kwestia ta stała się czymś w rodzaju balonika sygnałowego. Ludzie niecierpliwie wyczekiwali odpowiedzi, zarówno w szeregach policji, jak i poza nimi. Bez dalszych informacji wciąż jednak kręciliśmy się po omacku i dotyczyło to wszystkich trzech morderstw.

W trakcie wystąpienia poczułem, że mój telefon wibruje; zadrżał w krótkich odstępach raz, drugi i trzeci. Gdy tylko Huizenga zaczęła odpowiadać na pytania zadawane przez uczestników odprawy, wyjąłem komórkę i przejrzałem wiadomości. Wszystkie pochodziły od Sampsona; były dwie głosowe i jedna tekstowa. Uznałem to za dobry znak.

Tekstową odczytałem jeszcze w sali odpraw i rzeczywiście zawierała to, na co liczyłem.

Alex, paczka znaleziona. Zadzwoń do mnie jak najszybciej.

Rozdział 23

Nazajutrz rano złapaliśmy z Sampsonem najwcześniejszy lot ze stolicy do Savannah w stanie Georgia.

Dziecko Elizabeth Reilly zostało znalezione przed trzema dniami w wynajętym leśnym domku na północnym skraju rezerwatu przyrody Okefenokee Wildlife Refuge; niemowlę pozostawiono tam bez opieki. Gdyby nie CODIS, narodowa baza danych DNA, dziewczynkę wchłonąłby system, przeznaczono by ją do adopcji i prawdopodobnie nigdy by jej nie namierzono. Jednak gdy tylko dane próbki trafiły do sieci, wystarczyło trochę czasu, i Sampson dopasował je do Elizabeth Reilly. Dzięki badaniu DNA można było ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że jest to jej dziecko.

Zastępca szeryfa hrabstwa Charlton, Joe Cutler, czekał na nas późnym rankiem przy wejściu do ośrodka wypoczynkowego. Kilkanaście domków stało rozrzuconych na dwudziestopięciohektarowym terenie; w czasie jazdy Cutler zrelacjonował nam przebieg wypadków. Nie miałem pewności, na co właściwie mogę liczyć; chyba jedynie na to, że znajdziemy tam jakąś wskazówkę, która naprowadzi nas na trop tego, co spotkało tę biedną dziewczynę.

– To ja odebrałem wezwanie – powiedział Cutler. – Znalazłem tę kruszynę opatuloną w ręcznik i płaczącą wniebogłosy. Nie miała pewnie więcej niż parę godzin, ale zawieźliśmy ją prosto na oddział noworodków i inkubacji w Charlton Memorial i wszystko było w porządku. Poza osobą, która ją zostawiła, oczywiście.

– I nie wie pan, kto zadzwonił? – spytałem.

– Anonimowy telefon pod dziesięć dwadzieścia jeden. Ale gdybym miał obstawiać, to postawiłbym na matkę. No wie pan, pewnie jakaś nastolatka,

która nie miała dość ikry, by się przyznać, że ktoś ją przeleciał.

Możliwe, myślałem, kiedy jechaliśmy przez las. Cutler miał, rzecz jasna, własne odczucia w odniesieniu do tego, co tam się stało, ja jednak chciałem zachować otwarty umysł.

Wreszcie znaleźliśmy się na polanie z chatą z bali stojącą na tle ściany olbrzymich dębów oplecionych pnączami kudzu. Las był dość gęsty i jeśli w pobliżu znajdowały się inne zabudowania, nie sposób było ich dojrzeć.

Chata należała do tak zwanej klasy luksusowej. Oznaczało to wprawdzie tylko tyle, że była zaopatrzona w pościel i miała łazienkę, ale teoretycznie Elizabeth mogła tam znaleźć wszystko, czego potrzeba do urodzenia dziecka, a zwłaszcza poczucia prywatności.

Cutler zatrzymał się przy drzwiach i wskazał ślady wokół strzaskanej młotem żelaznej klamki.

– Nie wynajęła domku, tylko sama się wpuściła – wyjaśnił. – Dostępność domków można sprawdzić online, więc nie było trudno dowiedzieć się, który jest wolny.

Wnętrze było słoneczne, czyste i skromne. Na sosnowej podłodze z widocznymi sękami stał wiejski stół z takiego samego drewna, był mały aneks kuchenny i duże łóżko pod mansardowym oknem. Na regale w rogu stało parę gier planszowych oraz książek: Dean Koontz, Patricia Cornwell, Stieg Larsson. Nie znaleźli żadnej wskazówki mówiącej o tym, co naprawdę zaszło w tym miejscu.

Usiłowałem wyobrazić sobie tę scenę. Czy Elizabeth sama podłączyła kroplówkę obok łóżka? Czy od razu zaaplikowała sobie pitocynę? Jak długo trwał poród?

Musiała być przerażona czekającym ją porodem, lecz coś jeszcze straszniejszego skłoniło ją, by przybyła w to miejsce.

Coś lub ktoś. Ojciec? A może zabójca?

A może był to ten sam człowiek? Nie miałem żadnego dowodu potwierdzającego którąś wersję, lecz właśnie ta druga wydawała mi się najbardziej sensowna. Myszkowaliśmy z Johnem po domku, usiłując połączyć kawałki tej niewidzialnej układanki.

– Powiem wam coś jeszcze – odezwał się Cutler, który obserwował nas od drzwi. – Mam nadzieję, że ojciec tego maleństwa nigdy się odnajdzie. Bo skoro taka była matka, to on też raczej nie zasługuje na medal, prawda? Co to dziewczysko miało w głowie? Chciałbym to wiedzieć.

Nic nie powiedziałem, ale przyszło mi na myśl, że być może, przyjeżdżając tutaj, Elizabeth Reilly próbowała ocalić życie córki.

I że jej się to udało.

Rozdział 24

Shellman Bluff, jakieś dwie godziny jazdy na północ od Okefenokee, to nisko położone miasteczko rybackie w Georgii ze słonymi bagnami wzdłuż wybrzeża, jeśli ktoś dotrze aż tak daleko. Na mapie okolica wygląda jak labirynt dopływów wpadających do ujścia Atlantyku poprzez cieśninę Sound.

Bez trudu znaleźliśmy z Sampsonem dom Tommy'ego i Jeannette Reilly, małą chatkę na palach nad groblą na końcu spokojnej ślepej drogi w wiosce. Tam właśnie wychowała się Elizabeth Reilly, i być może tak będzie dorastała jej córka.

Było trzydzieści stopni, kiedy wysiadaliśmy z samochodu. Nic nadzwyczajnego w Georgii, ale trochę więcej niż w stolicy. Pociłem się w marynarce i krawacie.

Zobaczyłem starszą kobietę stojącą na kładce nad wodą. Miała na sobie luźną białą sukienkę i długi siwy warkocz spadający na plecy. Gdy się odwróciła, zauważyłem, że trzyma w ramionach małe zawiniątko. Ruszyliśmy pieszo piaszczystym podjazdem, by spotkać się z nią w połowie drogi na suchym brązowym trawniku za domem.

– W Waszyngtonie to się rośnie, co? – zagadnęła, zadzierając głowę zwłaszcza na Sampsona, który ma prawie dwa metry wzrostu. Rozmawialiśmy wcześniej przez telefon, więc nie było potrzeby oficjalnie się przedstawiać. – Będę zgadywała. Zgłodnieliście chłopcy w podróży, prawda?

– Dziękujemy pani – odparł Sampson. – Pani i tak ma pełne ręce roboty, jak widać.

Pani Reilly rozpromieniła się i odwróciła ku nam maleńką dziewczynkę. Nazywałem ją w myślach Baby Reilly.

– Oto Rebecca, nasze dziecko cud – oznajmiła kobieta.

Niemowlę spało spokojnie, owinięte w cienki różowy kocyk. Jego buzia zaróżowiła się od ciepła, a włoski miały taki sam piaskowy odcień jak włosy matki. Spojrzawszy na małą dziewczynkę, odczułem ulgę; poszukiwaliśmy jej usilnie i martwiliśmy się o nią. Sampson zapewne czuł to samo.

Po wejściu do domu poznaliśmy Tommy'ego Reilly'ego, który podobnie jak żona był nieco po sześćdziesiątce. Nie wyobrażałem sobie, jak można w tym wieku wziąć pod opiekę noworodka, jednak mężczyzna uśmiechnął się promiennie, biorąc Rebeccę w ramiona. Wydawało się oczywiste, że ci ludzie już zapalali głęboką miłością do prawnuczki. Może właśnie dlatego sprawiali wrażenie tak spokojnych po tym wszystkim, co się wydarzyło.

Usadowiliśmy się przy kuchennym stole i zacząłem od tego, co najpilniejsze.

– Drodzy państwo, nie chcę państwa straszyć – odezwałem się – ale muszę zadać to pytanie. Czy zastanawiali się państwo nad zmianą miejsca zamieszkania lub oddaniem Rebekki pod opiekę hrabstwa, zanim sprawa zostanie rozwiązana?

– Chce pan powiedzieć, zanim nie będzie wiadomo, kto zabił naszą Lizzie – uściślił pan Reilly.

– Otóż to – potwierdziłem. – Tak dla bezpieczeństwa.

– Wie pan, detektywie, tu nie Waszyngton – rzekł mężczyzna, łagodnie kołyszając niemowlę na ramieniu. – Nie chcę, żeby zabrzmiało to naiwnie, ale tutaj jest raczej spokojnie. A poza tym... powiedzmy, że mocno wierzę w poprawkę. Myślę, że nic nam nie będzie.

– Ale dziękujemy za troskę – dodała pani Reilly.

Skinąłem głową i nie od razu odpowiedziałem. Wyobrażałem sobie, że w takich okolicznościach rezygnacja z opieki nad Rebeccą mogłaby oznaczać dla nich traumę.

– A gdybyśmy porozmawiali z szeryfem o postawieniu ochrony przed domem? – zaproponowałem. – Tylko na noc, dopóki nie dowiemy się więcej. Czułbym się dużo lepiej, wiedząc, że ostrożności nigdy za wiele.

– Przez wzgląd na bezpieczeństwo Rebekki – dodał Sampson.

Państwo Reilly ponownie spojrzeli na siebie ponad stołem. Wyglądało na to, że nie zamieniwszy słowa, doszli do milczącego porozumienia; czasem tak bywa u par.

– Róbcie, co macie robić – powiedział pan Reilly. – Nadal uważam, że dla Earla to będzie strata czasu, ale go nie przepędzę. Co panowie na to?

Załatwiwszy tę kwestię, mogliśmy przejść do sprawy Elizabeth.

– Wiem, że zapewne już państwa o to pytano – zaczął Sampson. – Ale czy jest w Waszyngtonie ktoś, z kim powinniśmy pomówić? Jacyś znajomi, jacyś chłopcy, o których wspominała Elizabeth? A może ktoś, kto mógł żywić do niej urazę?

Pan Reilly pokręcił głową i ułożył Rebeccę w dziecięcym koszyku obok okna.

– Nie wiem, czy Lizzie miała tam wielu przyjaciół. Zdawało się nam, że w Waszyngtonie zdoła rozwinąć skrzydła, ale ona nigdy naprawdę się tam nie uościła. Ani wśród ludzi.

– Był pewien chłopak – odezwała się pani Reilly. – Przypuszczam, że jest ojcem Rebekki, a może nawet... – Zamilkła, straciwszy concept. – Może to jego poszukujecie. Ale szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia.

Sampson wyjął notes i długopis.

– Zna pani nazwisko?

– Russell – odparła, a John zanotował.

– To jego imię czy nazwisko?

– Imię – powiedziała kobieta. – No, tak mi się wydaje. Lizzie wspomniała o nim tylko w paru listach. A potem chłopak zniknął z pola widzenia, chyba jakoś tak zeszłej jesieni.

– Pewnie nie mają już państwo tych listów? – zapytałem.

Na twarz pani Reilly powrócił uśmiech.

– O, kochany, mam je wszystkie. Nikt nie pisze teraz prawdziwych listów, ale Lizzie owszem. Pomyślałam, że warto je zachować. Siedźcie tu i nie ruszajcie się, zaraz przyniosę szkatułkę mojej Lizzie.

Rozdział 25

Przez następną godzinę siedzieliśmy z Sampsonem na tyłach domku państwa Reilly i przerzucaliśmy zawartość starej palisandrowej skrzynki pełnej kartek i listów, które Elizabeth przesyłała dziadkom przez dwa lata pobytu w Waszyngtonie. Uporządkowaliśmy je według stempli na znaczkach i zaczęliśmy czytać.

Większość listów napisana została na kartkach z tej samej różowo-szarej papeterii z monogramem Elizabeth u góry. Zwykle przyozdabiała je małymi śmiesznymi rysunekami i postaciami z kreskówek na marginesach, wszystkie opatrywała serduszkami i stawiała dużą kropkę nad literą „i” w imieniu.

Z treści kilku z nich była przejmująca szczerłość; Elizabeth otwarcie pisała o tym, jak bardzo czuje się samotna i jak trudno zawiera się znajomości w wielkim mieście. Zaczynałem tworzyć sobie w myślach obraz dziewczyny naiwnie podchodzącej do świata, nieco niedojrzałej na swój wiek, która prawdopodobnie stała się łatwym łupem drapieżcy.

Jeśli idzie o Russella, to po raz pierwszy na wzmiankę o nim natrafiliśmy w środku długiego listu z kwietnia ubiegłego roku.

Chcicie usłyszeć coś zabawnego? Przedwczoraj poznałam miłego mężczyznę, i to w pralni! Nigdy nie wiadomo, co nas spotka, prawda? Mówił do mnie przez cały czas i nawet zaproponował, że zapłaci za moją pralkę. Pomyślałam, że miło z jego strony, ale podziękowałam, może następnym razem.

Powiem Wam w sekrecie: mam nadzieję, że BĘDZIE następnym razem. Niełatwo o dżentelmena w stolicy naszego kraju!!! Coś mi mówi, że przez następnych parę tygodni będę miała superczyste rzeczy, ha, ha, ha!

Następna wzmianka pojawiła się miesiąc później, gdy Elizabeth napisała dziadkom, że wpadła na „faceta z pralni (*ma na imię Russell, à propos*)” i tym razem przyjęła zaproszenie na kolację. W kolejnym liście opisywała, jak

Russell obwoził ją wieczorem po mieście i pokazywał pomniki. Tekst był bardzo egzaltowany, lecz nie zawierał żadnych szczegółów dotyczących miejsca pochodzenia Russella, wykonywanej pracy i tożsamości. Nie potrafiłem określić, czy mężczyzna zatajał przed nią te informacje, czy też Elizabeth ukrywała je przed dziadkami.

Wiedziałem jednak, że już na początku grudnia jawnie im łągała.

Droga Babciu i Dodo!

Piszę, żeby powiedzieć Wam o czymś, ale aż się boję otwarcie to wyznać. Wygląda na to, że jednak nie przyjadę na święta do domu. Po feriach mamy egzaminy, a ja obiecałam koleżankom i kolegom, z którymi się razem uczymy, że do tego czasu będziemy się spotykali trzy razy w tygodniu.

PROSZĘ NIE GNIEWAJCIE SIĘ NA MNIE! I nawet nie myślcie o tym, żeby tu przyjechać. Boże Narodzenie w stolicy to nie to samo, a hotele są szalenie drogie. Pamiętajcie tylko, że Was kocham i przyjadę, gdy tylko będę mogła.

*Mnóstwo buziaków,
Lizzie*

List datowany był jedenastego grudnia, czyli osiem dni po tym, jak Elizabeth rzuciła szkołę pielęgniarstwa. Poza tym była już w piątym miesiącu ciąży, a tego nie sposób ukryć.

I już nigdy nie przyjechała do domu. Ostatni list z kartką urodzinową dla Tommy'ego nadszedł pod koniec marca, pisała w nim o zajęciach, na które nie chodziła. Kilkakrotnie wspominała o tym, że cieszy się na spotkanie z dziadkami latem, przypuszczalnie po urodzeniu dziecka.

Kiedy przeczytaliśmy z Johnem korespondencję Elizabeth, był już czas ruszać w drogę. Nie poznaliśmy odpowiedzi na wszystkie pytania, które mnie nurtowały, ale natknęliśmy się na godną zainteresowania nową postać w śledztwie. Gdy tylko wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy w kierunku Savannah, zadzwoniłem do Bree.

Wolałem z tym nie czekać; w tej chwili nie chciałem czekać z niczym. Poza tym w prasie już pojawił się jeden przeciek o ciąży Elizabeth. Niewiele pozostało osób, którym mogłem ufać przy tej sprawie.

– Mam nazwisko, którego chcę poszukać w NCIC – powiedziałem do Bree; za kierownicą siedział Sampson. Narodowe Centrum Informacji Kryminalistycznej to baza danych zarządzana przez FBI. Znajduje się w niej każdy, kto został aresztowany, skazany lub zatrzymany w Stanach Zjednoczonych. W przypadku naszego dochodzenia nie wyczerpywała wszystkich możliwości, ale można było od niej zacząć. Zamierzałem także przejrzeć billingi telefoniczne Elizabeth i jej pocztę, a także porozmawiać jeszcze raz z kadrą nauczycielską szkoły pielęgniarskiej. Interesowało mnie wszystko, co mogło nas naprowadzić na trop jej domniemanego chłopaka.

– Jak brzmi to nazwisko? – spytała Bree.

– Russell.

– Russell? To nazwisko czy imię?

Uśmiechnąłem się mimo woli.

– Myślę, że imię, ale powinniśmy spróbować z obiema możliwościami.

– Żartujesz, prawda? – powiedziała Bree. – Wiesz, ile odpowiedzi wyrzuci komputer?

– Chciałbym, żeby to był żart – odparłem. – Nie wiem, czy to pomoże, ale prawdopodobnie z imieniem będzie się łączył adres zamieszkania w Waszyngtonie w ciągu ostatnich dwóch lat. Facet może być ojcem dziecka Elizabeth Reilly. Być może to on ją zabił.

– Coś dużo tych może – zauważyła.

– Wiem, wiem.

Jednak w tej chwili „może” było lepsze niż nic.

Rozdział 26

Elijah Creem wziął z biurka mały pędzel z końskiego włosia i dodał do najnowszej maski kilkanaście plam przypominających wątrobowe. Całkowicie wykończone maski pochodziły od wytwórcy w Arkansas, ale zawsze można było dodać coś od siebie. Nie najgorszy sposób spędzenia piątkowego wieczoru, zważywszy przyjemność, jaką przyniesie mu to w dłuższej perspektywie. Im starsze i brzydsze będą twarze – czyli bardziej niewidzialne na ulicy – tym lepiej.

W jego kieszeni zadzwonił telefon, lecz Creem go zignorował. Ostatnio miał ochotę rozmawiać z bardzo niewieloma osobami, a już na pewno nie z różnymi patałachami, którzy fatygowali się, by do niego dzwonić: adwokatami, wierzycielami i nielicznymi dziennikarzami usiłującymi odświeżyć błyskawicznie dogasający skandal związany z jego nazwiskiem.

Nałożył jeszcze cienką warstewkę kleju do charakteryzacji na górną wargę maski i pieczołowicie przymocował wąsy rozpięte na siateczce. Później, kiedy wyschną, doda im srebrnej siwizny pasującej do peruki, którą wybrał.

Dopiero gdy telefon zamilkł, a później znów się odezwał, Creem pomyślał o tym, by zerknąć na numer, i tak zrobił.

To był Josh Bergman. Jakżeby inaczej. A przecież mieli ograniczyć kontakty.

– Josh – odezwał się. – Czemu zawdzięczam tę wątpliwą przyjemność?

– Cześć, doktorze Creem, tu Joshua. Jak się dziś miewasz? – Bergman mówił sztywnym, idiotycznie radosnym głosem.

– O, coś mi się zdaje, że nie jesteś sam.

– Słusznie, słusznie. Miło to słyszeć. Słuchaj, mam tu u siebie pewną młodą damę. Zastanawiam się, czy przyjąć ją do mojej agencji, ale najpierw

chciałbym posłać ją na krótką konsultację do ciebie. Jeśli jesteś na to przygotowany, naturalnie. Wiem, że jest ciut późno.

Creem uśmiechnął się szeroko, czując, jak puls mu przyspiesza.

Wzajemne podsyłanie sobie klientek nie było dla nich nowością. Dzięki Bergmanowi Creem w ciągu ostatnich paru lat zarobił ponad półtora miliona dolarów, parę młodych „talentów” trafiło do jego łóżka.

Ale to było kiedyś, teraz wszystko się zmieniło. Zmieniło się diametralnie.

Czyżby Joshowi nie wystarczało już podbijanie bębena swoich wyczynów? Teraz usiłował także podnieść poziom dokonań Creema. Bo jeśli nie, to znaczy, że chce przyspieszyć grę i przerzucić piłeczkę na stronę partnera. W gruncie rzeczy różnica między jedną a drugą możliwością nie miała znaczenia. Chodziło o to, że Bergman doskonale wiedział, co on lubi.

– To niespodzianka – powiedział Creem. – Zakładam, że dziewczyna spełnia wymogi.

– O tak, ma wielki potencjał – odparł wesoło Bergman. – Rzekłbym, że jest prawie perfekcyjna. Ale tu zaczyna się twoja rola, doktorze. Co byś powiedział, gdybyśmy przemknęli obok twojego domowego gabinetu około ósmej?

Otóż to, *tour de salaud* Josha, jego niecna sztuczka.

– Rozumiem. Chcesz przy tym być. Na czym polega twoje zamówienie?

Bergman parsknął śmiechem.

– Właśnie dlatego lubię z tobą pracować, Elijah. Znasz mnie tak dobrze. – Zakrył dłonią telefon i zwrócił się do dziewczyny: – Doktor Creem mówi, że nie może się ciebie doczekać, kotku.

To było wyśmienite przedstawienie. Niewielu cieszy się takim zaufaniem wśród modelek jak geje, a kto oprócz Josha Bergmana potrafił na jednym oddechu odegrać siostrzyczkę kandydatki na gwiazdę i podesłać ją komuś do zabawy?

Creem spojrział na zegarek. Było tuż po siódmej.

– Powiedzmy ósma trzydzieści. I nie parkujcie na ulicy. Zostawię garaż otwarty. Jeszcze jedno, Josh.

– Tak.

– Jeśli ją tu przywieziesz, będziesz musiał się jej pozbyć – zapowiedział Creem. – Rozumiemy się?

– Jak kryształ. Miło się rozmawiało, doktorze. Do zobaczenia niebawem.

Rozdział 27

Punktualnie o ósmej trzydzieści rozbrzmiały elektryczne kuranty przed poczekalnią na parterze domu doktora Creema. Bergman prawie zawsze był punktualny co do minuty i dzisiaj nie zrobił wyjątku. Kiedy Creem otworzył drzwi, stał tam z posągową blondynką przy ramieniu.

Miał na sobie prostą marynarkę na dwa guziki i białą koszulę rozpiętą przy kołnierzu. Nazywał to swoim mundurkiem. Młoda kobieta była w małej czarnej, jakby chciała powiedzieć, jestem poważną modelką, ale jeśli w drodze na szczyt trzeba będzie raz czy dwa zrobić komuś dobrze ręką, to nie mam nic przeciwko temu.

– Myliłem się czy nie? – spytał Josh.

– Nie myliłeś się – odparł Creem, zapraszając oboje gestem do środka. – Śliczna z pani dziewczyna, panno...

– Larissa Swenson, doktorze Creem – odpowiedział Bergman, obrzucając wzrokiem pomieszczenie. – Pewnie nie masz tu na dole nic do picia, Elijah?

– Bardzo dziękuję, że zechciał pan mnie przyjąć – odezwała się dziewczyna. Dotyk jej ręki był ciepły, skóra idealnie gładka. – Pan Bergman mówi, że jest pan najlepszy.

– Pan Bergman ma głowę na karku. – Creem nie spuszczał z niej wzroku. – Joshua, poszukaj w konsolecie w pokoju telewizyjnym w głębi korytarza.

Zdążył już zapomnieć imię dziewczyny, ale rzeczywiście była doskonała. Poczuł dreszcz adrenaliny na kręgosłupie i napięcie szczęki. Teraz wiedział, że tak smakuje powrót do życia. To samo wrażenie towarzyszyło mu tego wieczoru, gdy znalazł się sam na sam z Darcy Vickers.

– Recepcjonistka ma w tym tygodniu wolne – oznajmił dziewczynie. – Papiery wypełnimy później, jeśli nie robi to różnicy.

– Ależ oczywiście – odpowiedział Bergman, który wrócił z trzema kieliszkami w jednej dłoni i karafką z ciętego kryształu w drugiej. – Larisso? Elijah? Napijcie się?

– Nie, dziękuję – odrzekła grzecznie dziewczyna.

– Może później – rzucił Creem.

– Jak chcecie. – Bergman nalał sobie na dwa palce i odwrócił się w stronę drzwi gabinetu. – To tam, jak rozumiem? – Nawet nie próbował dłużej maskować podniecenia. To było trochę zabawne i trochę zaraźliwe.

– Panowie wejdą tam... obaj? – zapytała dziewczyna. Nagle zrobiła się czujna, lecz Creem obdarzył ją swoim najlepszym uśmiechem profesjonalisty. Skutkowało za każdym razem.

– To leży w pani interesie – rzekł. – Josh weźmie na siebie koszty wszystkich zabiegów, nie wątpię, że panią o tym uprzedził. Ale jeśli chce pani zrezygnować z konsultacji, to teraz jest najodpowiedniejsza chwila.

– Nie – odparła szybko dziewczyna. – Wszystko w porządku. – Powiedziała to tak, jakby chciała przekonać samą siebie. Ślepa ambicja, nie inaczej!

– Jest pani pewna? – zapytał Creem ot tak, dla zabawy. Wiedział, że już ją ma.

Kilka minut później cała trójka była w gabinecie. Creem stał z tabliczką do notowania w dłoni, a dziewczyna wyszła z przebieralni w cienkim niebieskim szpitalnym szlafroku. Josh przyglądał się jej z ciekawością, siedząc na obrotowym krześle w kącie.

– A zatem – odezwał się Creem, spoglądając na biały formularz. – Do czego się przymierzamy?

– Podkreślenie biustu na pewno – zapiał Bergman. – Chcemy, żeby Larissa nadawała się na wybieg, na okładki, rozkładówki, wszystko. Prawda, kotku?

– Jasne, że tak – potwierdziła z uśmiechem determinacji.

Creem położył tabliczkę za nią i wyjął z kieszeni wskazówkę z nierdzewnej stali.

– No dobrze, stań przede mną wyprostowana z dłońmi na biodrach – polecił. Rozwiązał szlafrok i cofnął się o krok, żeby popatrzeć. Odgrywał

przedstawienie do końca.

– Ładna symetria, skóra elastyczna – ocenił. – Wystarczy, że zrobię małe nacięcie, o tutaj.

Wskazówką nakreślił linię pod piersią dziewczyny. Nie robił tego z myślą o niej, lecz o Bergmanie, który wyświadczył mu tę przysługę i dostarczył towar do domu. Zasłużył na dobry spektakl. Czemu nie?

– W tym miejscu chciałbym ciąć. Widzisz? – powiedział Creem.

– Widzę – odparł Bergman. Dziewczyna tylko skinęła głową.

– Ale nie ograniczajmy się – ciągnął Creem. – Kontynuować?

– O tak. – Bergman nalał sobie drugiego drinka. – Powiedz mi, o czym myślisz, Elijah.

Creem przesunął się nieco w bok i wcisnął koniuszek w jędrną wypukłość dziewczyny.

– Powiedzmy, że chcemy odrobinę wpuścić brzuszek. Wtedy mógłbym wejść tutaj, a może nawet tutaj... – Przyłożył instrument do brzucha poniżej pępka. Napotkał większy opór, lecz to oznaczało lepsze oparcie dla noża. Coś w tym rodzaju? – zapytał Creem, pozornie zwracając się do dziewczyny, lecz i tym razem odpowiedział mu Bergman.

– Tak. – Jego głos zabrzmiał nieco ciszej niż poprzednio. – Coś w tym rodzaju.

– A uda? – mówił dalej Creem, kierując uwagę ku dołowi. – Drobne przycięcie nie wymagałoby wiele wysiłku. – Nakreślił kolejną linię wzdłuż mięśnia lędźwiowo-udowego i zatrzymał się tuż nad tętnicą udową, jego ulubioną. – W tym miejscu chciałbym ciąć. Właśnie tutaj.

– Mhm – mruknął Bergman. Dziewczyna zamrugła kilka razy. Była już należycie zdezorientowana.

– Zrobię parę notatek – powiedział Creem i wskazał szlafrok. – Możesz go już zawiązać, Justine.

– Larisso – sprostowała.

– A tak, wybacz. Tak bardzo przypominasz moją córkę. Jesteś naprawdę ładną podobną.

Odłożył wskazówkę i podszedł do tabliczki, którą położył za dziewczyną.

Tam otworzył szufladę i wyjął skalpel numer osiemnaście. Świetnie nadawał się do głębokiego cięcia, a dzięki zrobionemu na zamówienie uchwytowi był jak przedłużenie ręki doktora.

Pewnie powinien użyć tego samego co poprzednio taniego noża do mięsa; wiedział o tym. Spoczywał tuż obok w szufladzie, zostawił go tam pół godziny wcześniej. Ale dziewczyna miała taką skórę, że czułby się, jakby rznął porcelaną piłą tarczową.

Wystarczy, że później potraktuje nieco brutalniej swoje dzieło, by zatrzeć ślady.

– No więc co sądzisz, Josh? – Odwrócił się twarzą do przyjaciela. – Usłyszałeś już dość czy mam kontynuować?

– Kontynuuj – odparł momentalnie Bergman. Jego wzrok skupił się na skalpeli w dłoni doktora Creema. Siedział całkowicie bez ruchu, a jego głos przypominał głośny szept. – Jak najbardziej, Elijah. Kontynuuj, proszę.

– Ty też nie wyrażasz sprzeciwu, Justine? – spytał Creem.

– Larisso... – powiedziała znów dziewczyna.

– Ciii – rzekł Creem. – To bez znaczenia, Justine. Stój ładnie i prosto jak grzeczna dziewczynka. Będzie po wszystkim, zanim się zorientujesz.

Rozdział 28

Kiedy było po wszystkim, Creem i Bergman bez trudu zrobili z dziewczyny pakunek i przygotowali ją do transportu. W gumowych rękawiczkach włożyli ją do białego nylonowego worka, jakich używa się do przewożenia ofiar katastrof, i zanieśli do holu, a stamtąd prosto do garażu, w którym czekał samochód Bergmana z otwartym bagażnikiem.

Znów jest tak jak w czasie ferii wiosennych w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym, myślał Creem. Zdarzają się cudowne drobne zakamarki czasu, w których zwykle zasady tego świata nie obowiązują.

Trudno powiedzieć, że powodziło im się wtedy lepiej: mieli czterocyfrowe konta w bankach i snuli się po Fort Lauderdale gównianymi autami, szukając dreszczyku emocji. Ale bez dwóch zdań były to złote czasy.

– Co jest lepsze od złota? – zapytał Creem.

– Pewnie platyna – odparł Bergman. – Dlaczego pytasz?

– I to jest to, Josh. To są nasze platynowe czasy.

Uniósł kieliszek do toastu. Stali oparci o maskę audi i pili szesnastoletni bourbon Hirsch Reserve; Creem rozkoszował się cygarem.

– Wypiję za to – powiedział Bergman.

– Ty wypiłbyś za cokolwiek – zauważył Creem, a jego przyjaciel wzruszył ramionami, bo była to prawda. – A tak w ogóle, to co zamierzasz z nią zrobić?

– Park Rock Creek. Znam tam jedno miejsce.

Creem strząsnął puknięciem palca popiół z cygara Romeo y Julieta, tak że spłynął niczym śnieg na betonową posadzkę garażu. Doktora przepełniał spokojny kontemplacyjny nastrój, wcale nie był podkreślony tak jak Josh. Z przyjemnością patrzył na zadowolenie przyjaciela, ale niepokoiło go, że

jest tak intensywne. Jego radość była nieomal za wielka, jeśli istnieje coś takiego jak zbyt wielka radość.

– Tylko uważaj – przestrzegł. – Już nie mamy po dwadzieścia dwa lata, Josh. Jesteśmy lepsi niż wtedy.

– Zawsze uważam.

– Nie, właśnie że nie.

– To prawda – przyznał Bergman i obaj się roześmiali. – Ale będę, Elijah. Słowo honoru. Razem to zaczęliśmy i razem skończymy, kiedy nadejdzie czas. Przrzekam.

Creem nie był całkiem pewien, co przyjaciel ma na myśli. Może to bourbon przez niego mówił. A może nic to nie znaczyło. Lecz z sobie znanych powodów nie drążył dalej. W odpowiednim czasie podejmie wątek.

Dopił drinka i wyprostował się, dając Joshowi znać, że już na niego pora. Był zmęczony, chciał się położyć.

A tej nocy będzie spał jak dziecko.

Rozdział 29

Kiedy telefon w moim domu dzwoni o drugiej w nocy, istnieje spora szansa, że ktoś zginął. Pytanie brzmi jedynie: czy to mój telefon dzwoni, czy Bree. Ona pracuje w wydziale przestępstw z użyciem przemocy, a ja w wydziale przestępstw ciężkich.

Tej nocy odezwała się moja komórka. Sierżant Huizenga podała mi szczegóły, zanim zdążyłem się w pełni obudzić. Znalaziono następane ciało, tym razem w parku Rock Creek. Biała kobieta. Liczne rany kłute. Ostrzyżone włosy.

Druga Darcy Vickers.

– Zaraz tam będę – powiedziałem i wstałem ze ściśniętym żołądkiem. Jeśli to zabójstwo było tym, na co wyglądało, nasze śledztwo, już i tak skomplikowane, nabierało nowego wymiaru.

Idąc kilka minut później po schodach, ze zdziwieniem zobaczyłem poświatę telewizora migającą z salonu. Nana miała własny odbiornik w swoim pokoju, wszystkie dzieci zaś, o ile wiedziałem, były już w łóżkach.

Na kanapie spała Ava. Usnęła w pozycji siedzącej z pilotem w dłoni i brodą opartą na piersi. Telewizor był wyciszony, na ekranie bezgłośnie przesuwały się sceny odcinka serialu *Hoarders*. Ava nie rozebrała się, miała nawet na nogach nowe zamszowe buty, które kupiła jej Bree.

A może ubrała się ponownie i wymknęła nocą z pokoju?

– Ava, musisz iść do łóżka – powiedziałem, kładąc rękę na jej ramieniu.

Nie poruszyła się.

– Ava? – Obszedłem ją i potrząsnąłem. – Ava! – Poruszyła się, ale ledwo, ledwo. Otworzyła oczy i spojrzała na mnie jak na kogoś obcego.

– Co? – wymamrotała niewyraźnie, a mnie ścisnęło w piersi.

– Ava, czy ty jesteś na haju? – zapytałem i włączyłem lampę obok kanapy, a ona zasłoniła sobie twarz. – Pokaż oczy.

– Nie jestem na haju – powiedziała i odwróciła głowę.

Ale ja nie zamierzałem się patyczkować. Usiadłem, ująłem ją za ramiona i obróciłem twarzą do siebie.

– Spójrz na mnie, w tej chwili.

Nie miała przekrwionych oczu, choć tego się spodziewałem, lecz źrenice były pomniejszone. To mógł być jeszcze gorszy objaw.

– Ava, co ty wzięłaś?

– Nic.

– Czy to było oxy czy coś innego?

Oxycontin jest drogi, ale w obiegu jest mnóstwa tańszych i groźniejszych podróbek. Ava miała już czternaście lat, mogła więc wpaść na ulicy na wiele zakazanych substancji, zwłaszcza że pochodziła z takiego, a nie innego środowiska. Nieliczni znajomi, o których wiedziałem, lubili włóczyć się w okolicy Seward Square. Czy tam właśnie była dziś wieczorem?

– Co się tu dzieje? – odezwała się Nana, nagle pojawiając się w drzwiach. Jej pokój jest na piętrze, ale Nana ma najłżejszy sen ze wszystkich ludzi na świecie.

Ava przesunęła się na drugi koniec kanapy.

– Mówi, że coś zrobiłam, a ja tego nie zrobiłam. Dlaczego zawsze myśli, że coś przeskrobałam, do cholery?

– Uważaj na słowa – powiedziała Nana i usiadła na poduszce między nami. Odwróciła się do dziewczynki. – Czego nie zrobiłaś, kochanie?

– Mówi, że jestem na haju, ale ja nie.

– Nie jestem – poprawiła ją mimo woli Nana.

– Dlaczego jeszcze nie śpisz? – zapytałem. – Wymknęłaś się z pokoju?

– Widzisz? – Ava wskazała na mnie palcem. – Wszystko niby robię źle.

Spojrzałem ze zdenerwowaniem na Nanę. Musiałem jechać na miejsce zbrodni, to nie mogło czekać.

– Idę po Bree – oznajmiłem.

– Nie, pozwól jej pospać. Położę Avę w moim pokoju i nie spuszczę jej

z oka. – Nana zerknęła na krawat i kluczyki, które trzymałem w dłoni. –
Widzę, że dokądś się wybierasz.

Nie znosi mojej pracy, często to okazuje. Ale dlaczego nagle poczułem się
w tej sytuacji jak winowajca?

– Nano – zacząłem.

– Idź już.

Spojrzałem jeszcze raz na Avę. Zmagala się z sennością czy z czymś
innym?

– Wrócę rano najwcześniej jak się da, wtedy o tym porozmawiamy.

Przewróciła oczami, ale nie odpowiedziała. Dopiero gdy wychodziłem
z domu, ponownie usłyszałem jej głos.

– Tak się zawsze dzieje z samego rana.

Rozdział 30

Tym razem nie byłem pierwszy na miejscu zbrodni. Kiedy tam dotarłem, oprócz radiowozów zaparkowanych na terenie rekreacyjnym przy Beach Drive w parku Rock Creek były także nieoznakowane samochody na parkingu.

Centrum akcji znajdowało się po przeciwnej stronie trawnika na skraju lasu, w miejscu gdzie Rock Creek płynie przez park o obszarze prawie dwóch tysięcy hektarów. Wkrótce będziemy mieli do pomocy reflektory, lecz na razie wszyscy pracowali, używając latarek ręcznych i czołówek.

Sierżant Huizenga stała oparta o rozkładany stolik, podpisywała jakiś papier umundurowanemu funkcjonariuszowi i jednocześnie rozmawiała przez telefon.

– Tak, proszę pana, wiem. Tak, tak, jesteśmy w trakcie. Oczywiście.

Domyśliłem się, że ma na linii albo szefa policji, albo samego burmistrza. Niewielu słyszy grzeczne „proszę pana” od Marti Huizengi. Dobra z niej policjantka, ale czasem nie daje sobie rady ze swoim temperamentem.

– Mamy przechłapane, Alex – rzuciła, rozłączywszy się. – Mogliśmy to rozwiązać dziś w nocy, a dalej mamy przechłapane. Centrum dowodzenia urzędu burmistrza naskoczyło na mnie tak, że ledwo dyszę. Skąd oni w ogóle się dowiedzieli?

To było pytanie retoryczne. Urzędy burmistrzowskie bywają różne, a ten cechowała silna skłonność do szybkiego wkraczania do akcji. To, że otrzymywaliśmy zwiększone środki od miasta, tylko pogarszało sytuację. Zwiększone środki oznaczały zwiększony nadzór, podległość, a czasem również – tak, tak – mieszanie się. Oto jeden z powodów, dla których w miarę możliwości unikam pięcia się w górę w policji. Jeśli tylko mam na to wpływ, lubię pracować przy śledztwach, a nie w polityce.

Ruszyłem za Huizengą między drzewa ku strumieniowi, do miejsca, w którym znaleziono zwłoki.

Byli tam już Errico Valente i Tom D'Auria. Valente jest głównym śledczym w sprawie Darcy Vickers, a D'Auria to szef wydziału zabójstw. Wyglądało na to, że nikt nie stoi z boku.

U ich stóp, przy samej wodzie leżała twarzą do ziemi obnażona ofiara. Była tam na tyle długo, że dała się zauważyć sinica pośmiertna. Za sprawą siły ciężenia na dolnych częściach ciała zebrała się krew, tworząc jasnoczerwoną linię.

Jeśli poprzednie zabójstwa stanowiły jakąś wskazówkę, to w czasie napaści ofiara powinna była stracić sporo krwi, jednak na pierwszy rzut oka nie było jej widać na ziemi wokół. Nie było także obciętych włosów, choć została ostrzyżona prawie do samej skóry. A to znaczyło, że przywieziono ją tutaj z innego miejsca.

– Zidentyfikowaliśmy ją? – zapytałem.

Valente pokręcił głową.

– Jak dotąd nie. Ma rany klute na klatce piersiowej, brzuchu i górnej części ud.

– Podobnie jak Darcy Vickers – zauważyłem.

– Taak.

– Cholera.

Z psychologicznego punktu widzenia mieliśmy do czynienia z zupełnie nowym rodzajem sprawcy. Mój najgorszy koszmar: ktoś, kto zasmakował w swoim rzemiośle. Pierwszy mord się udał, więc sprawca nie miał ani krzty powodu, by przestać. Wprost przeciwnie. Odstęp czasowy między Darcy Vickers i tą młodą kobietą był, statystycznie rzecz biorąc, bardzo krótki. Nawet jeśli sprawca jeszcze nie myśli o następnym posunięciu, to niebawem zacznie myśleć.

Poza tym wydawało się dość oczywiste, że zabójca ma swój ulubiony typ. Nagość odróżniała tę ofiarę od Darcy Vickers, lecz fizyczne podobieństwo obu ofiar było uderzające. Dziewczyna wyglądała jak córka pani Vickers,

miała bladą skórę, resztki blond włosów i proporcjonalną sportową sylwetkę.

Przyszedł mi na myśl starszy mężczyzna, którego zobaczyliśmy na zapisie z kamery bezpieczeństwa na parkingu, gdzie znaleziono Vickers. Czy ktoś taki jak on mógł ją przetaszczyć aż tutaj? Może i tak. Ale czy tak się stało?

Plecy i nogi dziewczyny były umazane błotem. Wszystko wskazywało na to, że przyniesiono ją nad brzeg strumienia, zrzucono w dół i zostawiono. Jednak jej prawa ręka była tak ułożona nad głową, że coś mi w tym nie pasowało?

– Czy ta pozycja wygląda wam na naturalną? – zapytałem.

– Dlaczego? – odezwała się Huizenga. – Co masz na myśli?

Obszedłem zwłoki, żeby się lepiej przyjrzeć, i zaświeciłem latarką. Dłoń dziewczyny zacisnęła się luźno w pięść, i tylko palec wskazujący odstawał. Albo wskazywał w dół strumienia.

– Jak szeroki teren przeszukujemy? – spytałem.

– Tylko to, co widzisz – odparł Valente. Paru techników przeczesywało brzegi w pobliżu, ale jak dotąd żaden nie oddalił się od zwłok na więcej niż dziesięć metrów.

– O czym myślisz, Alex? – chciała wiedzieć Huizenga.

– Sam nie jestem pewien. – Może za dużo myślałem. A może nie. – Coś mnie zaciekawiło. Przejdiesz się ze mną?

Zostawiliśmy Valentego i D'Aurię z dziewczyną i ruszyliśmy w dół biegu strumienia.

Nie potrwało to długo. Po przejściu mniej więcej trzydziestu metrów dotarliśmy do płytkiego zakola i snop światła mojej latarki padł na coś przed nami.

Następne ciało, uświadomiłem sobie momentalnie. Spadła na mnie nowa fala lęku. Z czym przyszło nam się zmagać?

– O Boże – westchnęła Huizenga i krzyknęła przez ramię: – Niech ktoś tutaj przyjdzie! Szybko!

Podbiegłem, by sprawdzić, czy ofiara daje znaki życia, lecz zanim przyklęknąłem, zorientowałem się, że nie ma na to szans. Tym razem młody

mężczyzna. Biały, całkowicie ubrany. Trafiony z broni palnej w twarz, miał szereg świeżych ran kłutych, wszystkie wokół krocza.

Drugi Cory Smithe.

Pozostawiono go na skraju wody tak jak tamtą kobietę, z ręką wyciągniętą nad głową. Dłoń miał zaciśniętą w luźną pięść, palec wskazujący skierowany był w górę strumienia, ku miejscu, z którego przed chwilą przyszliśmy.

Rozdział 31

Zanim ktokolwiek zdążył nadejść, Huizenga odwróciła się i zaświeciła latarką między drzewa na przeciwnym brzegu.

– Co tam jest? – powiedziałem.

– Ciii!

Położyła mi dłoń na rękę i wskazała. Wtedy usłyszałem. Ktoś szedł szybko przez las, łamiąc gałązki i depcząc po suchych liściach i miękkim gruncie.

Huizenga ruszyła w tamtą stronę tuż przede mną.

– Kimkolwiek jesteś, zatrzymaj się! Jestem z policji. Nie zmuszaj mnie, żebym cię goniła!

Mam nogi prawie dwa razy dłuższe niż ona, zostawiłem ją z tyłu, kiedy wspiąłem się na brzeg i minąłem linię drzew. W jednej dłoni trzymałem glocka, a w drugiej latarkę. Może ścigaliśmy jakiegoś bezdomnego albo ciekawskiego dzieciaka, ale jeśli nie, to chciałem go dopaść, i to bardzo.

Wbiegłszy na jakieś dwadzieścia metrów w las, stanąłem i zacząłem nasłuchiwać. Ktokolwiek to był, do tej pory kierował się w stronę Szesnastej Ulicy, ale teraz skręcił i biegł równolegle do strumienia.

Słyszałem głos Huizengi przez radio; była gdzieś za mną.

– ...wszystkie jednostki na Szesnastą Ulicę, na północ od Sherrill Drive. Mamy tu uciekiniera pieszego, prawdopodobnie chce się wymknąć z parku Rock Creek...

Ponownie przyspieszyłem. Zawadzając twarzą o niskie gałęzie, pędziłem na adrenalinie.

Tupanie znów zmieniło kierunek, ale tym razem uchwyciłem biegnącego w snop światła. Był to mężczyzna w ciemnym ubraniu. Tylko tyle zobaczyłem. Wbiegł na niewielkie wzniesienie gruntu na wprost przede mną i za nim zniknął.

Deptałem mu po piętach i kilka sekund później wypadłem na chodnik na Sherrill Drive. Droga skręcała ostrym łukiem i wychodziła z parku. Nigdzie jednak nie było widać uciekiniera. Czyżby wbiegł z powrotem w las? A może skręcił i pomknął drogą?

Gdybym miał jeszcze pół sekundy, zrozumiałbym, dlaczego przestałem go słyszeć. Ale jej nie miałem. Poczułem uderzenie czymś ciężkim w tył głowy. Kolana ugięły się pode mną i nagle pole widzenia w ciemności rozmyło się całkowicie. Ból przeszył mi szyję i plecy, runąłem na chodnik.

Spróbowałem od razu poderwać się na nogi, ale na próżno. Wszystko wirowało. Ziemia się obróciła, a ja znów leżałem.

– Alex?

Usłyszałem Huizengę, jak porusza się wśród drzew.

– Szesnasta Ulica! – krzyknąłem. – Idź dalej!

Nie byłem tego pewny, ale w tej chwili nie robiło to różnicy. Zdołałem uklęknąć i czekać, aż wróci mi poczucie równowagi. Sekundy mijały, a właśnie one o wszystkim decydowały.

Kiedy wreszcie pojawiła się przy mnie Huizenga, uciekinier był już daleko, bardzo daleko.

Rozdział 32

Straciłem dobre pół godziny z sanitariuszami, zanim Huizenga puściła mnie znów do pracy. Nie doznałem wstrząśnienia mózgu, miałem tylko rozciętą skórę i bolała mnie głowa. Huizenga i tak chciała mnie odesłać do domu, ale się nie upierała.

Kiedy doszedłem do siebie, pojawił się kapitan Perkins z Jessicą Jacobs. Był głównym śledczym w sprawie morderstwa Cory'ego Smithe'a. Wszystko wskazywało na to, że mamy do czynienia albo z niezwykle pracowitym psychopata, albo – co bardziej prawdopodobne – z dwoma, którzy byli ze sobą powiązani ściślej, niż przypuszczaliśmy.

Jak dotąd nie udało się zidentyfikować żadnej z ofiar, ale już postanowiono, że rano policja zorganizuje dużą konferencję prasową i przedstawi ocenę sytuacji.

– Czy to aby na pewno dobry pomysł? – zapytałem. – Nie słyszałem wprawdzie waszej dotychczasowej rozmowy, ale...

– Telefonów od burmistrza też nie odbierałeś – wpadła mi w słowo Huizenga. – To już postanowione, Alex, taka jest rzeczywistość. Bierzmy się do roboty. Powiedz, co o tym wszystkim myślisz.

Czy mi się to podoba, czy nie, jestem profilerem w wydziale zabójstw, choć nie jest to moją oficjalną funkcją. Tak czy owak, przyszło mi już do głowy parę nowych pomysłów.

– Zakładając, że zabójców jest dwóch, powiedziałbym, że obaj są biali tak jak ich ofiary, na to wskazuje statystyka. Inteligentni i dobrze zorganizowani, ale zarazem gniewni. Nie musi ich łączyć ten sam rodzaj gniewu.

Morderstwo nie zawsze idzie w parze z gniewem, lecz właśnie ta cecha uderzyła mnie najbardziej we wszystkich czterech zabójstwach. Żadne nie

było proste pod względem metody. Zwłaszcza użycie noża wykraczało daleko poza konieczność, jeśli celem było pozbawienie życia.

Tak więc łączyła się z tym jakaś emocja, może również chęć realizowania fantazji. I prawie na pewno jakaś psychoza funkcjonalna, przy której naprawdę trudno namierzyć sprawcę.

A tym bardziej dwóch.

Wygłosiłem swój mały wykład i zamknąłem się, a potem słuchałem, jak D'Auria rozdziela zadania na najbliższe godziny. Jakkolwiek na to patrzeć, uruchomiliśmy całkiem niezłą maszynę śledczą.

Valente miał się zająć identyfikacją obu ofiar, Jacobs poprowadzi odprawę o szóstej w komendzie. Kapitan Perkins spędzi kilka godzin z ludźmi burmistrza; D'Auria będzie twarzą policji na konferencji prasowej, a reszta z nas będzie stała za jego plecami, demonstrując w ten sposób siłę. Czasami ważne są pozory, a Waszyngton potrzebował wiary, że policja pracuje nad sprawą.

Huizenga i ja mieliśmy zebrać zespoły, przejrzeć wszystkie doniesienia i zeznania świadków, a także przesłuchać ponownie każdego, kto pierwszy poinformował o morderstwach. Należało także zabrać się od nowa do sporządzania profili ofiar. Może istniało między nimi jakieś powiązanie, jakaś wspólna nić, która nam umknęła. Musiało istnieć.

Coś łączyło te sprawy ze sobą. My zaś musieliśmy jedynie wykombinować, co to jest.

Rozdział 33

Tuż po wschodzie słońca ukradłem godzinę, której nie miałem, i zajechałem przed dom, zanim Ava wyszła do szkoły. Jannie i Alego już nie było, jednak Bree powiedziała Avie, że usprawiedliwi pisemnie jej spóźnienie. Musieliśmy porozmawiać.

Było wiele powodów do niepokoju. Uśmiechnięta Ava z wczorajszego wieczoru w Kinkead's okazała się chwilowym przejaśnieniem na ciemnym niebie. Ostatnio niemal przez cały czas chodziła posępna i wycofana, prawie nie sposób było do niej dotrzeć. To, co zobaczyłem w nocy, jeszcze bardziej powiększyło dystans.

– Nie byłem na haju! – oznajmiła z uporem, gdy tylko usiedliśmy w salonie. – Nie byłem! Naprawdę.

– Byłaś nieobecna – odparłem.

– No, co mam powiedzieć? Przysięgam na Boga, może być?

Nie wiedziałem, czy jej wierzyć, czy nie. Rozpaczliwie chciałem jej uwierzyć choćby po to, by zbudować jakąkolwiek więź wzajemnego zaufania. Ava potrafiła jednak kłamać, łatwo jej to przychodziło, a tej skłonności nie chciałem wzmacniać. Pragnąłem, by swój bystry umysł wykorzystwała do czegoś lepszego niż szybkie kłamstwo i wykręt.

– Dlaczego byłaś ubrana w środku nocy? Wymknęłaś się z pokoju? – zapytała Nana.

Po raz pierwszy ogień przygasł w oczach Avy. Wysunęła szczękę i wlepiała wzrok w podłogę, jednocześnie odpowiadając i nie odpowiadając.

– Nie możemy na to pozwolić, Avo – powiedziała Bree. – Absolutnie nie możemy.

– Wiem – odparła dziewczynka. – Ale niczego nie brałam, jeśli to macie na myśli.

– Tak czy siak – odezwała się Nana – teraz to i owo się tutaj zmieni. Koniec latania do sklepu, obijania się z kolegami po Seward Square. Koniec długich powrotów do domu ze szkoły, takich jak dotąd. I absolutnie żadnego wychodzenia samej z domu w nocy. Nie igraj sobie ze mną, panno Avo.

– Dobra, już dobra – powiedziała dziewczynka i chciała wstać. – Mogę iść?

– Nie możesz – rzuciła Bree. – Siadaj.

Ava usiadła i skrzyżowała długie ramiona na piersi. Była o dwa lata młodsza od Damona, ale tak samo jak on wysoka i szczupła.

– Avo, czy ty rozumiesz, skąd to wszystko wypływa? – zapytała Bree. – Kochamy cię. Nie chcemy, żeby spotkało cię coś złego. Gdyby coś ci się stało, to tak jakby stało się nam. Czy to brzmi zrozumiale?

Ava tak jak przedtem zareagowała wzruszeniem ramion, lecz widziałem, że im dłużej trwa ta rozmowa, tym dziewczynka staje się mniejsza. Oddychała przez nos, a jeśli mnie wzrok nie mylił, wstrzymywała łzy.

Do tej pory się hamowałem. Prawda była taka, że Ava lepiej reagowała na słowa Nany i Bree niż na moje. Ale nie chciałem dłużej milczeć. Przesunąłem podnózek i usiadłem naprzeciwko niej, twarzą w twarz. Teraz będzie musiała mnie wysłuchać.

– Chcesz należeć do tej rodziny? – zacząłem.

– Hm?

– Nie mówię, że musisz w tej chwili wybierać, gdzie chcesz mieszkać. Na razie jesteś na nas skazana. Ale mówię, że w tym domu jest rodzina i możesz do niej należeć, jeśli chcesz. Chcesz?

Wraz z Naną i Bree postanowiliśmy, że poczekamy do końca roku szkolnego i poważnie zastanowimy się nad adopcją. Ava nadal znajdowała się pod nadzorem systemu adopcyjnego, więc może tymczasem nie powinienem nic mówić. Ale z drugiej strony, to ja wlokłem się na końcu z zadyszka.

Ava jeszcze bardziej skuliła się w sobie i zacisnęła ramiona na chudym tułowiu. Zobaczywszy pierwszą łzę na jej policzku, nie namyślałem się. Po prostu objąłem ją i mocno przytuliłem.

W pierwszej chwili się usztywniła. Ale potem nagle pękła. Jakby

zamieniła się w moich ramionach w szmacianą lalkę i zaczęła szlochać tak, jak jeszcze nigdy przy mnie nie szlochała. Nana położyła dłoń na jej plecach. Bree zrobiła to samo z drugiej strony i przez dłuższy czas nikt nic nie mówił.

To Ava odezwała się pierwsza.

– Tęsknię za mamą – powiedziała przytulona do mojej piersi. I jeszcze mocniej się rozplakała, jak gdyby samo to wyznanie przyniosło ból.

– Naturalnie, że tak – odrzekłem, kołysząc ją delikatnie. – Ja też bym tęsknił.

Serce się krajało. Nikt do tej pory nie pokazał Avie, co to znaczy naprawdę się o nią troszczyć. Ojciec nie istniał, a uzależnienie matki od narkotyków było silniejsze niż więź z córką. Jednak ta matka była jedyną, jaką Ava знаła. Bardziej martwiłbym się, gdyby za nią nie tęskniła.

Pozostało nam jeszcze wiele kwestii do omówienia i do wspólnego załatwienia. Ale tymczasem wydawało się, że tym, czego Ava potrzebuje najbardziej, jest wypłakanie się.

Może nawet był to krok we właściwym kierunku.

Rozdział 34

Konferencję prasową wyznaczono na dziesiątą rano. Tak duże przedsięwzięcia organizujemy w największym pomieszczeniu komendy, które jest również salą okazań. Jedyna różnica polegała na tym, że to my, gliniarze, mieliśmy ustawić się w szeregu.

Kiedy dotarłem na miejsce, wszystko było w ruchu. Na krzesłach zasiadło co najmniej osiemdziesięciu reporterów, pod tylną ścianą ustawiono ze dwadzieścia kamer. Kanały Czwarty, Piąty, Siódmy i Dziewiąty nadawały na żywo, byłem tego prawie pewny. Stacje ogólnokrajowe prawdopodobnie badały grunt; zapewne zastanawiano się, czy komentarze do wydarzeń warto rzucić wieczorem na promptery Diane Sawyer czy Brianowi Williamsowi.

Małe niskie podwyższenie już zastawione było nierównym bukietem mikrofonów. Jednostronnie przezroczyste szkło zasłonięto ciężką niebieską kotarą.

D'Auria już przygotowywał się do startu, więc podszedłem i zająłem miejsce za nim obok reszty szefostwa: Huizengi, Jacobsa, Valentego i kapitana Perkinsa. To był świadomie stworzony obraz dla kamer, a jakże. Waszyngton musi się dowiedzieć i zobaczyć, że policja poważnie zabrała się do śledztwa w sprawie serii morderstw.

Punktualnie o dziesiątej nasz rzecznik Joyce Catalone zamknął zabezpieczone drzwi do holu i skinął D'Aurii, by zaczynał. Ten podszedł do mikrofonów.

– Dzień dobry państwu. Jestem kapitan D'Auria z policji metropolitalnej. Mam przygotowane oświadczenie na temat wydarzeń minionych dwunastu godzin, potem będzie czas na pytania.

Szybko podał podstawowe informacje, nie wdając się w szczegóły dotyczące sposobów dokonania zabójstw, użytych narzędzi i miejsc, w których znaleziono ciała. Było za wcześnie na upublicznianie takich danych. Podał jednak nazwiska obu ofiar: Larissa Swenson i Ricky Samuels. To była dla mnie nowość. Ostatnio znaliśmy ich jako N.N.

Wyjaśnił także, że Samuels był znany ze świadczenia usług seksualnych, podobnie jak Cory Smith. Nie wspomniał jednak o fizycznym podobieństwie pani Swenson i Darcy Vickers.

Postąpiłbym podobnie. Geje trudniący się prostytutką to specyficzna grupa, być może wykorzystają tego rodzaju informację, by wzajemnie się chronić. Nie istnieje jednakże skuteczny sposób, by przestrzec liczną populację atrakcyjnych blondynek mieszkających w mieście. Przed czym właściwie należałoby je ostrzegać? To, co na danym etapie użyteczne, od tego, co może jedynie wzniecić panikę, oddziela cieniutka linia. Czasem trzeba zgadywać, rzucić kości na stół.

Gdy tylko D'Auria doszedł do końca oświadczenia, posypały się pytania. Początkowo dotyczyły zwykłych kwestii logistycznych. Czy ciała znaleziono w pobliżu siebie? Tak. Jak blisko? Bez komentarza. Czy policja ma jakieś dowody świadczące o powiązaniach między tymi dwiema ofiarami? Bez komentarza. Czy po południu policja przekaze mediom nowe informacje? Tak, jeśli się pojawią.

Po około pięciu minutach D'Auria wskazał Beva Shermana z „Post”, by ten zadał pytanie, i sprawy przybrały nowy obrót.

– Panie kapitanie, wspomniał pan o tym, że te morderstwa mogą mieć związek z dwoma seryjnymi sprawcami...

– Nie użyłem słowa seryjny – wtrącił D'Auria. – Już wyjaśniam. Znaleźliśmy drugie ofiary tych samych sprawców z dwóch wcześniej niezwiązanych spraw.

– W porządku – podjął Bev. – Moje pytanie dotyczy trzeciego przypadku. Morderstwa Elizabeth Reilly.

Momentalnie nadstawiłem uszu. Ściśle rzecz biorąc, wszystkie wymienione przypadki figurowały na mojej liście zadań, ale niedawno

byłem w Shellman Bluff, trzymałem na rękach tamto maleństwo.

– O co chce pan zapytać? – rzucił D’Auria.

– Na nowym blogu o nazwie *Samo sedno* znalazły się ostatnio bardzo krytyczne wpisy o stołecznej policji, zwłaszcza o śledztwie w sprawie Elizabeth Reilly. Ich autorzy szczególnie skupiali się na detektywie Crossie, który, jak wiem, jest koordynatorem we wszystkich trzech sprawach. Zastanawiałem się, czy on sam nie zechciałby tego skomentować?

Wielu reporterów zaczęło stukać w ekrany telefonów i iPadów, najwyraźniej szukając bloga *Samo sedno*. Poczułem, że sporo oczu skierowało się na mnie.

Jednak D’Auria nie oddał pola.

– Bev, nie będę reagował na pogłoski zamieszczone na blogu, o którym nigdy nie słyszałem. Przyjrzymy się temu.

– Pozwoli pan, że uściślę. – Bev nie pozwolił kapitanowi przejść do następnego pytania. – Detektywie Cross, czy zechce pan skomentować niektóre zarzuty, na przykład, że złamał pan policyjne przepisy, przenosząc zwłoki, zanim zostały należycie zbadane? Albo ten, że w sobotę wieczór bawił się pan, podczas gdy śledztwo powinno nabierać tempa?

Byłem oszołomiony i zaskoczony, a przede wszystkim kipiała we mnie złość. Skąd te wszystkie informacje? Co to za blog, o którym nigdy nie słyszałem? I kto, do diabła, zaobserwował, że wyszedłem z rodziną na kolację do lokalu?

Miałem dla Beva jakieś osiemnaście odpowiedzi, żadna z nich nie nadawała się do druku. Kapitan Perkins też nie zdradzał zachwytu. Dawał znak Joyce’owi Catalone, żeby kończył konferencję.

– Mogę powtórzyć tylko to, co już powiedział kapitan D’Auria – odparłem po chwili. – Dopóki nie poznamy wymienionych materiałów...

– A więc nie zna pan *Samego sedna*? – zapytał ktoś.

– Zapoznam się w jakieś dziesięć minut, proszę mi wierzyć – powiedziałem. Tu i ówdzie na sali dały się słyszeć śmiechy; Joyce wszedł na podest.

– Panie i panowie, na razie możemy wam poświęcić tylko tyle czasu.

Zespół śledczy musi się zająć swoimi sprawami, ale będziemy państwa informować w ciągu dnia, jeśli pojawi się coś nowego.

To był cienki pretekst, ale lepsze to, niż pozwolić, by konferencja prasowa wymknęła się spod kontroli. Wyszliśmy z zamiarem przejęcia inicjatywy, ale już zepchnięto nas na pozycje obronne.

Sytuacja policji nie przedstawiała się za dobrze. A moja chyba jeszcze gorzej.

Rozdział 35

Pięć minut po wygaśnięciu konferencji trzon naszej grupy śledczej był w gabinecie kapitana Perkinsa na czwartym piętrze.

– Co tam się, do cholery, stało? – chciał wiedzieć Perkins.

– Jakiś bloger wylał na nas kubeł pomyj – odparł D’Auria. – Milion bezimiennych łebków stuka w klawiatury i nigdy nie wiadomo, gdzie wybuchnie bomba, dopóki nie dostanie się odłamkiem w tyłek.

Perkins nie trzymał komputera w gabinecie, więc Huizenga otworzyła swojego laptopa na okrągłym stole konferencyjnym. Szybko wygooglowała *Samo sedno*; stanęliśmy obok niej.

– O Boże – powiedziała. – To jeden z tych.

Tytuł bloga *Samo sedno* napisany był prostą czcionką na jednolitym czarnym tle. Poniżej widniał podtytuł: *Kto pilnuje policji?*

Na marginesie znajdowała się lista z dwudziestoma trzema nazwiskami funkcjonariuszy, każde było linkiem do innej strony. Od razu rozpoznałem niektóre nazwiska. Wszyscy zostali aresztowani w zeszłym roku, wśród ich przewinień były drobne kradzieże i przemoc domowa, trafiło się nawet jedno morderstwo. Zamieszczono także małą mapkę okręgów policyjnych miasta z kropkami w różnych kolorach, przypuszczalnie odpowiadającymi różnym rodzajom przestępstw.

Najnowszy wpis datowany był dzisiaj rano. Tytuł brzmiał: *Najniebezpieczniejsze miasto Ameryki?* Poniżej umieszczono napisy: *Sezon mordów w stolicy* i *Czy detektyw Cross usnął za kółkiem?*

– Wygląda na to, że gość zagiął na ciebie parol – zauważyła Huizenga. Moje nazwisko było linkiem podobnie jak inne, Huizenga przeniosła na nie kursor. – Masz coś przeciwko?

– Nie mogę się doczekać – odparłem.

Otworzyła się cała strona poświęcona waszemu uniżonemu słudze. Było na niej moje policyjne CV, stare zdjęcie identyfikacyjne, inne mniejsze fotografie oraz lista bieżących i dawnych spraw.

Pierwsze zdjęcie zrobiono z dołu na Vernon Street w chwili, gdy przymierzałem się do zdjęcia zwłok Elizabeth Reilly z okna, w którym wisiała. Jej twarz została zamazana; to było coś w rodzaju ukłonu w stronę dziennikarskiej poprawności.

Na drugim widać było restaurację Kinkead's z zewnątrz. Poniżej widniał screenshot tweetu, który najwyraźniej towarzyszył fotce:

Trzech zabitych, a gdzie jest ulubiony stołeczny glina? Poszedł sobie na kolację.

Tak jakby to był lunch! Co powiecie o priorytetach? „incompetentcops.

U dołu znalazł się długi wpis mówiący o tym, że to nie ja powinienem koordynować śledztwa w sprawie niedawnych zabójstw i że ponoć na każdym kroku popełniam błędy.

– Co to za jeden, do jasnej cholery? – zapytał Valente.

Na blogu była podana strona kontaktowa, lecz kiedy Huizenga ją otworzyła, było na niej wszystko poza nazwiskiem. Można było wysłać do *Samego sedna* pytania, wskazówki i spostrzeżenia na temat działalności stołecznej policji. Były zaproszenia, by śledzić *Samo sedno* na Twitterze, polubić je na Facebooku lub „włączyć się do rozmowy” na czymś, co nazywało się NewsNet. Jak na kogoś, kto dopiero co zaczął, ów tak zwany reporter szedł na całość.

A mnie przyszło na myśl, że wiem, kto to taki. A w każdym razie, że się już spotkaliśmy.

– Musimy wywabić go z ukrycia – zwróciłem się do Perkinsa. – Chcę zdobyć zezwolenie na ujawnienie zapisu ISP tego bloga, zobaczymy, kto jest związany z kontem.

Pamiętałem brodatego cwaniaka, którego zobaczyłem rankiem tego dnia, gdy znaleziono ciało Cory'ego Smithe'a. Nie miał akredytacji prasowej i odmówił mi podania nazwiska.

Perkins odsunął się wraz z krzesłem.

– Alex, muszę cię o to zapytać. Czy wciągnąłeś Elizabeth Reilly, zanim patolog dojechał na miejsce zbrodni?

– Owszem – potwierdziłem. Nie zamierzałem w tej chwili odstawić płasów przed zwierzchnikiem. Wszystko i tak było w raporcie.

– I byłeś tego wieczoru na kolacji, tak jak on podaje?

Poczułem, że piecze mnie twarz.

– Przepraszam, szefie, ale jakie to ma, do diabła, znaczenie?

– Samo w sobie? Nie ma żadnego. Ale jeśli facet mówi prawdę, to wolno mu napisać, co chce – odparł Perkins. – Wolałbym nie występować o wątpliwy nakaz na gościa takiego jak ten, zwłaszcza jeśli on ma jakąś publikę.

– Jeśli jej jeszcze nie ma, to ją zyska po tej konferencji – zauważyła Huizenga, zamykając laptopa. – Niech wszyscy przygotują się na deszcz gówna z nieba.

– Postaraj się dowiedzieć czegoś na własną rękę – rzekł Perkins. – Weź każdego, kto ci się przyda, ale błagam cię, Alex, poruszaj się ostrożnie. Toczmy w tej chwili wojnę o odbiór społeczny. Aprobata dla policji sięgnęła historycznego dna.

Kapitan Perkins to nie histeryk. Zazwyczaj ma w nosie odbiór społeczny, zwłaszcza nie kosztem śledztwa. Jednak rzeczywistość była taka, że musieliśmy działać w szerszym wymiarze, to zaś wymagało dobrych relacji z burmistrzem, który musiał brać pod uwagę własne interesy polityczne. To, że on i jego ludzie nie pokazali się na konferencji, oznaczało, że już zwietrzyli ryzyko.

– Przykro mi, Alex – powiedział Perkins. – Jest, jak jest.

– Nic nie szkodzi – odparłem. – I tak go znajdę.

Właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał w tej chwili kapitan, a ja liczyłem, że pozwoli mi ona także trzymać się jak najdalej od jego nacisku.

I miałem nadzieję, że okaże się również prawdziwa.

Rozdział 36

„Weź każdego, kto ci się przyda”, tak powiedział kapitan. Zacząłem od własnego podwórka.

Już na schodach zadzwoniłem do Bree i poprosiłem, żeby zerknęła na bloga *Samo sedno*; jednocześnie miała dalej szukać informacji związanych ze sprawą Elizabeth Reilly.

Dotarłszy do korytarza na drugim piętrze, zadzwoniłem do Sampsona. Był tego dnia w sądzie, ale zostawiłem mu długą wiadomość i poprosiłem, żeby podjechał później do mnie do domu, jeśli będzie mógł. Oboje siedzieli już w sprawie morderstwa Elizabeth Reilly, więc nie było przeciwwskazań, by oficjalnie to zakomunikować.

Gdy tylko usiadłem przy swoim biurku, otworzyłem stronę kontaktową bloga i wysłałem krótki e-mail.

Do właściwej osoby: Proszę o kontakt najprędzej jak to możliwe. Dziękuję, Alex Cross, detektyw policji metropolitarnej.

Na razie zamierzałem rozgrywać tę partię grzecznie. Mogłem nawet być grzeczny, jeśli grzeczność pozwoli mi dopiąć swego. Ten facet trzymał na oku mnie i moją rodzinę, a tej granicy się nie przekracza.

Następne kroki w płataninie boksów tworzącej naszą siedzibę skierowałem do Jarreta Krause’a. Krause to jeden z nowych nabytków wydziału przestępstw ciężkich, chłopak z dzielnicy Flatbush na Brooklynie, którego żona zeszłej jesieni zatrudniła się w biurze kongresmena ze stolicy. Już wyrobił sobie markę, bo wytropił w sieci dwóch bardzo śliskich przestępców: seryjnego gwałciciela wabiącego ofiary na Facebooku oraz osiemnastoletniego bandziora z Shaw, który obrabował i zabił siedemdziesięcioletniego właściciela sklepu alkoholowego, a później usiłował sprzedać skrzynkę szampana Cristal na portalu Craigslist. Kiedyś ci

gnoje uświadomią sobie, że zostawiają wirtualne odciski palców. Ale tymczasem goście tacy jak Krause namierzają ich i wyłapują.

– Co tam, Alex? – rzucił, kiedy zobaczył moją twarz nad krawędzią swojego obłąkańczo schludnego boksu. Byłem gotów dać mu za to dodatkowe pół roku.

– Słyszałeś o blogu *Samo sedno*?

– Taak. – Stuknął palcami w klawiaturę i otworzył stronę. – Ten facet jest upierdliwy. I na serio cię nienawidzi. Jak mogę pomóc?

Trochę się zdziwiłem, że wie już tak dużo, ale może nie powinienem. Złe wieści rozchodzą się u nas z prędkością dźwięku.

– Potrzebuję nazwiska – odparłem. – Blog jest zarejestrowany na DC Access, ale Perkins nie chce wystawiać oficjalnego nakazu, jeśli da się tego uniknąć. Liczyłem, że...

Krause już skanował strony.

– Nooo. Gość stuka do wszystkich głównych platform. To nie powinno być trudne.

– Będę ci wdzięczny.

– Mam na tym poprzestać czy kopać głębiej? – zapytał.

Nie zamierzałem go powstrzymywać.

– A co to znaczy?

– Na przykład to. – Otworzył ostatni wpis i wskazał na ekran. – Dwadzieścia sześć komentarzy od siódmej rano. To ludzie, na których czasem warto mieć oko. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków są nikim ważnym. Ale raz na jakiś czas okazuje się, że ktoś wie coś, czego nie powinien, na przykład zna kaliber pocisku, czas zgonu ofiary lub coś w tym rodzaju. A to może być żyła złota.

– Biorę. Wszystko, co zdasz. Ale najpierw znajdź mi nazwisko.

– Nazwisko, buźka i cała reszta aż do dupy – powiedział Krause. – Żaden problem. Odezwę się przed końcem pracy.

Rozdział 37

O dziewiątej wieczór miałem już za sobą pełny dzień pracy, późną kolację z rodziną, odrabianie lekcji z Avą, drugi zestaw z Jannie i czytanie Aliemu rozdziału *Percy Jacksona* przed położeniem go do łóżka.

Nie powiedziałem nic na widok sześciopaku piwa Cigar City Brown Ale, z którym zjawił się Sampson akurat w chwili, gdy Nana i dziewczynki szykowały się do oglądania odcinka *Dawno, dawno temu*. Wraz z Johnem i Bree zabraliśmy piwo do mojego gabinetu na poddaszu i usiedliśmy do pracy.

– Mam zaległości – powiedział, zdejmując kapsel. – Na jakim etapie jesteście?

Bree rozwiązała czerwony sznurek na dużej szarej kopercie i wyjęła akta śledztwa, które zabrała ze sobą po południu. Brązowy folder i czarno-białe zdjęcia ze scen zbrodni wysypały jej się na kolana.

– Przez cały dzień porównywałam materiały z poszczególnych spraw, i oto co znalazłam. Nie mogę stwierdzić definitywnie, że ma to związek z Elizabeth Reilly, ale, moim zdaniem, to coś w rodzaju czerwonego światełka.

Wzięła do ręki raport i spojrzała na niego, nie przestając mówić.

– Nazwisko brzmi Amanda Simms. Uciekła przed przemocą z domu w Wirginii Zachodniej w wieku piętnastu lat. Przez jedenaście miesięcy nie było o niej nic wiadomo, aż do dnia, w którym sprzątaczką znalazła zwłoki w wannie w Econo Lodge w Takoma Park. To się stało cztery i pół roku temu.

– Cztery i pół roku? – zdziwił się Sampson. – Jaki to może mieć związek z Elizabeth Reilly?

Bree odwróciła w jego stronę jedno ze zdjęć z miejsca zbrodni. John wyglądał, jakby go zemdliło.

– Była w ciąży – kontynuowała Bree. – Autopsja wykazała dużą dawkę rohypnolu i morfiny. Wszystko wskazuje na to, że została naszprycowana narkotykami, rozcięta i zostawiona na śmierć.

– A dziecko?

– Nie odnaleziono go.

– O Jezu. – John potarł oczy kciukiem i palcem wskazującym. Wszyscy mieliśmy za sobą długi dzień.

– Zatem podsumowując – odezwałem się. – Znaleziono młodą dziewczynę, która pierwszy raz znalazła się daleko od domu i była w ciąży. Wszystkie okoliczności zbieżne z przypadkiem Elizabeth Reilly.

– A co wiemy o tym chłopaku zjawie, Russellu? – spytał John.

Bree pokręciła głową.

– Nic nie mam na jego temat. Można przypuszczać, że to nie jest jego prawdziwe imię.

– Ale założmy, że jest częścią tej sprawy – ciągnąłem. – Być może Elizabeth dowiedziała się jakoś o Amandzie. Odgadła, że jej chłopak to potwór, a ona nosi jego dziecko. To mogłoby w dużej mierze wyjaśniać, dlaczego pojechała aż do Georgii i sztucznie wywołała poród.

– Skoro o tym mówimy, to może Amanda nie jest jedyną kolejną ofiarą – zauważyła Bree. – Nadal prowadzę poszukiwania.

Po dłuższej chwili milczenia ponownie odezwał się Sampson:

– Rano wspomniałeś o czymś przez telefon. O tym blogerze. Co z nim? I dlaczego on cię tak nienawidzi?

– Dobre pytanie – odparłem i otworzyłem na komputerze stronę *Samo sedno*. Pojawił się nowy wpis zatytułowany *Detektyw policji metropolitalnej odfajkowanie konferencję prasową*. Zamieszczono go o szesnastej i miał już dziewięćdziesiąt dwa komentarze. Wieść o blogu z całą pewnością się rozchodziła.

– Ten człowiek albo jest skrycie zainteresowany sprawą Elizabeth Reilly, albo ma coś przeciwko mnie – stwierdziłem. – Lub jedno i drugie.

– Albo po prostu szuka okazji, by wyrobić sobie nazwisko – zasugerował Sampson. – Chce rozpropagować blog i przykuć uwagę czytelników głośnymi

materiałami.

– Taak, moją już przykuł – oznajmiła Bree. Sprawa blogu zniesmaczyła ją co najmniej tak samo jak mnie, a zwłaszcza zdjęcie z Kinkead's.

– Alex, pozwól mi pogonić za tym facetem – zaproponował John. – Ty masz na tapecie przynajmniej pięć zabójstw. Teraz sześć, jeśli liczyć Amandę Simms.

– Dzięki. Właściwie byłbym wdzięczny za pomoc. Nie wspomnę o tym, że potrafisz napędzić stracha, kiedy ci na tym zależy.

Sampson tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Na jakie nazwisko jest to konto?

– Wciąż na nie czekamy.

Dopiero tuż przed jedenastą, kiedy John zbierał się do wyjścia, odezwał się do mnie Krause. To był idealny moment.

– Wybacz, że tak długo to trwało – zaczął. – Namierzyłem parę tweetów z numeru telefonu na DC exchange. Na koncie nie ma prawdziwego adresu, tylko namiar skrzynki pocztowej, ale zdobyłem dla ciebie nazwisko.

Chwyciłem długopis z biurka i leżącą najbliżej kartkę; było nią menu z Fusion Grill.

– No dawaj.

– Nazwisko brzmi Ron Guidice. – Krause przeliterował je i podał numer. – Chcesz, żebym ściągnął gościa?

– Nie, ale dziękuję. – Wyglądało na to, że każdy zapragnął kawałka tego faceta, co nawet mi odpowiadało. Oderwałem róg menu i położyłem go na wyciągniętej wielkiej dłoni Sampsona. – Dalej sami się tym zajmujemy.

Rozdział 38

Jeszcze kilka godzin po odejściu Sampsona leżałem z otwartymi oczami. Coś mnie nurtowało, ale nie mogłem rozgryźć, co to takiego. Nazwisko Ron Guidice z jakiegoś powodu utkwilo mi w głowie. Czyżbym je znał? A może tylko chciałem tak myśleć?

W końcu wstałem z łóżka i skierowałem się do gabinetu.

– Gdzie idziesz? – zapytała Bree, na wpół śpiąc.

– Chcę tylko coś sprawdzić. Zaraz wrócę.

Kiedy znalazłem się przy swoim biurku, wszedłem do internetu i zalogowałem się do archiwum policji metropolitalnej. Pracownicy wydziału zabójstw mają najwyższy poziom dostępu do raportów śledczych; dzięki temu mogłem wchodzić do systemu z każdego policyjnego komputera, również z laptopa, który miałem w domu.

Po krótkim poszukiwaniu znalazłem nazwisko Guidice w raporcie sprzed sześciu lat. Okazało się, że nie popełnił żadnego przestępstwa. Był najbliższym członkiem rodziny kobiety, która zmarła podczas akcji policyjnej w Chinatown.

Wtedy przypomniałem sobie tę sprawę. Wróciła do mnie i towarzyszył jej dreszcz trwogi. To nie było dobre wspomnienie.

Kierowałem śledztwem w sprawie handlarza bronią średniego szczebla, który grał na dwie strony i dostarczał automaty rywalizującym gangom w stołecznych dzielnicach Southeast i Northwest. Z kilku różnych źródeł otrzymaliśmy informację, że szykuje się poważna rozróżba. Kiedy w grę wchodzi broń automatyczna i dwie ekipy znane nie tylko z wzajemnej pogardy wobec siebie, ale i niewinnych osób postronnych, lepiej jest nie ryzykować. Chociaż nadal liczyliśmy, że uda się namierzyć grubsze ryby,

z którymi kontaktował się ów handlarz, postanowiłem go zgarnąć, i to jak najprędzej.

Teraz, siedząc przy biurku, nie musiałem ponownie czytać raportu, żeby przypomnieć sobie, co nastąpiło później.

Drań nazywał się Marco Bruillo i miał drogie mieszkanie przy H Street. Tamtej nocy został namierzony właśnie tam, a plan polegał na tym, by aresztowania dokonać wewnątrz i najciszej jak to możliwe.

Kiedy jednak przybyliśmy na miejsce, Bruillo właśnie wychodził. Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy go wziąć na chodniku, bo w innym razie mógł nam się wymknąć na dobre.

Nie mogliśmy wiedzieć, że dwaj jego ludzie czekają na niego w samochodzie zaparkowanym po przeciwnej stronie ulicy. Gdy tylko przyparliśmy Bruillo do muru, tamci otworzyli ogień.

To była najszybsza strzelanina, w jakiej kiedykolwiek się znalazłem. W piętnaście sekund było po wszystkim. Bruillo zginął, ale zginęły także trzy przygodne osoby czekające w kolejce po bilety do kina, które mieściło się w sąsiednim budynku.

Analiza kryminalistyczna wykazała, że dwie z tych osób poniosły śmierć od ognia z broni automatycznej. Jednak trzecia, Theresa Filmore, otrzymała przypadkowy śmiertelny postrzał od jednego z kolegów detektywów z policji. To była tragedia, bez dwóch zdań.

Miasto przyjęło na siebie pełną odpowiedzialność i zawarło ugodę pozasądową z najbliższym znanym z nazwiska krewnym pani Filmore, jej narzeczonym, którym był Ronald F. Guidice.

Nigdy nie zapominałem o Theresie Filmore, lecz dopiero spojrzawszy na akta, uświadomiłem sobie, dlaczego nazwisko Guidice z czymś mi się kojarzyło.

Teraz już wiedziałem, i wszystko zaczęło się układać trochę bardziej sensownie.

Część druga

Wskazówka

Rozdział 39

Nocne wędkowanie, taką przykrywkę miał tego wieczoru Ron Guidice i innej nie potrzebował. Nie musiał używać pseudonimu ani fizycznego kamuflażu, ani nawet unikać pokazywania się. Ze środka szerokiego kanału ze słoną wodą, gdzie siedział, mógł do woli obserwować mały domek na palach stojący na brzegu. Nawet gdyby glina dyżurujący na podjeździe spojrział w tę stronę, zobaczyłby jedynie faceta usiłującego złowić po ciemku parę lucjanów.

Przy okazji był to dobry moment na wyjazd z Waszyngtonu. Guidice zaczął już się odsłaniać i istniały duże szanse, że Alex Cross jest bliski odgadnięcia, z kim ma do czynienia. No i dobrze. Dopóki Guidice kontroluje przepływ informacji, dopóty kontroluje także Crossa.

Tymczasem trzymał wędkę w wodzie i śledził wzrokiem dom na brzegu; czekał, aż przecucie podpowie mu, że czas ruszyć do akcji.

Miał najtańszy sprzęt wędkarski, jaki udało mu się zdobyć; kupił go w sklepie Outdoor World w pobliżu Savannah. Z łódką poszło jeszcze łatwiej. W Shellman Bluff ludziska nie zamykają nocą swojego dobytku na kłódki, zwłaszcza jeśli jest nim sterana aluminiowa krypa.

Na jej dnie leżał M16 kupiony na czarnym rynku. Celownik noktowizyjny spoczywał na kolanach Guidice'a. W pokażnej kieszeni szarego swetra z kapturem miał dodatkowo małego dziewięciomilimetrowego kahra z sześcioma nabojami w magazynku. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, cztery pozostaną nieużyte.

Jedyną rzeczywistą zmienną stanowił czas. Światła w domku zgasły o dwudziestej trzeciej. Zapaliły się na krótko ponownie o wpół do pierwszej, a potem jeszcze raz tuż po drugiej. Takie to życie z niemowlęciem.

Wreszcie, kiedy ciemność spowiła dom po raz trzeci, Guidice odłożył wędkę i położył sobie na kolanach M16. Adrenalina wyostrzyła mu wzrok, gdy uniósł karabin do ramienia i przycisnął do policzka wydrążoną kolbę.

W zielono-czarnym okularze noktowizora wyraźnie widać było twarz gliniarza. Siedział za kółkiem radiowozu, z nudów bębniąc sobie palcami w szczękę i obserwując dom.

Guidice wziął głęboki oddech i ustawił celownik. A potem szybko nacisnął spust.

Z wytłumionej lufy dobiegło zaledwie ciche stuknięcie, nic więcej. W tej samej chwili w szybie radiowozu powstał otwór w kształcie płatka śniegu. Mężczyzna zeszywniał na ułamek sekundy, a potem jego głowa lekko osunęła się na bok. Wyglądało to tak, jakby zasnął.

Guidice, nie odsuwając okularu od oka, doliczył do trzydziestu. Gliniarz się nie ruszał, więc opuścił karabin i pozwolił mu zsunąć się nad burtą do wody. Potem ujął wiosła i zaczął płynąć w stronę brzegu.

Odległość nie była duża. Po niecałych dwóch minutach mała łódka zaszorowała na miękkim piasku i żwirze na skraju wody. Guidice jednym krokiem pokonał dziób i stanął na ziemi, tak że jego buty pozostały suche. Wyjął z kieszeni pistolet.

Najpierw ruszył w kierunku radiowozu. Znajdującym się w środku gliniarzem nie musiał zaprzętać sobie głowy, to było jasne. Otworzył drzwi od strony pasażera, wziął z siedzenia kapelusz i marynarkę od munduru złożoną równiutko na zagłówku.

Włożył obie części garderoby i przeszedł na tyły domu. Od drzwi wejściowych widać było sąsiadów, lecz od podwórza można było zobaczyć jedynie ciemne słone moczary.

Guidice zatrzymał się w kuchennych drzwiach, ściągnął policyjny kapelusz trochę niżej na oczy i szybkim stuknięciem nasadą dłoni sprawdził magazynek pistoletu. Potem kilkakrotnie zapukał mocno w małą szybkę drzwi.

Prawie natychmiast w środku zapaliło się światło. Państwo Reilly spali ostatnimi czasy lekko, to nie ulegało wątpliwości.

Po chwili zapaliło się drugie światło, tym razem w kuchni. Przez firankę zawieszoną na drzwiach Guidice widział, jak Tommy Reilly zawiązuje pasek kraciaty szlafroka na swoim okazałym brzuchu i wychodzi z za załomu ściany.

– Panie Reilly?! – zawołał. – Przepraszam, że zawracam głowę, ale mamy tu drobny kłopot. Mógłby pan na chwilę otworzyć?

Rozdział 40

Josh Bergman zdecydował się tego wieczoru na prostotę. Ciemne dżinsy, koszula z długimi rękawami i nudna aż do bólu marynarka. Dobra prezencja jest ważna, ale wydawanie dużych sum na ciuchy nie miało sensu. W nocy i tak wszystko trafi do spalarki.

Ubranie na zmianę – swoje prawdziwe ubranie – trzymał w bagażniku. Koszula w kropki od Iana Velardiego, spodnie Armaniego, włoskie mokasyny Vicenza, bielizna i zegarek Rolex Submariner.

Na później.

Tuż przed dziesiątą wyjechał srebrnym audi A7 z Water Street i zaparkował na ogrodzonym parkingu nad brzegiem. Skręcając, spostrzegł samotną męską postać stojącą obok łańcucha i spoglądającą na Potomac.

Bergman zatrzymał samochód i opuścił szybę po stronie pasażera.

– Travis?

Chłopak odwrócił się i podszedł.

– Ty jesteś Bill? – zapytał.

– No jasne. Wskakuj.

Kiedy młoda męska dziwka otworzyła drzwi, Bergman wskazał ręką kopertę na fotelu. W środku były dwa banknoty studolarowe, ale chłopak nie sprawdził. Wsunął kopertę do tylnej kieszeni i usiadł.

– Fajna bryka – zauważył.

– Prawda?

Był chudy. Może nawet trochę za chudy, ale ładniutki, miał seksowną przerwę między zębami widoczną przy uśmiechu. Jego ubranie było uczniowsko niechlujne, koszula w oksfordzkim stylu była częściowo wpuszczona w poszarpane dżinsy. Zdradzały go jednak jasnozielone

tenisówki Nike z limitowanej serii. Chłopak najwyraźniej zgarniał więcej forsy niż jego koledzy pracujący w Abercrombie czy pizzerii Paradiso.

Bergman wyjechał z parkingu i skierował się na północ, ku MacArthur. Z odtwarzacza płynęła muzyka z płyty *Pills and Soap* Elvisa Costella. Cudowne stare klimaty dobrze pasujące do jego świetnego nastroju.

Jechał jakiś czas w górę rzeki, trochę gawędzili. Chłopak pochodził z Maine. Nie widział ostatnio żadnego dobrego filmu. Jego zdaniem, Mumford i Sons byli po prostu super.

W końcu wziął oddech i rozejrzał się.

– Dokąd jedziemy? – zapytał. – Bo to już praktycznie Maryland.

– Owszem, to Maryland – potwierdził Bergman. – Znam jedno miejsce. Jak się zapatrujesz na zajęcia w plenerze? Na twoim profilu nic o tym nie było.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Lubię świeże powietrze – odparł. Położył dłoń na kolanie Bergmana, pochylając się i pogłaśniając muzykę. – Wszystko, co cię kręci.

– Super – rzucił Bergman.

Za jednopasmowym kamiennym mostkiem zjechał w lewo z MacArthur, a następnie przejechał niecały kilometr Clara Barton Parkway. Parking leżał tuż przy szosie, ale tak nisko, że dawał trochę poczucia prywatności. Korzystano z niego wyłącznie za dnia, a i to nie za często.

– No to jesteśmy – powiedział Bergman, gasząc silnik. – Chodźmy na spacer.

Jeśli chłopak miał jakieś wątpliwości, to zachowywał je dla siebie. Zapewne myślał już o następnej parze tenisówek.

Wysiedli i skierowali się do lasu. Bergman szedł wąską ścieżyną tuż za nim, trzymał rękę w kieszeni i dotykał się przez materiał.

– Tutaj? – zapytał chłopak.

– Zatrzymaj się tam. – Znaleźli się w lesie, w połowie drogi między parkingiem a kanałem. – Tu będzie dobrze.

Chłopak odwrócił się w ciemności i podszedł. Wyciągnął rękę i przesunął ją po kroczu Bergmana.

– Facet, jesteś gotowy do akcji, co?

– Tak. O, tak.

Możliwe, że chłopiec nawet nie zobaczył pistoletu. Bergman cofnął się o krok, żeby uniknąć spryskania krwią, i nacisnął spust.

Cień chłopaka runął nieefektownie na ziemię niczym napełniony czymś worek. Bergman także osunął się na kolana.

Wtedy poszedł w ruch nóż. Wbił go szybko raz, dwa, trzy, a potem znowu... cztery, pięć, sześć, siedem, osiem...

Potem stracił rachubę, wchłonął go wzbierający wir, który nagle jakby zmienił kierunek ruchu i znalazł ujście w ostatecznej, bolesnej eksplozji rozkoszy, dosłownie i w przenośni.

Stało się. Znowu.

Oparł się łokciami o ziemię. Rwał mu się oddech, jego spodnie były wilgotne od środka.

Zmysły jeden po drugim zaczynały funkcjonować normalnie. Na ziemi leżał chłopak. Od trasy dobiegał odgłos jadących pojazdów. Bergman czuł metaliczny posmak na ustach.

Przejaśniało mu się w głowie, wracało logiczne myślenie. Nie mógł zostać w tym miejscu. Musiał ruszać dalej.

Szybko zawlókł chłopaka do kanału, tam opróżnił mu kieszenie i stoczył do wody.

Następnie wspiał się na parking, otworzył bagażnik, szybko się przebrał i spakował do worka to, czego musiał się pozbyć.

Po chwili siedział już za kierownicą samochodu i kierował się na południe w stronę miasta. Zatoczył pełne koło z okładem i czuł się tak dobrze jak nigdy w życiu.

A noc była młoda. Można było jeszcze się gdzieś zabawić.

Rozdział 41

Przed północą Bergman był znów w centrum, gotowy na ciąg dalszy. Wysiadł na rogu Siódmej Ulicy i D Street, dał kluczyki parkingowemu i wszedł do środka.

W trzykondygnacyjnym Woolly Mammoth Theatre aż kipiało, odbywał się tam doroczny bal charytatywny Fashion Fights Hunger. Wszystko tonęło w żółtym świetle, a różowe reflektory teatralne rzucały wokół sceny snopy światła. Nie wyglądało się w nim korzystnie, ale tworzyły klimat festynu. Didżej puszczał na konsoli wirującą salsę i miło było popatrzeć, jak niektórzy sztywniacy z branży modowej potrzásali tyłkami na parkiecie.

Bergman najpierw uderzył do baru, a następnie wspiał się na drugie piętro, by lepiej objąć wzrokiem scenę.

– Joshua! – Usłyszał, gdy tylko wspiał się na szczyt schodów. Odwrócił się i zobaczył zbliżające się ku niemu wielkie czerwone wargi przyczepione do twarzy jego znajomej, Kiki. – Jesteś! – powiedziała i pocałowała go w same usta. – Jak się miewa mój kochany chłoptaş? Wieki się nie widzieliśmy!

Bergman ruchem głowy wskazał prawie pustą szklanę, którą trzymała w dłoni.

– Zdaje się, że muszę trochę nadgonić.

– Oj tak. Musisz koniecznie. Garth i Tina z chęcią usłyszą, że jesteś.

Inaczej niż w przypadku Elijaha, niedawne kłopoty Bergmana z mediami spowodowały wzrost wartości jego akcji. Wyglądało na to, że stał się niegrzecznym chłopcem stylu i mody w Waszyngtonie. No cóż, skoro wszystkim to odpowiada, to czemu nie?

Wychylił resztkę podrzędnej szkockiej i skinął szklanę w stronę Kiki.

– Mogłabyś? Muszę gdzieś zadzwonić.

– No pewnie. I spodziewaj się Gartha i Tiny. Zaraz ich tutaj przyprowadzę. Zdaje mi się, że Tina ma kokę. To takie odjazdowo staroświeckie!

Gdy tylko odeszła, Bergman wyjął telefon i stuknął w pierwszy numer na liście szybkiego wybierania. Stał przy poręczy, obserwował imprezę i czekał, aż Elijah odbierze.

– Josh?

– Dlaczego zawsze wypowiadasz moje imię jak pytanie? Nie ufasz identyfikacji numeru?

– Nie ufam mojej matce, Josh. Dlaczego miałbym ufać komórce?

Bergman uwielbiał łatwość, z jaką w to wchodzili. Elijah udawał, że mu nie zależy, Josh udawał, że mu zależy, a obaj wiedzieli, co się pod tym kryje. Przyjemne uczucie.

– No, zgadnij, gdzie jestem – rzekł.

– W jakimś hałaśliwym miejscu.

– Na balu Fashion Fights Hunger. Powinieneś tu przyjechać i napić się ze mną. To był świetny wieczór.

– Innym razem – odparł Creem. – Pracuję przy biurku i nie chcę w tej chwili tego wszystkiego odkładać.

Bergman poczuł dreszcz podniecenia w brzuchu i w gardle, który ujawnił się w cichym śmiechu.

– Spróbuję jeszcze raz. To był naprawdę wspaniały wieczór, Elijah, i tylko ty mógłbyś go w pełni docenić. Pomyślałem, że byłoby miło wypić razem drinka.

Elijah nie odpowiedział i bardzo długo milczał. Kiki, Garth i Tina wspinali się schodami, więc Bergman dał im palcem znać, żeby jeszcze chwilę poczekali. Potem wszedł nieco wyżej na antresolę.

– Elijah? Jesteś tam?

– Owszem – odrzekł Creem. – A ty powinieneś zwolnić tempo, przyjacielu. To nie jest wyścig.

– To nie jest niczym – powiedział Bergman. – Czyż nie na tym polega piękno tego? Jest tym, czym chcemy to uczynić. Tak jak życie.

Poczuł w żyłach adrenalinę albo endorfiny, albo jeszcze coś innego,

gorącego jak salsa pulsująca na parterze. Zrobił nawet parę pływających kroków w trakcie rozmowy. W tył, w przód, cza-cza-cza.

– No więc baw się – powiedział Creem. – Wkrótce cię złapię.

Bergman się uśmiechnął.

– Mam nadzieję, że to gra słów. Bo tak między nami, Elijah, gdyby to był wyścig, to ja byłbym na czele.

– Dobranoc, Josh.

– Całusy, Elijah. Odezwę się.

Rozdział 42

Następny dzień był jednym z najgorszych w mojej karierze policyjnej.

Rozpoczął się tuż przed szóstą odprawą na komendzie. Wszystkie trzy śledztwa toczyły się pełną parą, toteż góra zarządziła, by poranne narady odbywały się w centrum operacji wspólnych na czwartym piętrze. Wszelkie informacje, które miały jakikolwiek związek z tymi zabójstwami, docierały natychmiast do centrum, dzięki czemu zawsze wiedzieliśmy, kto rozpracowuje które tropy i czy ktoś zrobił jakieś postępy. Odprawy dawały szansę podzielenia się tym, co wydarzyło się przez noc, i zorientowania, co jest istotne.

Kiedy dotarłem rano do pracy, Tom D'Auria czekał na mnie na korytarzu na czwartym piętrze z bardzo złymi wiadomościami. Właśnie otrzymał informację, że Jeannette i Tommy Reilly, a także zastępca szeryfa przydzielony do ochrony domku w Shellman Bluff zostali zabici.

– Wszystkich zastrzelono – mówił D'Auria. – Użyte zostały pociski dwóch różnych kalibrów, więc jest trochę niejasności. Odebraliśmy informację parę minut temu.

Skinąłem głową, ale niewiele docierało do moich uszu. Ścisnęło mnie w klatce piersiowej i poczułem, że nie mogę złapać tchu.

– Co z dzieckiem? – zapytałem.

– Zaginęło – odparł Tom.

To słowo było jak cios w brzuch. D'Auria opuścił głowę, dając mi chwilę oddechu. Wiedział, że zaangażowałem się w tamtą sprawę.

– Co mogę zrobić? – spytałem.

– Nie za wiele. FBI już się za to wzięło. Współpracują z miejscowymi i stanowymi. Zaalarmowali AMBER Alerts. Wszystkie węzły komunikacyjne w sąsiednich stanach już są pod kontrolą.

– Coś może jednak mógłbym zrobić?

– Możesz zadzwonić do centrum dowodzenia w Atlancie, jeśli chcesz, albo do centrum satelitarne w Savannah, jeśli ktoś tam jest. Może zechcą z tobą pogadać. Ale poza tym nie pozostaje w tej chwili nic poza czekaniem.

Służby przyjęły agresywną taktykę, to dobrze. Jeśli okaże się, że Rebecca została przewieziona przez którąś granicę stanową, sprawa automatycznie zyska status federalnej, wszystko było już do tego przygotowane.

Miałem nadzieję, że to wystarczy. Nie wiedząc, jak dawno dziecko zostało uprowadzone, trudno było to stwierdzić.

Obok nas przesuwali się koledzy zmierzający do sali odpraw. Wielu miało przekrwione oczy, bo albo kończyli nocną zmianę, albo zaczynali dzienną.

– Zrelacjonuję to, kiedy wszyscy się zejdą – powiedział D’Auria. – Pomyślałem, że chcesz wiedzieć pierwszy.

– Dziękuję, Tom.

– Jeśli chcesz pogadać...

– W porządku – odparłem. – Zaraz przyjdę.

Każdy glina, którego znam, czasem czuje się przytłoczony. Nie ma się czego wstydzić. Zawsze zachęcam swoich ludzi, żeby się wygadali, kiedy tego potrzebują. Mamy program pomocy dla pracowników, ale są także superwizorzy, współpracownicy, psychologowie, kapelani, do wyboru, do koloru. Wystarczy tylko na kogoś się zdecydować, tak mówię ludziom.

Czasami idę za swoją radą, a czasem nie.

Poszedłem korytarzem i zamknąłem się w łazience dla niepełnosprawnych przy schodach. Potrzebowałem chwili, by odetchnąć.

To nie była moja wina, ściśle rzecz biorąc. Wiedziałem o tym. Ale prawdą było również to, że miałem większą niż ktokolwiek inny możliwość, by zapobiec temu, co się stało. Mogłem naciskać bardziej, by Rebecca trafiła pod ochronę odpowiednich służb. Mogłem bliżej współpracować z policją hrabstwa McIntosh.

Ale tego nie zrobiłem. Mój wybór dał się całkowicie usprawiedliwić na papierze. Zginęły kolejne trzy osoby, a jedna bardzo mała dziewczynka znikła. Ponownie.

Odkręciłem kurek i spryskałem sobie twarz bardzo zimną wodą. Uniosłem głowę i chyba za szybko na siebie spojrzałem. Nie zdołałem się powstrzymać, pięść poszła w górę i strzaskała lustro na kawałki. Durny postępek, nawrzeszczałbym na każdego, kto by tak zrobił. Zyskałem tylko kupę popękanego szkła i zakrwawione knykcie.

A najgorsze, że mój gówniany dzień dopiero się zaczął.

Rozdział 43

Przez cały ranek zbierałem wszystkie materiały dotyczące rodziny Reilly, a później przefaksowałem je do siedziby FBI w Atlancie. Przekazałem także to, co mieliśmy o Amandzie Simms, choć nie było wiadomo, ile to jest warte. Nadal nie wiedzieliśmy, czy sprawy „ciężarnych dziewcząt” są ze sobą powiązane, czy nie.

Poza tym spędziłem za dużo czasu, usiłując połączyć się z kimś w centrum satelitarnym FBI w Savannah, ale tylko wpędziłem się we frustrację. Mogłem jedynie liczyć na to, że wszyscy wyjechali w teren i zajmują się sprawą.

Jedyną w miarę pomyslną nowiną było to, że Rebecca w ogóle została zabrana. Trzy osoby poniosły śmierć, a zatem porywacz – ktoś – chciał ją zatrzymać. Było to lepsze niż ta druga możliwość. Przynajmniej pozostawała szansa, że zostanie znaleziona żywa.

Kiedy siedziałem, po raz trzeci czekając na odpowiedź z Savannah, usłyszałem, że ktoś woła mnie po imieniu w głównej sali.

Wstałem i rozejrzałem się. Po przeciwnej stronie, za rzędami boksów, Huizenga stała w drzwiach swojego gabinetu z Jessicą Jacobs. Skinęła na mnie ręką, a ja wskazałem słuchawkę, którą trzymałem w dłoni.

– Odłóż! – krzyknęła i weszła do siebie.

Nie musiałem zbyt mocno się głowić, o co chodzi. Jacobs była głównym śledczym przydzielonym do spraw Cory’ego Smithe’a i Ricky’ego Samuela, dwóch młodocianych męskich dziwek, które zostały zabite. Sztywnym krokiem ruszyłem w stronę gabinetu, jakby w tej chwili nie liczyło się nic poza tym, czym właśnie się zajmowałem. Nie miało to znaczenia.

Huizenga trzymała ręce na głowie, kiedy wszedłem. Jacobs rozmawiała przez telefon, skrobiąc coś w żółtym notesie.

– Marti? – odezwałem się.

– Numer trzy – powiedziała, nie unosząc wzroku. – Młody mężczyzna, jeden postrzał, wiele ran kłutych, brak identyfikacji.

– Znalazł go jakiś amator joggingu – dodała Jacobs, zakrywając dłonią telefon. – Aż w Lock Seven nad kanałem Chesapeake i Ohio.

– Lock Seven. To w Marylandzie, prawda?

Huizenga skinęła głową.

– Policja z hrabstwa Montgomery jest już na miejscu. Agenci FBI też mogą się pojawić, i to jeszcze dziś. Pogadam z D'Aurią. Decyzja należy do komendanta, ale wolałabym nie dopuszczać wszystkich, jeśli nie będziemy musieli.

Trzy morderstwa popełnione w podobny sposób wyraźnie świadczą o tym, że w grę wchodzi seryjny sprawca. W takich sytuacjach FBI zwykle zaczyna zadawać pytania. Federalni bywają przydatni, bo mają ogromne możliwości, ale czasem potrafią także przeszkadzać, zwłaszcza jeśli ktoś nie lubi, jak włożą mu na jego teren. Byłem po obu stronach tego płotu, więc wiem.

Tymczasem, przed wyjazdem do Lock Seven potrzebowałem batona z automatu, kubka kawy z ekspresu i guzika do zresetowania mózgu.

Dwie spośród tych trzech rzeczy udało się załatwić.

Rozdział 44

Ron Guidice stanął w holu starego domu i rozejrzał się. Budynek wyglądał jak skansen z 1979 roku. Na podłodze leżał szary włochaty dywan, sedes w łazience miał kolor szaroniebieski.

Dom był jednak solidny, miał trzy sypialnie, podwórze na tyłach i zapewniał poczucie odosobnienia. Poza tym znajdował się zaledwie półtorej godziny jazdy od miasta. Doskonała kryjówka dla powiększającej się rodziny Guidice'a.

– Proszę nie zwracać uwagi na te pudła – powiedziała kobieta wynajmująca dom. – Dzisiaj po południu przyjedzie ciężarówka. Chyba że chce pan zatrzymać.

– Tylko meble, wszystko inne może zniknąć – odparł.

Agentka, pani Patten, zatrzymała się, by spojrzeć na nosidełko na jego piersi, w którym mocno spała Grace. W samochodzie marudziła, lecz zanim dojechali do Wirginii, zdążyła się zmęczyć.

I miała na imię Grace, a nie Rebecca. Nigdy więcej.

– Dzieci to małe podarunki od Boga, prawda? – odezwała się pani Patten.
– Ile ma?

– Dzisiaj kończy trzy tygodnie. Tak, ma pani rację. Zakochałem się w niej, jak tylko ją zobaczyłem.

To była prawda. Pani Patten uśmiechnęła się tak, jak uśmiechają się kobiety, gdy tylko mężczyzna okaże odrobinę łagodności. Jakby wyświadczył jej jakąś przysługę.

– Chce pan zobaczyć dom od tyłu? – zapytała.

– Poproszę.

Wszedł za kobietą do dużej kuchni połączonej z jadalnią, z panoramicznym oknem, linoleum na podłodze i plastikowym stołem.

W tylnej części zarośniętego podwórka stała drewniana huśtawka. Wyglądało, że jest nie do użytku, ale można ją było naprawić. Guidice zauważył także koński padok za drzewami. Wiosenną trawę skubało kilka karych klaczy.

Emmie Lee bardzo się tutaj spodoba. Wszystkim się spodoba, nawet Lydii, kiedy przywyknie.

– Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko stylowi retro – powiedziała pani Patten. – Jeśli to wszystko można tak określić. Pan Schiavo już dość dawno przestał robić zakupy.

– Jest bardzo dobrze.

– Naprawdę szkoda, że tak nagle zmarł. Ale na pewno by się ucieszył, wiedząc, że sprowadza się tutaj młoda rodzina. Czym się pan zajmuje, panie Henderson?

– Dziennikarstwem – odparł Guidice. – Ale chcę sobie wziąć trochę urlopu.

Miał teraz nowe imię, tak samo jak Grace. Kiedyś używał pseudonimów, nie w publikacjach, lecz po to, by zatrzeć ślady, gdy rozpracowywał materiał. Najczęściej posługiwał się nazwiskiem Paul Henderson i miał na nie dokumenty, w tym rzadko używaną kartę kredytową. To wystarczyło, by zabezpieczyć sobie dom.

– A pana żona? – zapytała wesoło agentka. – Czy ona także tu zamieszka?

– Mojej żony już z nami nie ma – odparł Guidice. – Straciliśmy ją tej nocy, gdy urodziła się Grace.

Pani Patten zatrzymała się i zakryła dłonią usta, które ułożyły się w niewielkie O.

– O mój Boże, przykro mi. Nie wiedziałam.

– Naturalnie – odrzekł Guidice. – Szukam cichego spokojnego miejsca, w którym moja mama, córki i ja zdołamy poskładać z powrotem nasze życie.

Kobieta wyglądała, jakby za chwilę miała zalać się łzami. Miał nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Ile lat ma pana druga córka?

– Emma Lee ma cztery i pół roku. Tęskni za mamusią, ale bardzo się

cieszy, że została starszą siostrą.

– I ma pan jeszcze matkę. To błogosławieństwo. Nie wątpię, że jest cudowna dla dziewczynek.

– Tak – potwierdził Guidice. Zerknął na miękkie anielskie loczki na główce córki. – Bo nic nie jest ważniejsze od rodziny. Prawda, Grace?

Rozdział 45

Lock Seven nad kanałem łączącym Chesapeake i Ohio to niewielki teren rekreacyjny tuż obok Clara Barton Parkway. Dzisiaj wejście przecinała żółta taśma. Później informacje o tym spokojnym zazwyczaj miejscu trafią do wszystkich serwisów.

Ofiara została znaleziona tuż przed południem. Ciało wpadło do starego mechanizmu opuszczającego dawną śluzę. Kanał pierwotnie wybudowano po to, by spławiać towary prawie trzystukilometrowym odcinkiem dzielącym Georgetown od Cumberland Park w stanie Maryland. Obecnie służył głównie do tego, by można było wzdłuż niego biegać, jeździć rowerem lub spacerować, jakkolwiek niewiele osób zapuszczało się tak daleko. Przyszło mi na myśl, że zabójca nie spodziewał się, że zwłoki zostaną tak szybko znalezione.

Detektywem z hrabstwa Montgomery przydzielonym do sprawy okazał się starszy mężczyzna, którego znałem i lubiłem, Bob Semillon. Czekał na mnie i Jacobs na parkingu i poprowadził nas przez las.

– Nasz patolog już odjechał, ale pewnie będziecie chcieli, żeby obejrzał go jeden z waszych – powiedział Bob. – To wygląda na robotę tego samego typu, z którym wojujecie u siebie w mieście. Jednym słowem, koszmar.

Można to tak ująć.

Wszystko wskazywało na to, że morderstwa dokonano tam, na szlaku. W połowie wzniesienia znaleziono na ziemi ciemną plamę zaschniętej krwi i wyraźne ślady wleczenia prowadzące od tego miejsca przy kanale.

Kiedy tam doszliśmy, zwłoki leżały już na trawie, a ja doznałem déjà vu, od którego zrobiło mi się niedobrze. Chłopak miał ranę postrzałową na twarzy i liczne rany kłute wokół bioder i genitaliów.

No i był jeszcze element wody. Cory'ego Smithe'a znaleziono w Potomacu, Ricky'ego Samuela w Rock Creek, a teraz była kolejna ofiara.

Jedyna różnica, jaką dostrzegałem – poza miejscem zbrodni – dotyczyła śladów noża. Wydawało się, że każda ofiara została dźgnięta o kilka razy więcej niż poprzednia. Dżinsy chłopaka były poplamione krwią aż do neonowozielonych tenisówek.

Jacobs uklękła obok zwłok. Widziałem, że robi to, co ja czasem robiłem: zmuszała się, by podejść jak najbliżej i wchłonąć jak najwięcej, świadomie i nieświadomie.

– Na co ten człowiek jest tak wściekły? – zapytała. – Co próbuje osiągnąć, jak myślisz?

Usiłowała wywnioskować coś na podstawie gniewu, który i ja dostrzegłem we wszystkich zabójstwach. To słowo wracało raz po raz.

– Nie mam pojęcia. Ale to może być zaklęty krąg. Im mocniej drapie się po swędzącym miejscu, tym bardziej dociera do niego, że wszystko na nic, i rośnie jego desperacja.

– Albo entuzjazm – dodała, dotykając przez rękawiczkę poszarpanego brzegu otworu w spodniach ofiary. – A może jedno i drugie.

Strzał był środkiem do osiągnięcia zamierzonego celu, co do tego raczej nie miałem wątpliwości. Emocje brały górę, kiedy sprawca sięgał po nóż. W każdym innym aspekcie działania robił wrażenie wyjątkowo zdyscyplinowanego. To nie były spontaniczne morderstwa. Wymagały wcześniejszego przemyślenia i zaplanowania.

Nasuwało się jeszcze jedno ważne pytanie.

Poprzednio, obok koryta Rock Creek, ofiara nie była sama. Tej nocy znaleziono dwa ciała, najprawdopodobniej pochodzące od dwóch różnych zabójców.

Technicy kryminalistyczni z hrabstwa Montgomery przeszli już raz wzdłuż kanału i nadal przeczesywali las, lecz wydawało mi się, że tym razem mamy do czynienia z solową robotą.

Ale dlaczego? Co się zmieniło w jedną albo w drugą stronę?

Nie znałem odpowiedzi na to pytanie, lecz stojąc tam i patrząc, zbroilem

się psychicznie na to, co nastąpi dalej. Gra, którą ci ludzie uprawiali, jeszcze nie dobiegła końca.

A wynik wynosił trzy do dwóch.

Rozdział 46

Tuż przed zapadnięciem zmierzchu ostatecznie zakończyłem oględziny miejsca zbrodni. Spędziłem tam więcej czasu, niż zamierzałem, ale zawsze tak wychodzi. Ruszyłem przez las do parkingu, na którym stał mój samochód.

Ktoś tam na mnie czekał. Ściemniało się, więc w pierwszej chwili nie wiedziałem, kto to jest, ale po chwili rozpoznałem brodę. Miał nawet tę samą bluzę z kapturem i szorty bojówki.

– Ron Guidice? – powiedziałem.

I rzeczywiście się odwrócił. Miałem rację, to był on.

– Próbowałem się z tobą skontaktować – oznajmiłem. – Musimy pogadać.

– A, teraz chcesz gadać? – odparł z nagłą agresywnością. – Ostatnio mnie zbyłeś.

Wzięłem głęboki oddech. Miałem chętkę podciąć mu nogi i wrzucić faceta do bagażnika. Jednak w ten sposób niczego nie wskóram. Naciskałem więc dalej.

– Słuchaj, nie zamierzam udawać, że rozumiem dokładnie, co przeszedłeś przez te sześć lat. Ale co ty teraz wyprawiasz? To nikomu nie pomaga.

– Kwestia punktu widzenia – rzucił.

– Chcę, żebyś wiedział, że jest mi przykro z powodu straty, którą poniosłeś. Naprawdę, ale...

– No co, Alex? Mam się po prostu zamknąć i odejść? Już próbowałem, ale nie pomogło. Ty i reszta policji jesteście tak samo niekompetentni jak sześć lat temu.

Spojrzałem mu w oczy, usiłując się zorientować, czy facet jest pozbierany, czy nie. Czyżbym miał do czynienia z rozkwitającą paranoją? Czy Guidice jest w stu procentach zdrowy? Nie byłem przekonany.

– Nie tylko mnie uprzykrzasz życie – powiedziałem. – Możliwe, że narażasz także życie przyszłych ofiar. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– To zabawne, bo piszę po to, by chronić tych, których wy narażacie.

– Masz mylne wyobrażenia.

– Czyżby? A jak to było z Rebeccą Reilly, detektywie? Możesz mi powiedzieć, gdzie ona jest? Bo, o ile mi wiadomo, zaginęła podczas twojej służby.

Po prostu się ze mną drażnił, to było oczywiste. Nie przebłagam faceta i nie byłem pewien, czy warto dalej próbować.

Musiałem jednak powiedzieć jeszcze jedno:

– No dobrze, w porządku. Jeśli chcesz wrzucać te pierdoły na swojego bloga, twoje prawo. Ale coś ci powiem. Jeżeli jeszcze raz się dowiem, że śledzisz mnie, kiedy jestem z rodziną, to będzie zupełnie inny problem. Rozumiesz?

Guidice podszedł o krok bliżej. Rosły był z niego gość i niewiele go przerażało. Ale to samo można powiedzieć o mnie.

– Grozisz mi, detektywie Cross? Tak mam to rozumieć?

Dopiero w tej chwili zauważyłem dyktafon w jego ręce. Trzymał go w dłoni poza zasięgiem mojego wzroku. Zanim zdążyłem pomyśleć, wyrwałem mu go i wyrzuciłem daleko w las. Prawdopodobnie błąd. Jeszcze jeden w moim dossier.

– Myślisz, że to mnie powstrzyma? – Zaśmiał się, ale nie było w tym wesołości. – Masz kolejny problem. Uwierzyłeś we własną reklamówkę. Alex Cross, Pogromca Smoków. Alex Cross, waszyngtoński Sherlock Holmes. Alex Cross, drugie wcielenie Chrystusa! Papierowy tygrys z ciebie, Alex. Podróbka! I ludzie muszą się o tym dowiedzieć.

Już odchodziłem w drugą stronę.

– To nie koniec! – krzyknął za mną. – Do końca jeszcze daleko!

– I w tym się zgadzamy, Guidice – odrzekłem, wsiadając do samochodu. – Z całą pewnością to nie jest koniec.

Nadszedł czas, by uderzyć faceta z drugiej strony.

Rozdział 47

Co nie znaczy, że ani trochę nie współczułem Guidice'owi. Pierwszą żonę straciłem w eksplozji bezsensownej przemocy. To był najgorszy dzień mojego życia i w dziwny sposób łączył mnie i Guidice'a.

To jednak nie oznaczało, że pozwolę mu bez przeszkód robić swoje. Skoro nie chciał rozmówić się ze mną naprawdę, musiałem go powstrzymać w inny sposób.

Spędziłem wieczór, ściągając wszystkie informacje, które o nim mieliśmy, i szukając dodatkowych. Komendant D'Auria pozwolił mi wślizgnąć się na swoje konto na LexisNexis i znalazłem tam coś w rodzaju bibliografii teksów Guidice'a. Dzięki temu mogłem na niego spojrzeć przez inne okulary.

Do tej pory wiedziałem, że służył przez lata w US Army i odszedł z honorami w 2005 roku. Właśnie tam, mówiąc żargonem dziennikarskim, wyrobił sobie zęby.

Większość czasu przepracował w jednostkach administracyjnych i komunikacyjnych, najpierw w Fort Bragg, potem w Newark w New Jersey; po drodze zaliczył pół roku w Bagdadzie, pracując dla „Army Times”. Pisał tam teksty, które miały poprawić wizerunek Stanów Zjednoczonych; podkreślał znaczenie amerykańskiej pomocy humanitarnej dla Iraku oraz projektów infrastrukturalnych. Wszystko to było dostępne w domenie publicznej.

Później następowało wszystko, co zdarzyło się po zwolnieniu z armii. Nie wiem, co spotkało Guidice'a w wojsku, lecz kiedy zaczął pisać na własny rachunek – na długo przed śmiercią Theresy Filmore – wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Skupił się prawie wyłącznie na nadużyciach władz USA, zarówno w kraju, jak i za granicą.

Kilkakrotnie wracał na Bliski Wschód jako wysłannik pomniejszych gazet, a za swoje prace zdobył nawet parę drugorzędnych nagród. Pisał o wszystkim, począwszy od brutalności policji do fałszowania kart czasu pracy w służbach wymiaru sprawiedliwości; kilka ostrych reportaży poświęcił rzekomemu złemu traktowaniu przez policję terrorystów z Al Ayla, którzy zeszłej jesieni przeprowadzili w stolicy atak.

Jedynym wydarzeniem, o którym, jak się zdawało, nie napisał nigdy wprost, była śmierć jego narzeczonej. Z sobie znanego powodu zostawiał ten incydent na uboczu, ale wyobrażałem sobie, jakim jest on paliwem dla ognia, który płonął już wcześniej.

Teraz wszystko przebijało się na powierzchnię wraz z jednoznacznie wyrażanym poczuciem, że to ja jestem winowajcą.

Nie wiedziałem, czego się po nim spodziewać, ale było jasne, że Ron Guidice jeszcze pokaże, na co go stać, i że będzie to o wiele gorsze niż dotąd.

Rozdział 48

Następnego dnia umówiłem się na czternastą w prokuratorze; była to moja pierwsza wolna godzina. Machina ta nie zawsze działa błyskawicznie, i jeśli mogłem tam coś uzyskać w sprawie Guidice'a, chciałem jak najprędzej się o tym dowiedzieć.

Za kwadrans druga wyszedłem z komendy policji i szybkim krokiem ruszyłem Czwartą Ulicą do Judiciary Center Building. Miałem się spotkać tam z Larrym Kimem w jego gabinecie na drugim piętrze.

Znaliśmy tylko opinie o sobie, choć właściwie jeszcze ze sobą nie współpracowaliśmy. Larry Kim był znany jako solidny prokurator z dobrą znajomością precedensów prawnych i zapalem do twardej walki o to, w co wierzył. Rozmawialiśmy już przez telefon i w zasadzie wiedział, co mnie sprowadza.

– Uczciwie mówiąc, wątpię, czy może pan wiele zdziałać – powiedział. – Fakty są takie, że obywatele mają wszelkie prawo badać poczynania władz i dzielić się swoją wiedzą z innymi.

– A naruszenie mojej prywatności? I zasady poszanowania dobra wspólnego? W pewnym momencie on stanie się zagrożeniem dla śledztwa. Nie mówię o już popełnionych morderstwach. Mówię o zaginionym dziecku i więcej niż jednym zabójcy, który wciąż pozostaje czynny.

Kim pokręcił głową.

– Pierwsza poprawka, kolego. Wolność prasy. To twardy orzech do zgryzienia. I robi się coraz twardszy.

– On nie jest dziennikarzem – odparowałem. – Facet ma komputer, komórkę i do tego nosi w sobie uraz.

– No właśnie. – Kim odstawił wielki kubek z kawą z Starbucksa i nachylił się w moją stronę; nasza rozmowa go wciągała. – Kiedyś było tak, że

ważnymi zagadnieniami najpierw zajmowały się duże gazety, a potem spływały coraz niżej. Teraz często bywa tak, że sprawę ujawnia pierwszy lepszy gość ze smartfonem albo bloger. Sądy biorą to pod uwagę. W zeszłym roku pojawił się w Oregonie blog poświęcony bezpieczeństwu narodowemu. Podobna sprawa, jakiś facet z laptopem korzystający z wątpliwych źródeł. I wie pan, co się stało? Jego prawo do prywatności potwierdziły wszystkie sądy łącznie z najwyższym, stanowym. Gdyby władze Oregonu uznały, że mają mocne dowody, skierowałyby apelację do sądów federalnych, ale odpuściły. – Kim odchylił się na oparcie krzesła i wziął ze stołu kubek z kawą. – Taka jest ta nowa rzeczywistość.

– To tylko jeden przypadek – zauważyłem.

– Nie, jeden z wielu. Domyślam się, że ten Guidice o tym wie i wykorzystuje do oporu. I szczerze powiedziawszy, trudno będzie przyspilić go za to, że zawziął się na pana.

– Proszę tylko o to, żeby ta sprawa nabrała oficjalnego trybu. – W prokuraturze pracuje cały zastęp ekspertów prawniczych. Wierzyłem w kwalifikacje Kima, ale może istniało jakieś inne wyjście. – Gdyby udało mi się chociaż złożyć wniosek do sądu, może Guidice dałby mi spokój.

Larry kiwnął parę razy głową i zaczął przesuwać papiery na biurku. Był to mało subtelny sygnał, że nie ma już dla mnie czasu.

– Mogę tak zrobić – rzekł. – Ale podstawy są wątpliwe. Gdyby pan znalazł na Guidice'a coś bardziej konkretnego, na przykład, gdyby złamał jakieś prawo, byłaby większa szansa na to, by sprawie nadać bieg.

– Proszę mi wierzyć, że nad tym pracuję.

Miałem jedynie nadzieję, że w tym czasie nie pojawią się kolejne ofiary śmiertelne.

Rozdział 49

Wyszedłem z gmachu i ruszyłem prosto do samochodu, który stał w podziemnym garażu. Czasem jest to najlepsze miejsce na zrobienie w spokoju części roboty. Bree nazywa moje auto mobilnym gabinetem.

Przede wszystkim musiałem wykonać parę telefonów. Otworzyłem na kolanie notes i wybrałem pierwszy numer z dłuższej listy, numer Neda Mahoneya.

Ned to dobry kolega i świetny agent FBI; jest tą osobą w Biurze, której ufam najbardziej i wierzę, że udzieli mi jednoznacznej odpowiedzi. Kierował sekcją ratowania zakładników w Quantico, ale doszły mnie także słuchy, że powędruje wyżej. Uwierzę, jak zobaczę.

– Alex – powiedział. – Jak się miewa najpracowitszy gość w show-biznesie? Nie, nic nie mów. Siedzisz w robocie aż po tyłek, co?

Neda cechuje również niewyparzona gęba. Często bije od niego sarkazm, ale prawda jest taka, że w świecie Neda nie ma wielu świętych krów. To jedna z rzeczy, które u niego lubię.

– Potrzebuję informacji. Chodzi o porwanie w Georgii. Nazwisko Rebecca Reilly.

– Reilly. Czy ma coś wspólnego z tym okropieństwem, do którego doszło parę tygodni temu w Vernon? Okno, parapet i tak dalej?

– Pytasz nieoficjalnie? Tak, owszem. Rebecca to dziecko ofiary. Zabrano ją spod opieki dziadków na Południu. Dziadkowie zostali zabici. Nie mogę nic na ten temat wyciągnąć od ludzi z Atlanty i Savannah.

Ned syknął, jakby wciągał powietrze przez zęby.

– Parszywa robota, co? Dlaczego nie zostaliśmy, na przykład, księgowymi?

– Bo nam zależy, Ned.

– A, tak. Taak. Zobaczą, co się da zrobić. Oddzwonię, jak tylko będę mógł.

Długo to nie potrwało. Zdążyłem zadzwonić do Jarreta Krause’a, Sampsona i sierżant Huizengi i wtedy nadeszła wiadomość głosowa od Neda. Nie chciał zostawiać szczegółowych informacji w mojej skrzynce telefonicznej, więc od razu do niego zadzwoniłem.

– Niewiele mogę ci powiedzieć – zaczął. – Biuro nadal działa w tej sprawie, więc pewnie agenci mają powody sądzić, że Rebeccę wywieziono z Georgii. Tylko tyle się wywiedziałem. Pilnują się dosyć mocno, nie pozwalają sobie zajrzeć w karty.

– Dzięki, że spróbowałeś. – Wiedziałem trochę więcej niż dotąd.

– Jak się w ogóle miewasz? – spytał Ned. – Prasa nieźle daje ci ostatnio popalić.

O tym akurat nie chciałem rozmawiać, ale ciekawość wzięła górę. Często tak bywa.

– Dlaczego? Co słyszałeś?

– O tej aferze z *Samym sednem*. Gdziekolwiek się obrócę, wszędzie o tym czytam. Albo o tobie. To prawda, że wyrzuciłeś między drzewa dyktafon tego kolesia?

– Powołam się na piątą poprawkę – odparłem. Nie łudziłem się już, że blog Guidice’a pozostaje tajemnicą, ale nie było przyjemnie o tym słyszeć. Im dłużej to trwało, tym bardziej dotyczyło mnie osobiście, a tego szanujący się glina chce unikać. – W sumie wychodzi na to, że facet jest ważną sprężyną.

– Nie naprężaj się zbyt – poradził mi Ned. – To jest jak opryszczka. Wyskakuje, znika, potem znów się pojawia. Nic nie można zrobić, tylko spuścić głowę i trzymać się tego, co ważne.

Musiałem się zaśmiać.

– Opryszczka, tak? Zapamiętam, żeby do ciebie zadzwonić, kiedy znów będę potrzebował pociechy.

– Zawsze do usług, Alex. Tymczasem nie czytaj tego szajsu, chodzi tylko o to, żeby ci dopiec. Zwłaszcza dzisiaj.

Rada zapewne była słuszna, ale przyszła nieco za późno. Gdy tylko rozłączyłem się z Nedom, uruchomiłem przeglądarkę w telefonie i od razu

otworzyłem *Samo sedno*.

Rozdział 50

Zamieszczone przez RG o 23.52.

Czasem nie mogę się nadziwić, jak nisko może upaść stołeczna policja. Wczorajszy wieczór dostarczył świetnego przykładu. Moja krytyka detektywa Alexa Crossa (patrz boczny pasek) jest dobrze znana. Pomimo opinii wybitnego śledczego – którym być może jest – doktor Cross jest również doskonałym uosobieniem zjawiska znanego jako wilk w owczej skórze, które przenika policję.

Tutaj można usłyszeć nagranie mojej wczorajszej rozmowy z detektywem Crossem. Sami to oceńcie. Chciałem zebrać informacje o niedawnej serii morderstw młodych męskich prostytutek w Georgetown i okolicy, dokonanych przez tak zwanego Rzecznego Zabójcę (o ile wiadomo, policja jak dotąd nie zrobiła w śledztwie żadnych postępów). Przebywałem na parkingu w Lock Seven nieopodal kanału Chesapeake i Ohio, tuż obok Clara Barton Parkway. *Tutaj* umieściłem mapkę Google i zazaczyłem teren ogrodzony przez policję, a także miejsce, w którym natknąłem się na detektywa Crossa. Jak łatwo się przekonać, byłem na terenie otwartym dla dziennikarzy i przygodnych obserwatorów. O bezprawnym wkroczeniu na niedozwolony teren nie może być mowy.

Przyznaję się jednak, że w trakcie rozmowy miałem ukryte pod koszulą urządzenie nagrywające. Zawsze tak postępuję podczas kontaktów z policją, na wszelki wypadek, lecz tym razem po raz pierwszy okazało się to przydatne. Kliknijcie *tutaj*, by posłuchać wymiany zdań. Usłyszycie moją rozmowę z detektywem Crossem, po której nastąpiła krótka szarpanina. Wyrwał mi dyktafon, który trzymałem w dłoni, i rzucił go daleko w las, w kierunku, który zazaczyłem strzałką na wspomnianej wyżej mapce.

Mam nadzieję, że nagranie posłuży jako kolejny w długiej, rzekłbym przytłaczającej, serii dowodów jednoznacznie świadczących o tym, że w policji bardzo przydałoby się wewnętrzne sprzątanie. Tak postępuje policja w krajach takich jak Egipt, Libia i Chiny. Czy naprawdę potrzebujemy tego u nas?

Jak zawsze zachęcam was, byście NIE wierzyli mi na słowo. Niech każdy dokona własnej oceny. Posłuchajcie, co mówią inni. Posłuchajcie samych siebie. Jeśli ktoś

chce zamieścić komentarz lub spostrzeżenie dotyczące działalności policji, proszę kliknąć *tutaj*.

I pamiętajcie: to policja pracuje dla was. Nie odwrotnie.

Rozdział 51

Kiedy tuż przed dziewiętnastą wróciłem do domu, panowała w nim niepokojąca cisza. Z salonu nie dochodziły odgłosy Wii, za zamkniętymi drzwiami nie było słychać wokalu Nikki Minaj. Na schodach nie dudniły niczyje kroki.

W kuchni zastałem Bree ze Stephanie Gethmann, naszą opiekunką społeczną. Biuro Opieki nad Dzieckiem i Rodziną przydzieliło ją do sprawy Avy. Zazwyczaj przychodziła raz w miesiącu, ale ostatnio była zaledwie przed tygodniem.

Coś się działo.

– Alex, usiądź – powiedziała Bree. Była spięta; dotknęła mojej ręki, kiedy przysunąłem sobie krzesło.

– O co chodzi? Gdzie są dzieci?

– Jannie i Ali są z ciocią Tią – odparła.

– A Ava? Nic jej nie jest?

– Policjant z patrolu przywiózł ją po południu – odrzekła Bree. – Znalazł ją na Seward Square, leżała nieprzytomna na ławce w parku.

Odczułem tę wiadomość jak cios w brzuch, ale na swój sposób jej oczekiwałem.

– Nieprzytomną?

– Miała źrenice jak szpilki.

To oznaczało opiaty. W grę wchodził oxycontin, choć Ava nie miała aż tylu pieniędzy. Może fentanyl, który jest tańszy i łatwiejszy do zdobycia, ale także trudniejszy do opanowania. Mój gliniarski umysł mimo woli przeglądał listę możliwości.

– Nana jest z nią teraz na górze – ciągnęła Bree. – Ava usnęła. Rano będziemy jej musieli zrobić badanie moczu.

Skinąłem głową i spuściłem wzrok na blat stołu. Nagle znów poczułem się jak w roku 1989. Właśnie wtedy ostatnim razem narkotyki pojawiły się w tym domu.

Mój brat Blake był uzależniony. Pewnego wieczoru stanął na progu przed Naną, na głodzie, błagając ją o pomoc. Nana zadzwoniła do mojego akademika w Georgetown i poprosiła, bym przyjechał, co też uczyniłem. To było długie, przesycone potem dwanaście godzin, ale jakoś je przebrnęliśmy. Nana była jak anioł miłosierdzia. Pomagałem, na ile mogłem.

Nie wiedziałem wtedy, że widzimy się w trójkę po raz ostatni. Blake przyrzekł, że pozostanie na odwyku, który znalazła dla niego Nana, ale szybko prysnął i zniknął. Następnym razem usłyszeliśmy o nim rankiem drugiego września, gdy w progu stanął policjant. Blake'a znaleziono w jakiejś norze w Anacostii; zmarł od przedawkowania heroiny.

Teraz siedziałem zatrwożony o Avę. Nie była Blakiem, to oczywiste. Ale prawdą było i to, że ja i Nana zrobiliśmy dla mojego brata wszystko, co leżało w naszej mocy, lecz to nie wystarczyło.

– A więc co teraz? – zapytałem Stephanie.

– Opieka psychologiczna na pewno. Może leczenie. Zależy, co Ava powie na swoją obronę. Musimy się dowiedzieć, jak długo to trwało i czy jest uzależniona. No i może uda wam się dowiedzieć, skąd bierze narkotyki. To mógłby być krok we właściwym kierunku.

– Trzymaliśmy ją na krótkiej smyczy – odezwała się Bree. – Ostatnio pojawił się pewien kłopot.

– Z narkotykami? – chciała wiedzieć Stephanie.

Bree i ja spojrzeliśmy na siebie.

– Nie mieliśmy pewności – odparła Bree. – Teraz chyba ją mamy.

– No cóż, jeśli się na to zgodzicie, najlepiej dla niej byłoby, żeby została tutaj. Dzisiaj pozwolę jej odpocząć, ale jutro chcę się z nią spotkać. I będę do was częściej zaglądała. Jak wam pasują środy i soboty?

– Świetnie – odpowiedziała Bree.

Nadal czułem się jak ten, który ma zaległości. Miałem przepełnioną głowę. Kiedy ją uniosłem, Stephanie i Bree patrzyły na mnie.

- Słucham, co?
- Środy i soboty – powtórzyła Stephanie. – Pasują ci te dni, Alex?
- Tak, naturalnie – odparłem. – Zrobimy wszystko, co trzeba. Poradzimy sobie z tym.

Rozdział 52

„Tak, naturalnie. Zrobimy wszystko, co trzeba. Poradzimy sobie z tym”.

Ron Guidice zdjął słuchawki z uszu i oparł się o fotel. Usłyszał wszystko, co potrzebował usłyszeć. Reszta rozmowy mogła trafić na twardy dysk.

Wrażenie ogólne było takie, że Alexowi wiedzie się ostatnio raz lepiej, raz gorzej. Właśnie do tego służy obserwacja elektroniczna. Tylko tyle mógł Guidice wywnioskować, nie umieszczając kabli wewnątrz domu Alexa. Ale to mu w zupełności wystarczało.

Zapisał czas w notesie i zaczął notować niektóre spostrzeżenia w komputerze, gdy z holu dobiegło pukanie.

– Ronald, skarbie?

– Wejdz – powiedział, zamykając laptopa.

Matka otworzyła drzwi, w zagięciu ręki trzymała Grace. Na drugim ramieniu miała białą pieluchę z tetry. Z kieszeni podomki wystawał smoczek buteleczki.

– Emma Lee chce, żeby tatuś położył ją dzisiaj spać.

– Żaden problem – odparł Guidice.

Kiedy jednak doszedł do drzwi, Lydia się nie ruszyła. Stała w progu, wypełniając futrynę swoją obfitą postacią. To była jej własna odmiana biernej agresji; przypominała w tym krowę na torach. Najwyraźniej coś chodziło jej po głowie.

Guidice uzbroił się w cierpliwość. Na razie nie było wiadomo, czy powinien zastosować wobec matki kij czy marchewkę. Może trochę jednego i trochę drugiego.

– O co chodzi, mamó?

– Wezwałeś już policję?

– Nie – odparł. – Nie przejmuj się tym.

– Ale ty się przejmujesz – powiedziała, z roztargnieniem kołysząc dziecko.
– To znaczy... – Ściszyła głos do szeptu, jak gdyby ktoś mógł ją usłyszeć. – Skąd w ogóle wiesz, że ona jest twoja?

Guidice wyciągnął rękę i pogładził palcem różowy policzek córki. Uśmiechnął się, spojrzawszy na maleńkie na wpół przymknięte oczka.

– Spójrz na nią, wykapany ja.

– A jednak. Chodzi o matkę dziecka – nie dawała za wygraną Lydia.

– Zwykła szmata, mamó. Na jedną noc.

Matka odwróciła nieco głowę i uniosła rękę.

– Za dużo informacji, dziękuję. Mówię tylko, że źle postąpiła.

– No właśnie – przytaknął. – Zastanów się. Ktoś zostawia dziecko w samochodzie i po prostu odchodzi. Chciałabyś, żeby ktoś taki żył pod jednym dachem z małą Grace?

Lydia przygarnęła mocniej dziecko.

– Nie, ale...

– Dlatego się przeprowadziliśmy. Nie chciałem, żeby nas znalazła. I szczerze powiedziawszy, ja też nie chcę jej znaleźć. Grace zasługuje na coś lepszego.

– No może – rzuciła niepewnie Lydia, albo dlatego, że zgadzała się z synem, albo dlatego, że ukończone dziesięć klas szkoły nie przygotowało jej do prowadzenia poważnych dyskusji.

– Tu nie ma miejsca na „może”, mamó, zastanów się. Naprawdę chcesz, żeby ktoś taki wychowywał twoją wnuczkę?

– Nie – odpowiedziała tym razem z większym przekonaniem.

– Nie – powtórzył Guidice. – Nie chcesz. I ja także nie chcę. – Dał matce chwilę na przyswojenie argumentu, a potem złagodził ton. Czas na marchewkę. – Uwierz mi, że jesteś o niebo lepszą matką niż ona. Nie ma z tobą szans, mamó.

Lydia Guidice zawsze była podatna na komplementy. Uśmiechnęła się i zarumieniła, a potem usunęła się z drogi.

– No idź już – rzekła. – Emma Lee czeka.

Pocałował matkę w policzek i ruszył korytarzem.

Istniały oczywiście inne rozwiązania. Lydię można było wyeliminować równie łatwo jak każdą inną osobę, w sensie fizycznym. Ulżyłoby mu, gdyby nałożył na nią ostateczny nakaz milczenia i położył kres jej nieustannemu zrządzeniu.

Jednak w tej chwili zasadnicze znaczenie miała kwestia ograniczenia kosztów. Lydia odgrywała bardzo ważną rolę w rodzinie. Potrzebował jej, czy to mu się podobało, czy nie. Postąpiłby krótkowzrocznie, usuwając ją tylko po to, by się przymknęła.

Nie, pomyślał. Nie może tego zrobić. Ani nawet o tym myśleć.

Chyba że okaże się to absolutnie konieczne.

Rozdział 53

Podczas następnej porannej odprawy usiłowałem się skupić, ale trudno mi było myśleć o tym, co dzieje się w sali.

Zastanawiałem się, czy aby nie wziąłem na siebie za dużo. To pytanie często się pojawia. Miałem na głowie trzy sprawy, i do tego Awę. Była moją czwartą sprawą. Później tego dnia mieliśmy spotkanie w siedzibie Biura Opieki nad Dzieckiem i Rodziną. Do tego czasu miałem aż nadto zajęć.

W gruncie rzeczy za dużo, ale jak odmówić, gdy stawką jest ludzkie życie? Jak dotąd mieliśmy dziewięć ofiar śmiertelnych i jedną zaginioną, trzech nieznanymi podejrzanych na wolności i wisiało nad nami widmo kolejnych ofiar.

W wydziale nie ma jednomyślności co do zabójstw, które wyglądają na dzieło seryjnych morderców. Niektórzy doszukują się w nich przypadkowości, do której co jakiś czas musi do nich dochodzić. Stany Zjednoczone to światowa stolica seryjnych morderstw. Liczba czynnych w danym momencie zabójców waha się między dwudziestoma pięcioma a pięćdziesięcioma.

Najsłynniejsza seria morderstw, o jakiej wiedziałem, zdarzyła się w South Los Angeles, ciągnęła się od wczesnych lat osiemdziesiątych aż do roku 2007. Tamtejsza policja wytropiła pięciu odrębnych sprawców, w tym dwóch o pseudonimach Grim Sleeper i Southside Slayer. Do czasu, gdy zamknięto wszystkie pięć spraw, zginęło pięćdziesiąt pięć osób na obszarze o powierzchni stu trzydziestu kilometrów kwadratowych.

Ostatnio pojawiły się doniesienia o trzech zabójcach działających jednocześnie w hrabstwach Nassau i Suffolk na Long Island. O ile mi wiadomo, dwóch podejrzanych trafiło do aresztu, a jeden pozostawał na wolności; liczba ofiar wzrosła do trzydziestu.

Teraz mieliśmy z czymś takim do czynienia w Waszyngtonie. Niemal przez cały czas głowiłem się nad tymi trzema sprawami: analizowałem metody zabójstw, profile ofiar, możliwe motywy, a przede wszystkim usiłowałem przewidzieć, gdzie spadnie następny cios.

Zabójcę numer jeden nazywałem w myślach Russellem; był to domniemany chłopak Elizabeth Reilly. W pewnym sensie wydawał się najbardziej nieprzewidywalny, jego ciężarne ofiary zginęły w odstępie czterech i pół roku; przypuszczalnie miał także na koncie porwanie.

Numerem dwa był ten, któremu dziennikarze nadali przydomek Rzeczny Zabójca. Do tej pory natrafiliśmy na zabite trzy męskie prostytutki, ale obawiałem się, że wszystkich jeszcze nie znaleźliśmy. W normalnych warunkach potrzeba tygodni, by gaz nagromadzony w rozkładających się zwłokach wyniósł je na powierzchnię.

Zabójca numer trzy był najbardziej nieokreślony, ale miał już dwa różne przydomki. Niektórzy nazywali go Rozpruwaczem z Georgetown, inni – Zabójcą Barbie, z powodu jasnych włosów i doskonałych figur jego dwóch znanych ofiar. Funkcjonariusze waszyngtońskiej policji w oficjalnych raportach pomijali te porównania, lecz media i tak je podchwyciły.

Właśnie ta sprawa budziła we mnie w tej chwili największy niepokój. Zważywszy powiązanie tego gościa z Rzecznym Zabójcą, nie mogłem się uwolnić od poczucia, że Zabójca Barbie ma nieco do nadrobienia. Ujmując rzecz najprościej, czułem, że powinniśmy się spodziewać następnej martwej blondynki.

Trzy dni później okazało się, że częściowo miałem rację.

Tym razem martwe blondynki były dwie.

Rozdział 54

Ciała znalazła dozorczyńni domu po przyjsciu do pracy w poniedzialek rano. Później ustalono, że zgony nastąpiły w sobotę około dwudziestej drugiej, co oznaczało, że zabite kobiety przeleżały w budynku półtorej doby. Coraz gorsze wiadomości dla nas, śledczych. Pojechałem na miejsce zaraz po odebraniu telefonu.

Była to kamienica z różowej cegły w Cambridge Place, zamożny, lecz ciasno zabudowany kwartał Georgetown. Nikt nie zgłosił, że słyszał krzyki lub jakieś inne niepokojące odgłosy.

– Brak śladów włamania – oznajmił mi przy głównym wejściu Errico Valente. – System alarmowy był wyłączony. Wygląda to tak, jakby faceta wpuszczono do domu.

– Są tu jakieś kamery bezpieczeństwa?

– Taak, prywatnej firmy ochroniarskiej – odparł Valente. – Właśnie oglądamy zapisy.

Lwia część miejskich kamer zwykle kierowana jest do najniebezpieczniejszych dzielnic. Ironia polegała na tym, że dwa zabójstwa stawały drugi okręg, czyli Georgetown, na równi z nimi.

Z holu na parterze poszliśmy z Valentem na górę do domniemanego miejsca zbrodni, którym było największe mieszkanie na piętrze dwukondygnacyjnej kamienicy. Ofiarami okazały się matka i córka, Cecily i Keira Whitley, czterdzieści trzy i dziewiętnaście lat. Pani Whitley była rozwódką, lecz jej były mąż nadal mieszkał w Waszyngtonie, mieli dwie córki. Siostra bliźniaczka Keiry studiowała na Uniwersytecie Santa Barbara w Kalifornii.

Teraz rodzinę Whitleyów przepołowiono.

Po wejściu do sypialni najpierw zobaczyłem matkę, leżącą na blad różowym prześcieradle na nieposłanym łożu. Zerwana z niego kołdra leżała na podłodze.

Córka znajdowała się na zbyt mocno wypchanym szezlongu stojącym w kącie, odwrócona twarzą do matki. Ślady na wykładzinie świadczyły o tym, że mebel przesunięto w to miejsce niedawno.

Obie ofiary były wysokimi atrakcyjnymi kobietami i miały kiedyś długie blond włosy. Były do siebie trochę podobne. Kolejne dwie lalki do kolekcji Zabójcy Barbie. Jeśli do tej pory ktoś miał co do tego wątpliwości, to charakterystyczne ślady noża je przekreślały. Obie miały rany kłute po lewej stronie klatki piersiowej, na brzuchu oraz prawym udzie w pobliżu arterii. Zaschnięta krew utworzyła ciemne otoczki wokół spoczywających na materacu i szezlongu zwłok.

– Podły sukinsyn – powiedział Valente. – Zabija dla samego zabijania.

Tak to wyglądało. Nie było żadnych śladów napaści seksualnej ani rabunku. Niebieska skórzana torebka pani Whitley leżała zamknięta na toalecie przy oknie, a kolczyki w uszach Keiry, z dużymi brylantami, pozostały nietknięte.

Wiek, jak się wydawało, także nie odgrywał dla zabójcy żadnej roli. Jedynymi naprawdę wspólnymi elementami były bardzo wyraźny typ fizyczny ofiar, wykorzystanie noża i, oczywiście, obcięte włosy. Były praktycznie wszędzie, gdziekolwiek się spojrzeło: zlepione krwią leżały na sprzętach, luźne kępki i kosmyki ścieliły się w całym pomieszczeniu, również na zwłokach. Od dawna nie byłem w tak dziwnie wyglądającym miejscu zbrodni.

Ale czy któryś z tych elementów był ważniejszy od innych? Sprawca coś odreagowywał, to pewne. Może wciąż odgrywał tę samą fantazję, bez końca.

Możliwe, że te kobiety zastępują mu kogoś innego, pomyślałem. Kogoś, kogo jedynie pragnął dostać w swoje ręce. Być może zmarłą matkę. Albo jakąś byłą. Nie widziałem jeszcze wyraźnej drogi do rozwikłania tej zagadki, ale podskórnie czułem, że to pytanie prowadzi mnie we właściwym kierunku.

Kim jest ten człowiek i kogo próbuje zabić, raz po raz?

Rozdział 55

Zanim zdążyliśmy zrobić porządny obchód domu, sierżant pilnujący drzwi poinformował nas, że pojawił się przedstawiciel firmy Baseline Security. Valente oddzwonił i polecił, żeby go trzymać; ruszyliśmy na dół i spotkaliśmy się z nim na ulicy.

Czarny range rover stał w połowie odległości między domem, w którym mieszkała pani Whitley, a barierką przy najbliższej przecznicy. Mężczyzna czekający na nas przedstawił się jako John Overbey, właściciel Baseline. Jego firma współpracowała z wieloma wspólnotami mieszkańców, zapewniając obserwację wideo i ochronę domów tam, gdzie brakowało kamer miejskich.

– Ten kwartał mamy pokryty w stu procentach – powiedział. – Kiedy tylko usłyszałem tę okropną wiadomość, zacząłem przeglądać zapisy. I jestem prawie pewny, że mamy człowieka, którego poszukujecie.

W czasie rozmowy stale zerkał na dom. Ja też na jego miejscu chciałbym zajrzeć do środka, ale Valente skinął ręką, by Overbey włączył swojego laptopa na masce samochodu.

Ekran zaświecił się i mężczyzna otworzył obok siebie dwa okienka wideo. Zapis czasu wydał mi się niejasny, ale może było to firmowe kodowanie; właściciel odczytał go bez trudu.

– Sobota wieczór, godzina dziewięta czterdzieści sześć – oznajmił, wskazując lewe okienko. – A to – pokazał prawe – zapis z dziesiątej piętnaście. Oba z tej samej kamery, o tam.

Odwrócił się i wskazał róg Cambridge i Trzydziestej Ulicy. Rzeczywiście zauważyłem małą czarną skrzynkę zamocowaną na narożniku budynku pod oknem na pierwszym piętrze.

– Przejrzyjmy ten zapis chronologicznie – zaproponował Valente.

Overbey powiększył pierwsze okienko na cały ekran i włączył odtwarzanie wideo.

Kolorowy cyfrowy obraz, w odróżnieniu od tego z kamer miejskich, był krystaliczny. Jego jakość ograniczało to, że nagranie powstało wieczorem. Cambridge Place było sporadycznie oświetlone staroświeckimi latarniami stojącymi niezbyt gęsto wzdłuż chodnika z kostki.

Przez kilka sekund ekran pozostawał pusty, a potem w kadrze pojawił się mężczyzna; siedł zwrócony plecami do kamery.

– To on – rzucił Overbey.

Niewiele było widać poza tym, że miał ciemny płaszcz do kolan, a na głowie bejsbolówkę. Dotarłszy do domu pani Whitley, wszedł na schody i nacisnął dzwonek.

Świadomość tego, co się stanie, i niemożność zapobieżenia temu mroziła krew w żyłach.

Światło na ganku się zapaliło. Nastąpiła krótka wymiana zdań przy drzwiach, mężczyzna kilkakrotnie wskazał na ulicę. Kobieta z jasnymi włosami wyszła na zewnątrz. Była za daleko, by stwierdzić, czy to pani Whitley czy jej córka, położyła jednak rękę na ramionach mężczyzny i pomogła mu wejść do budynku. Zrobił to z wyraźnym utykaniem, którego wcześniej nie było widać.

– Pewnie powiedział jej, że go napadnięto. – Overbey pomniejszył okienko, które zajmowało cały ekran, powiększając drugie. – A teraz proszę spojrzeć. Dwadzieścia dziewięć minut później.

Zobaczyliśmy ujęcie ulicy z tej samej kamery. Po chwili mężczyzna wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Skręcił w lewo po zejściu ze schodów i bez śladu utkania ruszył ulicą.

Kiedy zbliżył się ponownie do kamery, ujrzeliśmy po raz pierwszy jego twarz. Przez ułamek sekundy nawet patrzył w górę w obiektyw kamery, a potem przeszedł pod nią i zniknął.

– No i jest – powiedziałem.

– Taak. – Overbey zatrzymał obraz, cofnął nagranie i włączył pauzę.

Wydawało się, że mężczyzna patrzy prosto na nas. Valente nachylił się,

żeby lepiej widzieć, a potem zaklął pod nosem.

– Wygląda znajomo? – zapytał.

Owszem, wyglądał. Twarz była podobna, choć nie taka sama jak starca, którego zobaczyliśmy na nagraniu z kamery bezpieczeństwa w garażu tej nocy, gdy zamordowano Darcy Vickers.

Wyglądał na ten sam wiek, jakieś siedemdziesiąt lat, ale w odróżnieniu od tamtego nosił wąsy i okulary. Spod bejsbolówki sterczały dwa kędziory białych włosów. Tamten był łysy.

– Sztuczne – powiedziałem, gdy tylko to sobie uświadomiłem.

Valente skinął głową.

– Coś w rodzaju maski, tak? O Jezu. To wiele wyjaśnia.

– A jemu chyba nie przeszkadza, że o tym wiemy – dodałem. – To jasne, że wiedział o tej kamerze, spojrział prosto w obiektyw. Może nawet chciał, żebyśmy go zobaczyli.

Mogło to oznaczać, że z jakiegoś powodu jest pewny siebie, myśli, że nigdy nie przejrzymy jego maski i go nie przyskrzynimy.

Ale może poczuł się zbyt pewnie, i właśnie uchyliliśmy rąbka tej sprawy.

Spojrzałem na Overbeya.

– Może pan poskładać jego posunięcia? Wykombinować, dokąd się udał z tego miejsca? Albo skąd nadszedł?

– Zrobię, co się da – odrzekł. – Nasz rewir sięga tylko do Q Street. Ale możecie także ściągnąć zapisy od miasta.

– Najlepiej od razu – oznajmił Valente, wystukując numer na telefonie.

– Detektywie Cross?

Gdy usłyszałem swoje nazwisko, odwróciłem się i zobaczyłem umundurowanego funkcjonariusza.

– O co chodzi?

– Ma pan gościa.

– Co takiego? – To było dziwne. Znajdowaliśmy się na miejscu zbrodni, teren został zamknięty.

Policjant wzruszył ramionami.

– Mówi, że zadzwonił pan do niego i poprosił, by tutaj przyjechał. Czeka

tam.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. To był Ron Guidice w nieodłącznej bluzie z kapturem i bojówkach.

– Co, u diabła, robi tutaj ten palant? – zezłościł się Valente. – Chcesz, żebym się go pozbył?

– Nie, ja się tym zajmę. I zrobię to z przyjemnością.

Jakimś sposobem Guidice znalazł drogę na miejsce zbrodni. Zamierzałem pomóc mu znaleźć drogę powrotną.

Rozdział 56

Bez palpacji biorę dziennikarza za kołnierz i wyprowadzam, jeśli ładuje się na miejsce zbrodni. Nigdy nie zdarzyło mi się żadnego aresztować, ale zawsze musi być ten pierwszy raz.

– Hej, Guidice! – zawołałem, idąc w jego stronę. – Zbieraj się stąd.

Zszedł z chodnika i stanął między zaparkowanymi samochodami.

– Detektywie Cross, naćpałeś się? – zapytał głośno, tak aby słychać go było z daleka.

– Bardzo zabawne. – Nie miałem wątpliwości, że odgrywa tę scenkę z myślą o mnie. Był za cwany, by nie wiedzieć, że narusza miejsce zbrodni. Ale ja ani myślałem dać się w to wciągnąć.

– Masz pięć sekund na przejście na drugą stronę barierki. – Wskazałem miejsce na końcu ulicy, przy którym zgromadził się tłum gapiów. Niektórzy mieli nawet tablice z napisami protestacyjnymi: **ŻĄDAMY BEZPIECZEŃSTWA W GEORGETOWN. GDZIE SIĘ PODZIEWA POLICJA?** Jestem pewien, że Guidice'owi cholernie przypadły do gustu.

Zmrużył oczy i jego źrenice się zwężyły, kiedy na mnie patrzył.

– Jesteś naćpany, prawda? Nie chciałem o tym pisać, nie mając pewności, ale...

– Ronaldzie Guidice, aresztuję pana za bezprawne wtargnięcie na oznaczone miejsce zbrodni – oznajmiłem. Miałem już naszykowaną bransoletę. – Proszę się odwrócić i wyciągnąć ręce za plecy.

Nadal stał między samochodami, a ja musiałem tam wejść, żeby zmusić go do zrobienia kroku. Nagle jednak poczułem ostry, piekący ból w nodze.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że Guidice cofa rękę. Coś w niej trzymał, ale nie wiedziałem co.

Zareagowałem automatycznie. Uderzyłem go mocno. Pięść trafiła go w nos i usta, trysnęła z nich fontanna krwi. Pewnie powinienem był na tym poprzestać, ale zapanowała nade mną adrenalina, Guidice zaś wciąż stał na nogach. Po prawym prostym poprawiłem lewym hakiem.

Tym razem Guidice runął na ziemię.

Upadł na plecy i wyglądał na ogołuszonego. Przygwoździłem go kolaniem. Moje udo pulsowało bólem. Trafił mnie w sam mięsień.

– Co to było?! – ryknąłem na niego. – Czym mnie dziabnąłeś?

Wyciągnąłem rękę, żeby przeszukać mu kieszenie, ale dwóch mundurowych odciągnęło mnie do tyłu. Trzeci uklęknął obok Guidice'a i przeciągnął go po chodniku w przeciwną stronę.

Zjawił się Valente, zobaczyłem Huizengę biegnącą od samochodu.

– Alex, co się tutaj dzieje? – zapytała.

– On jest aresztowany! – Wskazałem Guidice'a. – Przeszukajcie mu kieszenie! Aresztujcie go!

Guidice leżał na ziemi, przyglądając mi się.

– Pani sierżant, ten detektyw jest wyraźnie pod wpływem narkotyków. Zaatakował mnie bez żadnego powodu. – Starł dłonią krew z twarzy i uniósł rękę, żeby uchwyciły to kamery na końcu ulicy. – Alex Cross mi to zrobił!

– Chodź tu! – ryknąłem, ale Huizenga stanęła przede mną i mnie cofnęła. Valente także trzymał mnie za rękę.

– Weź się w garść, Alex! – powiedziała. – A teraz powiedz mi, że nie zrobiłeś tego bez powodu.

– On mnie dziabnął!

– O czym ty mówisz?

– Nie wiem... Nie wiem, co to... było.

Trudno było mi zebrać myśli, głowa zaczęła mi pływać. Czułem mrowienie w całym ciele. Ciepło rozlało się po kończynach i sięgało głowy.

– Chyba zaraz...

Chciałem powiedzieć: „Chyba zaraz stracę przytomność”, ale nie dokończyłem zdania.

Uświadomiłem sobie, że to nie było zwykłe ukłucie igłą. To było coś

innego. Zanim straciłem przytomność, moją ostatnią myślą było to, że zostałem otruty.

Czy Guidice mnie zabił? Czy ja umieram?

Rozdział 57

Obudziłem się w karetce. Była tam Huizenga, jechaliśmy.

Z początku nic nie układało się w sensowną całość, ale szybko przypomniałem sobie przebieg wypadków.

– Połóż się – powiedziała i pchnęła mnie na nosze, kiedy usiłowałem usiąść.

Po obu stronach siedzieli sanitariusze. Jeden przyciskał do mojego ramienia opaskę do pomiaru ciśnienia. Drugi wysyłał przez radio informacje na temat mojego stanu do szpitala, do którego zmierzaliśmy. Prawdopodobnie w Georgetown.

– Dźgnął mnie...

– Odpręż się.

– On...

Moje ciało było jak galareta, tylko rękami wstrząsały nerwowe tiki. Głowa wciąż pływała. Co to, u diabła, było? Świadoma część mojego mózgu wiedziała, że dzieje się bardzo źle, ale coś sprawiało, że nie umiałem tego odczuć. Ten stan przypominał euforię z trwogą ukrytą gdzieś pod spodem. Tak jakbym z zewnątrz oglądał film o tym, że odwożą mnie do szpitala.

Gałki oczu się przesunęły. Sanitariusz uniósł palcem moją powiekę i popatrzył.

– Odpływa – stwierdził.

To było ostatnie słowo, które usłyszałem.

Rozdział 58

Kiedy ponownie się ocknąłem, byłem w szpitalu. Z góry świeciła jarzeniówka. Zamiast ścian otaczała mnie niebieska kotara, byłem w sali badań albo w jakimś boksie.

Huizenga wciąż przy mnie była. Po chwili uświadomiłem sobie, że jest także Bree.

– Hej – odezwała się, ściskając mi rękę. – Jak się czujesz?

Nadal byłem przymulony, kołysałem się na resztkę jakiegoś obłoku. Mimo to się uśmiechnąłem. Wszystko było ciut zamazane.

– Jak długo tu jesteś? – zapytałem.

– Parę godzin. Jest szósta.

– Co się stało?

– Wykryli opiaty w twoim krwiobiegu – oznajmiła Huizenga. – W większości pochodne oxycontin.

– W większości?

– Trochę morfiny.

– A. – Moja głowa opadła na poduszkę. – Wiedziałem, że coś rozpoznaję.

Zaliczyłem i ja swoją porcję prochów, w tym także morfinę. Ostatnio zdarzyło mi się to przed paroma laty, kiedy zostałem postrzelony w Vermoncie w trakcie śledztwa.

Teraz wszystkie kawałki wracały na swoje miejsce. Przypomniałem sobie scenę zbrodni w Georgetown. Firma ochroniarska. Guidice...

Usiadłem i zrzuciłem z siebie cienki koc, którym mnie przykryto.

– Gdzie jest Guidice? W areszcie?

– Oj – rzuciła Bree. – Wyhamuj, Alex. Spokojnie.

– Gdzie on jest? – powtórzyłem.

– Myślę, że wciąż trzymają go na komendzie – odpowiedziała Huizenga. – Ale nie jest aresztowany.

– Co wy gadacie? Właśnie miałem mu założyć kajdanki, kiedy mnie dźgnął.

Huizenga wzięła głęboki oddech i spojrzała na Bree. Wiedziały coś, czego ja nie wiedziałem.

– Nic na niego nie było – odrzekła. – Miał tylko dokument identyfikacyjny, gotówkę i aparat.

– No to musiał wyrzucić igłę. Mówię ci...

Przerwała mi:

– Wszystko, co znaleźliśmy, było przy tobie. Między innymi to. – Huizenga pokazała brązową fiolkę. – Kiedy dotarliśmy na miejsce, miałeś to w kieszeni. A na fiolce nie ma jego odcisków.

– Co?

– Guidice twierdzi, że byłeś naćpany, i rzeczywiście tak było, z takiego lub innego powodu. Poza tym mówi, że rzuciłeś się na niego bez powodu. Jeśli cię ukłuł, to nikt tego nie widział.

– O Boże.

Opadłem na łóżko. Zaczęło do mnie docierać, w jak pokręconej sytuacji się znalazłem. A Huizenga jeszcze nie skończyła.

– Składa wniosek przeciwko tobie. O nakaz ograniczenia twoich poczynań. Twierdzi, że chciałeś go dopaść od dnia, w którym zaczął o tobie pisać.

Spojrzałem jej w oczy.

– Ktoś mnie wystawia, Marti. Jezu, czy ty mi w ogóle wierzysz? Przecież wiesz, jak było z tym facetem.

Cofnęła się; widziałem, jak ją złości to, co robi.

– Nie chcę mówić za dużo, Alex. Najpierw musimy się więcej dowiedzieć. Ale muszę zabrać twoją broń, odznakę i legitymację. – Znów odetchnęła głęboko. – I będę musiała cię zabrać, kiedy tutaj skończymy.

– Takiego wała! – wtrąciła się Bree. – Słyszałaś, co powiedział. Napadnięto go. Naprawdę podważasz jego słowa? To jeden z najlepszych gliniarzy

w Waszyngtonie.

– Niczego nie podważam – odparła Huizenga. – Ale musimy lawirować. Całe miasto głośno domaga się pociągnięcia policji do odpowiedzialności, a fakt pozostaje faktem, że z jakiegoś powodu Alex zaatakował tego człowieka.

– No nie wierzę – rzuciła Bree. – Wy potraciliście głowy!

Huizenga pierwszy raz podniosła głos.

– Bree, jesteś tutaj dzięki mojej uprzejmości, a ja jestem twoją przełożoną. Jasne? Spuść z tonu, bo inaczej poproszę cię, żebyś wyszła.

– Proś sobie, o co chcesz. On wraca ze mną do domu.

– Mogę nakazać, by cię usunięto, jeśli to będzie konieczne – zagroziła Huizenga.

Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszę. Wszystko miało ujść Guidice’owi na sucho.

– Marti, co to znaczy „zabrać mnie”?

Były dwie możliwości. Albo chcieli pogadać ze mną na komendzie, albo naprawdę nakładali na mnie areszt.

Opuściła głowę i odpowiedziała, nie odpowiadając.

– Daję wam dwie minuty sam na sam.

Innymi słowy, nie wrócę dzisiaj na noc do domu.

Rozdział 59

Nie ujawniono mi treści rozmów prowadzonych na górze, ale zanim zwolniono mnie ze szpitala, wieść rozeszła się w dół. W tej sprawie nie będzie specjalnego traktowania. Policji na to nie stać, nie w obecnej sytuacji. To był mecz polityczny, a mnie przypadła rola piłki.

Huizenga zawiozła mnie prosto na komendę. Ominęła dziennikarzy zgromadzonych przed budynkiem na Indiana i postawiła samochód w garażu; nie odezwaliśmy się ani słowem. Z garażu jest prosty jak strzełił zjazd windą do centralnego bloku cel w podziemiach.

Twarze funkcjonariuszy w rejestracji wyrażały coś pomiędzy oszołomieniem a zafascynowaniem. Nie wiem, czy wiedzieli, co tam robię, ale na pewno wiedzieli, kim jestem. Przez lata pracy wprowadziłem tam setki aresztowanych.

Teraz role odwróciły się w najgorszy możliwy sposób. Pobrano moje odciski palców i sfotografowano mnie. Opróżniono mi kieszenie; zawartość trafiła do foliowej torebki. Dano mi cienką kanapkę i koc i zaprowadzono do celi, w której miałem spędzić noc.

Centralny blok cel ma siedemdziesiąt lat. Cele są takie, jak można je sobie wyobrazić: drzwi ze stalowych prętów dźwięczące przy zamykaniu, betonowe posadzki, stalowe prycze bez materacy i stalowe sedesy w rogu. Nieraz, zamykając kogoś, cieszyłem się, że to nie mnie przyjdzie tam spędzić noc.

Huizenga dzięki swojej pozycji załatwiła mi jednoosobową celę i zaproponowała, że przyniesie kolację z zewnątrz. Ale kiedy znalazła się po drugiej stronie prętów, nie mogłem nawet na nią patrzeć.

– Wyprostujemy to rano, Alex – powiedziała. – Przrzekam.

Chyba desperacko chciała mi zostawić strzęp optymizmu. Prawda była taka, że nie mogła wiedzieć, ile to potrwa. Milczałem, więc powiedziała „dobranoc” i odeszła.

Usiadłem na pryczy i oparłem głowę na dłoniach. Cała sprawa graniczyła z surrealizmem lub co najmniej z koszmarnym snem. Naprawdę nie mogłem uwierzyć, że wylądowałem na dołku, i to za coś, czego nie popełniłem.

Ciekawe, co Bree powie dzieciom. Rozmyślałem o tym, co robi Ava. Jak przyjmą to Jannie i Ali. Zastanawiałem się nawet, jak rozwija się śledztwo w sprawie dwóch nowych zabójstw na Cambridge Place i czy Valente zrobił jakieś postępy.

Trafiłem do aresztu po tym, jak zgaszono światła, do rana nie było więc nic do roboty, mogłem jedynie siedzieć sam ze swoimi myślami. Bóg świadkiem, że nie było mi dane zasnąć.

Ilekcję zamykałem oczy, widziałem twarz Rona Guidice'a. Wciąż myślałem o jego cholernym łapsku. Jak uniósł je do kamer. Pięknie to zagrał! Zwłaszcza w kontekście doniesień o moim aresztowaniu, które z pewnością znajdą się we wszystkich serwisach.

Gdybym mógł zabić faceta myślą, pewnie bym to zrobił.

Rozdział 60

Rano obudziła mnie zmiana o piątej trzydzieści, wtedy wprowadzano aresztantów zgarniętych nocą w dzielnicy, innych zaś odwożono do znajdującego się tuż obok sądu. Dlaczego akurat o tej godzinie, nigdy się nie dowiedziałem, ale przecież i tak nie spałem.

Parę godzin później wyprowadzono i mnie – na przesłuchanie o dziewiątej w wydziale spraw wewnętrznych. Wydział ma własną siedzibę w starym wydziale zabójstw w Penn Branch, ale rozmowa miała się odbyć w jednej z sal przesłuchań na miejscu, w Daly Building, trzy piętra poniżej mojego boksu w sali przestępstw ciężkich. Dziwne to było, być prowadzonym pod eskortą w tym gmachu.

Dyżurny wprowadził mnie do pomieszczenia; nie rozpoznałem żadnego z czekających na mnie śledczych. Żaden nie podszedł i nie podał mi ręki. Wskazali mi gestem puste krzesło przy stole.

Proste pomieszczenie przypominało wnętrze pudełka. W rogu nad drzwiami tkwiła kamera obserwacyjna, a na wózku na kółkach stał odtwarzacz DVD i stary kanciasty telewizor.

Garnitury przedstawiły się jako funkcjonariusze Wieder i Kamiskey z publicznego wydziału do spraw korupcji i nadużyć policji. To sprawiło, że najeżyłem się jeszcze bardziej, a i tak byłem już zły. Nadużycia policji? Nie do wiary!

Mimo to otrzymałem szansę przedstawienia mojej wersji zdarzeń. Po złożeniu podpisu i wysłuchaniu formułki o przysługujących mi prawach byłem gotowy od razu przejść do rzeczy.

– A więc, detektywie Cross – zaczął Wieder. – Jak rozumiem, twierdzi pan, że rozmyślnie wstrzyknięto panu narkotyk podczas incydentu, do którego doszło wczoraj. Czy to prawda?

– Tak, to prawda – potwierdziłem i wskazałem biodro. – Dźgnięto mnie igłą hipodermiczną. Badanie lekarskie potwierdziło, że jest tam ślad ukłucia.

– Owszem, ale nie stwierdziło, kto je zrobił – wtrącił od razu Wieder. – Czy tę hipotetyczną igłę wbito panu przed czy po tym, jak uderzył pan pana Guidice’a?

– Bezpośrednio przed. Właśnie z tego powodu wziąłem na nim odwet. To jedyny powód.

– Dwa razy.

– Słucham?

– Uderzył go pan dwa razy. Pierwszym ciosem złamał mu pan nos. Potem go pan powalił.

Serce mi dudniło. Nie podobał mi się ton głosu tego gościa ani kierunek, w którym zmierzało przesłuchanie.

– Może popatrzymy, dobrze? – zaproponował Wieder.

Kamiskey włączył pilotem odtwarzanie wideo. Nagranie wyglądało jak fragment serwisu informacyjnego na Kanale Piątym. Widać było Guidice’a i mnie, staliśmy między dwoma samochodami zaparkowanymi na Cambridge Place.

Dźwięku nie było, ale nie ulegało wątpliwości, że prowadzimy burzliwą rozmowę. A potem, pozornie ni z tego, ni z owego, moje pięści były w górze. Powaliłem Guidice’a na ziemię i zniknął z pola widzenia.

– To ujęcie z jednej kamery – powiedziałem. – A było ich tam co najmniej dziesięć.

– Wszystkie pokazują to samo – oznajmił Wieder. Zrobił długą pauzę i zmierzył mnie protekcyjnym spojrzeniem. – Nie twierdzę, że możemy dowieść, że pan kłamie, detektywie. Ale znamy historię sprawy łączącej pana z panem Guidice’em...

– Ściśle rzecz biorąc, nie było żadnej sprawy – przerwałem mu. – To była jego narzeczona. Ale to nie ja wystrzeliłem pocisk, który ją zabił.

Jednak Wieder nie zamierzał pozwolić, bym to ja kierował rozmową.

– Twierdzę natomiast – podjął podnosząc głos – że nasze zadanie polega teraz na tym, by skupić się na możliwości, że w czasie wczorajszego zajścia

doszło do nadużycia siły przez funkcjonariusza policji. Jak dotąd, nie mamy żadnych dowodów potwierdzających pańską wersję wydarzeń. A oto, co mamy.

Otworzył teczkę. W środku znajdował się raport przypięty do pliku innych arkuszy. Nie rozpoznałem charakteru pisma ani podpisu na dole.

– Oto krótka, ale dająca do myślenia historia niepochlebnych artykułów o panu autorstwa pana Guidice’a. Udokumentowana sprzeczka w Lock Seven przedwczoraj, podczas której... wszystko na to wskazuje... zachował się pan agresywnie wobec pana Guidice’a i zniszczył pan jego sprzęt nagrywający. Mamy oczywiście również to – dodał, wskazując zatrzymany obraz na ekranie telewizora. – I wreszcie mamy pozytywny wynik badania na obecność opiatów w pańskim organizmie, o składzie zgodnym z zawartością butelki znalezionej wczoraj w pana kieszeni.

Wieder znów zamilkł i uniósł brwi. Kojarzył mi się ze wszystkimi świętoszkowatymi kutafonami, z którymi miałem w życiu do czynienia. Tacy nawet nie próbują ukrywać, ile frajdy sprawia im władza, którą dzierżą.

– Pozwoli pan, że zapytam – podjął. – Jest pan doświadczonym detektywem. Jaki wniosek by pan wyciągnął, gdyby siedział pan po mojej stronie stołu?

– Gdybym był na pana miejscu? Zadałbym sobie pytanie, dlaczego Ron Guidice w ogóle pisze te artykuły. I pomyślałbym, czy to, co się stało, nie jest dokładnym spełnieniem jego marzeń.

Dwaj śledczy spojrzeli na siebie.

– Z całym szacunkiem, detektywie, ale to brzmi jak teoria spiskowa – powiedział Wieder, zamykając teczkę.

Ten gest nie uszedł mojej uwagi. Ci dwaj nawet nie byli zainteresowani moją relacją. Zdążyli już przesłuchać swoich świadków, ułożyli własną historię. A to spotkanie czemu miało służyć? Było formalnością? Niezbędnym krokiem w kierunku wysunięcia oskarżenia, na którym w tak oczywisty sposób im zależało?

W takim razie nie miałem powodu, by tam siedzieć. Odepchnąłem krzesło, wstałem i zadudniłem pięścią w drzwi sali przesłuchań.

– Przepraszam... – odezwał się Wieder.

– Jeśli chodzi wam o zebranie materiału dowodowego przeciwko mnie, możecie to robić. Ale ja wracam do celi.

Nadszedł czas, by wyciągnąć z arsenału adwokata.

Rozdział 61

Wyszedłem z sali przesłuchań i od razu zobaczyłem kapitana Perkinsa czekającego w korytarzu. Nie był ostatnim człowiekiem, którego mogłem się spodziewać, ale i nie pierwszym.

– Kapitanie?

– Chodź. – Wziął mnie pod ramię i dał sygnał dyżurnemu, że jestem pod jego pieczęcią.

Nie odprowadził mnie do celi. Poszliśmy dalej korytarzem, skręciliśmy, przeszliśmy przez zamknięte na klucz drzwi i dotarliśmy do głównych wind.

– Dokąd idziemy? – zapytałem.

– Zostałeś zwolniony – odparł kapitan. – Dziennikarze dostali swój ochłap mięsa.

– Co takiego? – Nie nadążałem za nim. – Bree wpłaciła kaucję?

Rysy twarzy kapitana były twarde, unikał mojego spojrzenia. To nie było dla niego łatwe.

– Robię, co w mojej mocy, Alex.

Nie bardzo wiedziałem, co na to rzec. Perkins mógł w ogóle nie dopuścić do tego, bym wylądował w celi. Teraz, zdaje się, pociągał za sznurki, żebym nie musiał w niej dłużej tkwić.

– Dzięki – rzuciłem. – Powiedzmy. – Nie zdziwiła go moja reakcja, zmilczał i odezwał się dopiero, gdy znaleźliśmy się sami w windzie. Dziwna sytuacja.

– Huizenga czeka na ciebie w biurze. Na razie masz status non kontakt – oznajmił.

– Non kontakt?

Ulga, którą wcześniej poczułem, właśnie została przecięta na pół. Status non kontakt oznacza, że przychodzi się codziennie do pracy, siedzi się przy

biurku, odbiera telefony, rejestruje akta i wykonuje setki innych czynności, których nikt inny nie chce robić.

Znaczyło to również, że jestem odsunięty od wszystkich zadań śledczych w czasie, gdy mój wydział najmniej mógł sobie na to pozwolić.

– Zdaje się, że nie mogę cię prosić o ponowne rozważenie tej decyzji – powiedziałem. – Jesteśmy zawałeni robotą jak jeszcze nigdy.

– Wierz mi, że chciałbym to zrobić – odparł, kręcąc głową. – Jeszcze nie wydobyłeś się z bagna, nadal ciążą na tobie oskarżenia. Jeśli prokurator postanowi przedstawić zarzuty, sprawa wymknie mi się z rąk.

– Na ile zdążyłem się zorientować, wydział wewnętrzny do tego prze.

– Gdyby burmistrz postawił na swoim, już byś siedział w domu bez wypłaty. I to nie dlatego, że cię nie lubi – ciągnął Perkins. – Do jasnej cholery, Alex, ani przez chwilę nie wierzyłem w te pierdoły o ćpaniu, ale chyba diabeł cię podkusił, żeby przywalić temu facetowi.

– On na to zasłużył. I to podwójnie.

– Nie wątpię – odparł szef w chwili, gdy drzwi windy rozsunęły się na drugim piętrze. – Ale ty mówisz o sprawiedliwości, a to jest polityka.

To była chyba najbardziej cyniczna uwaga, jaką kiedykolwiek od niego usłyszałem.

Co nie znaczy, że nie było w niej prawdy.

Rozdział 62

Wchodząc do siedziby wydziału przestępstw ciężkich, nie oczekiwałem wiele: tylko przywitania z sierżant Huizengą i tony zaległej papierkowej roboty. Tymczasem odbyło się tam coś w rodzaju przyjęcia niespodzianki.

– O, jest! – zawołał Valente, kiedy otworzyłem drzwi. Nagle wszyscy zerwali się na nogi, wynurzali się z boksów albo do mnie podchodzili. Bili brawo, pokrzykiwali i klepali mnie po plecach. I wszyscy mieli żółte koszulki naciągnięte na koszule i krawaty.

Koszulki z napisem UWOLNIĆ ALEXA CROSSA. Roześmiałem się pierwszy raz od paru dni.

– Zdobyłeś jakieś nowe tatuaże? – zapytał Valente, kładąc dłoń na moim ramieniu. Jarret Krause podał mi kubek kawy.

– Miło cię widzieć, Alex. Witaj z powrotem.

– Przecież nie odszedłem.

– Ale mało brakowało – rzekł Valente.

Muszę przyznać, że to przyjęcie głęboko mnie wzruszyło. Leżąc nocą na pryczy w celi, nie mogłem wiedzieć, kto jest ze mną, a kto nie. Teraz wszystko było jasne. Ekipa wydziału przestępstw ciężkich jest jedną z najlepszych, z jakimi miałem przyjemność pracować. Zareagowali zgodnie z moimi nadziejami, udzielili mi takiego samego wsparcia, jakiego ja bym udzielił każdemu z nich.

Wtedy zobaczyłem Huizengę. Stała w drzwiach swojego gabinetu i obserwowała mnie, gdy wchodziłem. Nie uśmiechała się i nie miała na sobie koszulki. Ale zauważyłem, że wygląda koszmarnie. Była w tych samych spodniach i bluzie, które nosiła wczoraj. Wyglądało na to, że w ogóle nie poszła na noc do domu.

Kiedy wszedłem do jej gabinetu, wyciągnęła do mnie rękę nad biurkiem.

– Bez urazy? – zapytała.

Chętnie uścisnąłem jej dłoń.

– Bez urazy. – Przyznam, że zasłużyła na mój szacunek tym, że sama zamknęła za mną drzwi aresztu, a nie zleciła tego komuś innemu.

– Usiądź – powiedziała. – Musimy załatwić parę formalności.

Dała mi dwa formularze do podpisu i zwróciła rzeczy osobiste, z wyjątkiem glocka. Potem zreferowała szczegóły nakazu ograniczenia swobód, o które wnioskował Guidice. Miałem nie zbliżać się do niego na mniej niż sto pięćdziesiąt metrów podczas tymczasowego obowiązywania nakazu. Jeśli zostanie utrzymany na stałe, będę o tym powiadomiony.

To było najdziwaczniejsze pomieszanie dobrego i złego, jakie przeżyłem od dawna. Czy w gruncie rzeczy to nie ja powinienem dostać ochronę przed Guidice'em?

– Widziałeś wiadomości? Myślę, że wczoraj wieczorem udzielił z dziesięć wywiadów „na wyłączność”. No i jest jeszcze ten jego cholerny blog.

– Przykro mi z powodu tego wszystkiego – powiedziałem. – Przez jakiś czas będziesz miała o jednego śledczego mniej.

– Nie sądzę, że będę się miała gorzej niż ty. Widzę to po twojej twarzy.

Rzeczywiście. Wprawdzie byłem wolny, ale jednocześnie skrupowany. Czyściec gliniarza.

– Może weźmiesz wolne na resztę dnia i zobaczysz się z rodziną? – zaproponowała Huizenga.

– Jesteś tego pewna? – spytałem. Właśnie tego było mi trzeba.

– Tak. – Wreszcie na jej ustach pojawił się uśmiech. – Papiery mogą chyba poczekać do jutra.

Rozdział 63

Komendę dzielą od naszego domu niespełna trzy kilometry, które mogłem pokonać spacerem, ale Bree nalegała, że odwiezie mnie tego ranka do domu. Mój samochód nadal był w Georgetown, będę go musiał później przyprowadzić. Teraz chciałem tylko znaleźć się w domu, wziąć prysznic i przez resztę dnia pobyć z rodziną. Dzieci miały pozostać w szkole do piętnastej piętnaście, zostało mi więc dużo czasu na naradę z Naną i Bree.

Tak mi się zdawało.

Wsiadając do białego explorera Bree przed Daly Building spodziewałem się, że ucieszy się na mój widok, lecz jednocześnie będzie zła z powodu mojego aresztowania. Tymczasem ujrzałem łzy.

Objęła mnie i pocałowaliśmy się.

– Nic ci nie jest? – zapytała. Zobaczyłem, że ma zaczerwienione oczy, musiała długo płakać.

– Wszystko dobrze. A ty jak się czujesz?

Najwyraźniej nie czuła się dobrze.

– Chciałam najpierw dowiedzieć cię do domu, ale musisz wiedzieć. Zabierają Awę. Dzisiaj.

– Co takiego? Kto ją zabiera?

– Biuro Opieki nad Dzieckiem i Rodziną. Stephanie zadzwoniła rano. Ava brała ostatnio narkotyki, a teraz te zarzuty wobec ciebie...

Moje niedowierzanie zamieniło się w złość.

– To jakaś kpina. Nawet nie postawiono mi zarzutów, nie mówiąc o skazaniu.

Przemawiał przeze mnie gniew. Wiedziałem o tym i Bree także wiedziała.

– Oni nie mają wyboru. Wolą się pomylić, byleby zachować ostrożność – odparła. – I nie będą zwlekali. Stephanie przyjedzie po nią o siedemnastej.

Innymi słowy, całe moje życie miało się stać głośną ilustracją zasady, że człowiek jest winny, dopóki nie dowiedzie swojej niewinności. Życie mojej rodziny. I wszystko to było sprawką Rona Guidice'a.

– Dokąd ona trafi? – zapytałem.

– Teraz? Do ośrodka w Northeast. Wieczorem ją tam zawiozę.

Wyglądało to coraz gorzej. Do takich ośrodków trafiają młodzi ludzie, którzy nie mają dokąd iść: sieroty, bandziory, opryszki, wszyscy. Ostatnie miejsce, poza ulicą, w którym chciałbym widzieć Avę.

Bree powiedziała mi, że na jedenastą mamy wyznaczone spotkanie z naszym rodzinnym adwokatem, Juliet Freeman. To była dobra wiadomość. Już konsultowaliśmy się wstępnie z Juliet w związku z adopcją Avy, a Bree przedstawiła jej naszą obecną sytuację. Myślałem tylko o tym, by znaleźć się w domu i zacząć działać.

Poranne korki na ulicach były irytujące. Długo wlekliśmy się Constitution Avenue i obok białej kopuły Kapitolu do Southeast. Kiedy mijaliśmy Seward Square, miejsce, w którym pierwszy raz znaleźliśmy Avę, oboje zapadliśmy w przygnębiające milczenie.

Nana także nie była w najlepszej formie. Gdy wszedłem do domu, krzątała się po kuchni z żwawością dziewięćdziesięciolatki. Lubi się czymś zająć, kiedy jest zaniepokojona; wyglądało na to, że przez cały ranek gotowała. Czulem zapach świeżego pieczywa w piekarniku.

Na mój widok stanęła i opuściła rękę. Podeszedłem i mocno przygarnąłem ją do siebie.

– Akurat kiedy zaczęliśmy z nią do czegoś dochodzić – powiedziała. – Ta jej skorupa zaczynała pękać, a teraz...

– Teraz damy Alexowi coś do jedzenia – wpadła jej w słowo Bree. – O jedenastej spotykamy się z Juliet. I będziemy walczyli.

Policjantka w każdym calu. Kiedy trzeba, wie, jak otrząsnąć się ze stresu i opanować sytuację. W tej chwili uznała, że musi się zająć ubijaniem jaj w misce.

– Co ty robisz? – powiedziałem. – Nie musisz.

– Potrzeba ci dobrego posiłku po takiej nocy – odparła Bree. – Co ci dali

rano, pączka? Pewnie nawet go nie zjadłeś?

– Ona ma rację – przytaknęła Nana, klepiąc mnie po ręce. – Idź się wykąpać i zejź, przyjdiesz na gotowe.

– Taak – rzuciła Bree. Trzepaczka w jej ręku śmigła z zawrotną prędkością. – A ty będziesz gotów do dalszej walki.

Rozdział 64

– Proszę, proszę. Wejdźcie.

Juliet Freeman nie jest osobą, w której rozpoznałoby się adwokatkę, widząc ją na ulicy. Jest prawie tak niska jak Nana, dosyć szeroka w pasie i kiedy nie jest w sądzie, nie imponuje ubiorem.

Jej biuro przy Pennsylvania Avenue bardziej przypomina mieszkanie. Spodobało mi się, że w kącie stoi kosz na pranie z zabawkami dla dzieci klientów, a na półkach stoją najrozmaitsze książki, poczynając od podręczników historii prawa konstytucyjnego po *Green Eggs and Ham*².

Juliet, poza tym, że zna się na prawie rodzinnym, rozumie, czym jest rodzina i co ją scala. Jeśli o mnie chodzi, imponuje mi pod każdym względem.

Od razu przeszedłem do sprawy, jeszcze zanim usiedliśmy.

– Mam trzy pytania. W jaki sposób odzyskać Ave? Jak mamy postępować do tego czasu? I jak to wszystko ma się do zarzutów, które wiszą nad moją głową?

Juliet nalala sobie herbaty ze starego ozdobnego samowara.

– Można powiedzieć, że twoje trzy pytania składają się w jedno wielkie. Muszę przyznać, że jest ono złożone. Pewnie chcecie, żebym mówiła bez owijania w bawełnę.

– Oczywiście – odparła Nana, biorąc od niej filiżankę. – Jestem starszą panią, Juliet. Nie mam czasu na złudne nadzieje.

– A więc dobrze. To, że Ava zażywała narkotyki, oraz fakt, że padły oskarżenia pod adresem Alexa, oznacza, że walka będzie bardzo trudna. Nawet i bez tego nie macie do niej bezapelacyjnych praw, tak jak do żadnego dziecka, które chcielibyście adoptować.

– Tak, ale jesteśmy z nią związani – zauważyła Nana. – To na pewno się liczy dla dziewczynki, która nie ma nikogo innego na świecie. Ava jest teraz częścią naszej rodziny.

Juliet skinęła głową; oznaczało to, że przyjmuje do wiadomości słowa Nany, a nie, że się z nimi zgadza.

– Z prawnego punktu widzenia nie jest. Jeśli umieszczą ją w innej rodzinie i pozostawią, nie będzie to miało znaczenia. Nie wróci do was.

Ta informacja nas przytłoczyła. Bree bez słowa uściśnęła moją rękę.

– Co sugerujesz? – zapytałem.

– Powinniście dać jasno do zrozumienia waszej opiekunce socjalnej, że narkotyki, które przyjmowała Ava, nie pochodziły od was.

– Już z nią o tym rozmawiałam – zapewniła Bree.

– Ona musi to usłyszeć od Avy. Jeśli doprowadzicie do takiej rozmowy, to będzie dobry krok na początek.

Nie byłem tego taki pewny.

– Czy to nie zostanie odebrane jako coś w rodzaju mojego milczącego przyznania się do uzależnienia?

– Wszystko po kolei – odrzekła Juliet. – Po pierwsze, trzeba się zająć sytuacją Avy, a potem oskarżeniami wobec ciebie. Na kiedy masz wyznaczoną rozprawę?

– Od dziś za tydzień.

Podeszła do biurka i zanotowała to sobie.

– Zobaczą, co możecie zrobić. Poza tym, jak rozumiem, ograniczono ci swobodę poczynania?

– Tak, ale zostałem wrobiony. Nie mogę niczego udowodnić, na razie. Wystąpię o nakaz przeciwko niemu, jeśli będę musiał. Zrobię wszystko, co się da.

Juliet pochyliła się i zerkając nad górnymi krawędziami czerwonych oprawek okularów, spojrzała mi w oczy.

– Posłuchaj, Alex. Jeśli kiedykolwiek miałeś powód, by trzymać się w ryzach, to właśnie teraz. Cokolwiek zrobisz, nie próbuj naginać zasad ani, broń Boże, nie łam prawa, żeby obnażyć tego faceta.

Znała mnie może nawet za dobrze. To była słuszna rada. Mimo to gdzieś w mojej głowie kołatała się myśl, że powinienem pozostawić sobie otwarte różne opcje.

Ron Guidice wstrzyknął mi te same narkotyki, których zażywała Ava, i nie był to przypadek. Tyle wiedziałem. Nie miałem pojęcia, jak się o niej dowiedział: może dał w łapę komuś z laboratorium albo zagadnął gliniarza, który odwiózł ją tego dnia do domu. Tak czy owak, nie pierwszy raz wygrzebał skądś poufną informację. Może był z niego lepszy dziennikarz, niż mi się wydawało.

Dziennikarz, a do tego kawał mściwego sukinsyna.

Teraz, w taki czy inny sposób, musiałem to udowodnić.

Rozdział 65

Dzieci wróciły ze szkoły do domu, zebraliśmy je wszystkie i kazaliśmy usiąść. Czekala mnie najtrudniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek przeprowadziłem jako rodzic. Musieliśmy wytłumaczyć Avie, że musi się spakować. I wyjaśnić wszystkim, dlaczego do tego doszło.

Nie wdawałem się w szczegóły mojego ciężkiego położenia. Powiedziałem tylko, że nastąpiły pewne komplikacje prawne i musimy je rozwiązać, zanim Ava będzie znów mogła z nami zamieszkać.

Stephanie wstrzymywała się najdłużej jak mogła, ale przed osiemnastą musieli Avę włączyć do grupy. Przyjechali o siedemnastej; walizka Avy stała obok drzwi, a w domu panowała cisza jak w kostnicy. Zebraliśmy się wszyscy w salonie i czekaliśmy na to, co nieuniknione.

Nawet Stephanie była poruszona. Miała łzy w oczach, kiedy otworzyłem jej drzwi. Porozmawialiśmy wcześniej o zarzutach wobec mnie dotyczących narkotyków i poprosiłem ją, by wypytała Avę, gdy tylko nadarzy się okazja. Stephanie obiecała, że to zrobi. Tymczasem musieliśmy odczekać dwie doby, zanim odwiedzimy Avę w nowym miejscu pobytu. Znaczyło to, że przez co najmniej czterdzieści osiem godzin niczego więcej się nie dowiemy.

– Avo, skarbie, jesteś gotowa? – powiedziała Stephanie, starając się zachować dobrą minę.

Ava tylko wzruszyła ramionami i poczłapała w kierunku drzwi. Zauważyłem, że w jej oczach znów pojawiła się dawna twardość. Tak jakby przez cały czas spodziewała się, że do tego dojdzie. Jediną stałą rzeczą w życiu tej dziewczynki był brak jakiegokolwiek stałości. Czemu miałyby liczyć na to, że teraz będzie inaczej?

– Stój, nie tak prędko – odezwała się Nana. Rozpięła łańcuszek ze srebrnym medalionem, który nosiła na szyi, i podążyła za Avą do drzwi.

W medalionie tkwiła miniaturowa fotografia całej rodziny, a na jego odwrocie było głupie zdjęcie mnie jako malucha. – Masz – powiedziała, wieszając go na szyi Avy. – Pożyczam ci, więc nie waż się go na coś wymienić albo sprzedać. Będę go chciała z powrotem, jak tylko znów się do nas wprowadzisz.

Ava uniosła jedno ramię i opuściła, gapiąc się w podłogę.

– Dziękuję, że byliście dla mnie tacy mili – powiedziała bez żadnej widocznej emocji. – Przepraszam, że nie zawsze byłam grzeczna.

Na te słowa twarz Nany pociemniała. Wyciągnęła drobne szczupłe ręce i ujęła Avę za ramiona.

– Dziecko, nie masz za co przepraszać – rzekła drżącym głosem. – W tym domu cię kochają, panno Avo Williams. Słyszysz? Nic, co zrobisz, tego nie zmieni. Nic!

Objęła dziewczynkę z całych sił, wszyscy je otoczyliśmy. Ava stała pośrodku; czułem, że jest sztywna jak kawałek drewna. Tak jakby starała się jak najmniej odczuwać. Dziewczynka, która tydzień temu szlochala w moich ramionach, upodobniła się do jednej z rzeczy, które miały z nią odjechać spakowane w walizce. Dla mnie to było tragedią.

– Przepraszam wszystkich, ale naprawdę musimy ruszać – odezwała się Stephanie. – Robi się późno.

– Pa, pa, Avo – powiedziała Jannie. – Bardzo będziemy za tobą tęsknić!

– Pa, pa, Avo! – zawtórował Ali, płacząc w moich ramionach, gdy schodziliśmy za nią po schodach.

Kiedy dotarliśmy do krawężnika, przy którym czekała obok samochodu druga pani z Biura Opieki nad Dzieckiem i Rodziną, Ava już nawet na nas nie patrzyła. Wsiadła na tylne siedzenie i wzięła od Bree walizkę.

– Kochamy cię, Avo – powiedziała Bree. – Za dwa dni do ciebie przyjedziemy.

Ava patrzyła prosto przed siebie na ulicę, jej oczy były suche.

– Pa – odrzekła tylko.

Po chwili odjechały.

Rozdział 66

Ron Guidice obserwował w lusterku wstecznym, jak pracownica z opieki społecznej sprowadza Avę schodami w dół. Nie udało mu się podsłuchać wiele z tego, co działo się w domu Crossów. Mikrofon na parterze był w kuchni. Jednak ta mała scenka mówiła sama za siebie.

Kiedys może pożałowałyby Crossów w taki dzień jak dzisiaj. Teraz odhaczał wykonane zadanie. W razie gdyby zapomniał, dlaczego to robi, wystarczyło spojrzeć w lusterko i zobaczyć bandaż na złamanym nosie. Miał także podbite oko, a szczeka nadal była sztywna jak kawałek betonu.

Linia została przekroczona i nie sposób było temu zaprzeczyć. Alex ratował się ucieczką, a on, Guidice, go ścigał. Wciąż jednak miał przewagę. Gdy tylko zostanie przyłapany, wystarczy, że naciśnie spust, dosłownie i w przenośni. Właśnie dlatego pod fotelem spoczywał pistolet Kahr kalibru 9 mm. Od tej pory będzie go zawsze nosił.

Jego palce skakały po ekranie telefonu; właśnie kończył krótki kawałek do bloga. Ava wspięła się do brązowego minivana przed domem Alexa, a on zapisał kilka ostatnich myśli na dzisiaj.

Samochód ruszył i nim Guidice za nim pojechał, kliknął klawisz Wyślij.

NIEFORTUNNE I NIEUNIKNIONE

Post RG z godziny 17:28.

Detektyw Cross z waszyngtońskiej policji się wykoleił. Wszyscy, którzy śledzili ten wątek, uważają zapewne, że wydarzenia ostatniej doby nie powinny zaskakiwać. Ja twierdzę, że musiało do nich dojść.

Pragnę powtórzyć raz jeszcze, że udostępniam tę informację w trosce o dobro publiczne. Nie zamierzam sprzedawać tego tematu ani czerpać z niego żadnych profitów, korzystam wyłącznie z możliwości blogu.

Dla przypomnienia: wczoraj detektyw Cross nakopał mi do d... Nie był to pierwszy przejaw agresji detektywa, z jakim się zetknąłem, ale ten z pewnością był

najgwałtowniejszy. (*Tutaj* można się zapoznać z niedawnymi występami Crossa).

Już w pierwszej chwili, gdy go zobaczyłem na miejscu najnowszego zbrodni Rozpruwacza z Georgetown, zauważyłem, że detektyw Cross zachowuje się inaczej niż zwykle: był pijany lub naćpany, albo jedno i drugie. Kiedy go o to zapytałem, momentalnie zrobił się zły i agresywny.

Ponowiłem pytanie i spotkałem się z reakcją, która nawet mnie zaskoczyła. Od sześciu lat piszę reportaże o praktyce działania policji w USA i za granicą i nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem. Cross uderzył mnie w twarz, łamiąc mi nos, a potem w szczękę i kiedy już leżałem na ziemi, kopnął mnie w brzuch. *Tutaj* są zdjęcia (ostrzegam, że materiał nie jest odpowiedni dla dzieci). Wykorzystam te fotografie jako dowody w sprawie cywilnej, którą wytoczę detektywowi Crossowi; już złożyłem przeciwko niemu wniosek o ograniczenie mu swobody poruszania się.

To jeszcze nie koniec. Natychmiast po zaatakowaniu mnie detektyw stracił przytomność i odwieziono go karetką do szpitala. (Wiem o tym, ponieważ waszyngtońska policja zapewniła mi opiekę medyczną, zanim zajęła się mną). Nie uderzyłem go ani nawet nie dotknąłem, jestem zatem więcej niż pewny, że znajdował się pod wpływem jakiejś nielegalnej substancji.

Władze miasta, jak się zdaje, podzielają moją opinię. Dziś wieczorem przybrane dziecko detektywa Crossa zostało zabrane z jego domu. Miejmy nadzieję, że trafi w bezpieczniejsze i zdrowsze środowisko.

Na koniec wyznam, że od kilku tygodni wykorzystuję tę platformę komunikacyjną, by posługując się przykładem detektywa Crossa, pokazać kondycję waszyngtońskiej policji. Ciekawe, czy ktoś będzie mi to miał za złe po tym, co wydarzyło się wczoraj. Jeśli w wyniku mojego śledztwa choć jeden skorumpowany funkcjonariusz zniknie z ulicy, moja praca (a także obrażenia, które poniosłem) nie pójdzie na marne.

Komentarze? Spostrzeżenia? Można je umieszczać *tutaj*.

Część trzecia

Padasz trupem, ślicznotko

Rozdział 67

Elijah Creem stał na ciemnym skrawku ziemi w Palm Beach i podziwiał z daleka swój dom.

– Wiesz, że będę tęsknił za tym miejscem? – powiedział przez telefon do Bergmana.

– Nie przejmuj się, to tylko dom.

– Taak, ale to cholernie fajny dom i to ja za niego wybuliłem. Nie ona.

Nawet w nocy, kiedy wszystkie drzwi i okna były zamknięte, dom połyskiwał perłowobiałym wykończeniem eleganckiej nowoczesnej fasady. Miranda uparła się, kiedy go kupili, żeby właśnie w taki sposób wykończyć dom, koszt opiewał na trzysta tysięcy dolarów. Był to idiotyczny przykład architektonicznej próżności, ale koniec końców wyszło na to, że się nie pomyliła.

Zdzira miała niezaprzeczalnie dobry gust.

Przez swoją szczekaczkę adwokata dała także jasno do zrozumienia, że w postępowaniu rozwodowym będzie się starała o dom w Palm Beach. Wobec braku kwitnącej prywatnej praktyki i związanego z nią strumienia gotówki, Miranda odbierała swoje w postaci nieruchomości. Creem niczego innego się nie spodziewał.

– No cóż, trudno – rzekł. – Chyba będę musiał to sobie jakoś wynagrodzić.

– Znów masz na twarzy tę obłąkańczą maskę, prawda? – zapytał Bergman. – Słyszę to po twoim głosie.

Rozmawiali pełne pięć minut, nim Josh zwrócił uwagę na to, że spółgłoski wypowiedane przez Creema są lekko przytłumione, co było efektem lateksowych ust. To był dobry znak. Maski spisywały się wyśmienicie.

Nawet gdyby ktoś go zauważył, co by zobaczył? Siwego starszego pana w modnej sportowej kurtce. Trudno to było uznać za pierwszorzędny trop

w takim miejscu jak centrum Florydy.

Creem po raz ostatni korzystał z modelu „starca”. Waszyngtońska policja dowiedziała się już o maskach i puściła informację do wszystkich mediów. Świetnie. Musiał tylko zmienić model. Następnym razem będzie kim innym. Nic prostszego.

Tymczasem uprzytomnił sobie, że Josh wciąż nadaje.

– ...nie wiem, czy podoba mi się, że tak sobie fruwasz – mówił powoli, niskim głosem wyraźnie nasączonym szkocką whisky. – Ta twoja wycieczka plenerowa nie była w planie.

– W jakim planie? – zdziwił się Creem. – Sam powiedziałeś, że możemy robić wszystko, czego zapagniemy. Do diabła ciężkiego, nie czułem się tak wolny od...

– Od czasów Fort Lauderdale. Taak, wiem. I o to właśnie chodzi. Myślałem, że jesteśmy w tym razem.

Creem wziął głęboki oddech. Kochał Bergmana, ale facet potrafił mędzić.

– Jesteśmy razem, Josh. Do samego końca, przyrzekam. Tylko nie zamieniaj mi się teraz w cipę. Naprawdę nie potrzeba mi w tej chwili drugiej żonki.

– Bardzo śmieszne – prawie wybełkotał Josh. – A właśnie. Właśnie wykombinowałem, jak możesz mi to wynagrodzić. Kiedy wracasz?

– Niedługo – odparł Creem. – Wtedy pogadamy. Ale teraz muszę zakasać rękawy.

– Mogę posłuchać? Proszę. Tak bardzo proszę.

Creem uśmiechnął się do ciemnego piasku. Zdziwiłby się, gdyby Josh o to nie poprosił.

– No pewnie. Tylko przymknij buzię, dopóki nie skończę.

Rozdział 68

Creem obserwował spowitą cieniem plażę; jakaś para zdążyła ramię w ramię wzdłuż brzegu. Kiedy zniknęli w ciemności, przeszedł po piasku i wysokiej trawie i znalazł się na swojej posiadłości.

- Co ty właściwie robisz? – szepnął w bezprzewodowej słuchawce Josh.
- Coś troszkę innego – odparł Creem. – Poczekaj, a zobaczysz.

Bergman prawie dwa tysiące kilometrów dalej zachichotał z ciekawości i wrzucił parę kostek lodu do szklanki.

Creem okrążył ogrodzony basen i dotarł do bocznych drzwi domu. Kamienne szachy na patio stały dokładnie tak, jak je zostawił osiem miesięcy temu. Grał z sąsiadem, Rogerem Wettigiem. I jeśli dobrze pamiętał, pokonał go. Od tego czasu nikt ich nie tknął. Szachy nieco przekraczały możliwości umysłowe Mirandy i dziewcząt.

Zatrzymał się przed drzwiami bocznego wejścia i przekręcił gałkę. Były, oczywiście, zamknięte, lecz system alarmowy tych drzwi nawalił w czasie świąt Bożego Narodzenia przed dwoma laty. Creem nakręcił tłumik na lufę małej beretty, którą wyjął z kieszeni marynarki, i strzelił prosto w klamkę. Rozległ się głośny brzęk metalu. Nie tak donośny, by usłyszał go ktoś poza granicą posesji.

Po chwili Creem znalazł się w środku.

Czuł się dość dziwnie, wkradając się w taki sposób do własnego domu. Nie zapalając światła, kroczył głośnym akustycznie korytarzem w kierunku kuchni. Przechodząc przez spiżarnię, wyjął z szuflady białą torbę na śmieci i wsunął ją do kieszeni.

Zrobił błyskawiczny obchód parteru, ot tak, żeby się rozejrzeć. Otoczenie wprawiało go w niedorzecznie sentymentalny nastrój. Owszem, zdarzało mu

się czuć całkiem dobrze w tym domu. Jedne czy drugie święta, zanim wszyscy zaczęli się nienawidzić.

To nie sprawy łóżkowe poróżniły go z Mirandą. Ani trochę. Miała swoje flirty, on miał swoje.

Poszło o skandal w Waszyngtonie i wszystko, co się z nim wiązało. Skończyły się siedmiocyfrowe dochody, nieskazitelna opinia, doskonałe życie dalekie od doskonałości. Zyskała pretekst, by nacisnąć spust uruchamiający coś, co powinni byli zrobić dawno temu.

Teraz Miranda była wściekła. A na dokładkę zrobiła się pazerna.

Wspiął się na piętro po rzeźbionych schodach z bambusa i stali. Bez pośpiechu otwierał drzwi wzdłuż korytarza. Najpierw był salonik Chloe, potem Justine. Niewiele po sobie zostawiły, ale w toalecie Chloe znalazł kolczyki z brylantami i pierścionek z opalem, który wraz z Mirandą przywieźli jej parę lat temu z Santorini.

Kochał swoje małe blond ślicznotki, kiedyś. Ale stawało się jasne aż do bólu, w jakie kobiety zmieniała je matka. Żadna nie zadzwoniła od ponad miesiąca, nawet po to, by powiedzieć „cześć”. Przysłały dokładnie jednego SMS-a, kiedy Chloe chciała powiększenia limitu na karcie kredytowej.

Wykapane córki tej starej więdźmy. Było już za późno, by je uratować.

Creem szedł dalej. Minął salkę gimnastyczną na piętrze i pokój gościnny, od głównej sypialni dzieliło go już tylko pół piętra.

W garderobie Mirandy otwierał każdą szufladę po kolei i wysypywał na dywan jej majtki i świecidełka. Wziął co bardziej wartościowe rzeczy i parę starych recept z apteczki. Nie było tego wiele i nie miało to znaczenia. Dzisiaj chodziło o pozory.

Odwrócił się i wyszedł na korytarz.

– Josh? – odezwał się. – Wciąż przytomny?

– Na stanowisku – odparł Bergman. – Tylko ciut znudzony. Co jest grane?

– Wytrwaj – powiedział Creem. – Zaraz zrobi się ciekawiej.

Rozdział 69

Odbił od drzwi w bok, szybko pokonał boczne podwórze i przecisnął się między trzymetrowymi tujami oddzielającymi jego działkę od działki Rogera Wettiga.

Przypominało to trochę przejście przez lustro. Dom po tej stronie był cały oświetlony, miękkie złociste światło wylewało się przez wielkie tafle szyb na obu kondygnacjach.

Roger i Annette Wettigowie byli kimś w rodzaju odbić Creemów w skrzywionym zwierciadle. Roger był o dwadzieścia lat starszy od Elijaha, Annette zaś o co najmniej dziesięć lat młodsza od Mirandy; typowa żona z Palm Beach, nastawiona na to, że zostanie bogatą wdową, gdy tylko Roger padnie ofiarą nieuniknionego drugiego ataku serca.

Wkroczywszy na otoczenie basenu pokryte deskami z egzotycznego drewna, Creem zaczął grać swoją rolę. Włókł za sobą prawą nogę i trzymał się ręką za tył głowy; przekuśtykał w ten sposób ostatnie dwadzieścia metrów do tylnych drzwi domu Wettigów.

Roger oglądał w ogromnym telewizorze mecz drużyny baseballowej Marlins Miami. Siedział plecami do drzwi, z dłońmi splecionymi na łysej głowie.

Kiedy Creem zadudnił ręką w szybę, omal nie spadł z fotela.

– Halo?! – krzyknął Creem.

Roger patrzył zmrużonymi oczami, ale nie podchodził.

– Ktoś pan jest, do cholery?! – zawołał.

Creem wskazał ręką w stronę plaży.

– Przed chwilą mnie napadnięto. Czy mógłby mi pan pomóc?

Roger przyglądał mu się intensywnie i było jasne, że nie rozpoznaje twarzy ukrytej za maską. Jakiś nieznajomy staruch, który miał czelność, by

pozwolić się obrabować na jego kawałku Palm Beach. Zbliżając się do drzwi, nie próbował nawet kryć irytacji.

– Zaraz, zaraz... – Wystukał kod na świecącej tabliczce obok przesuwanych drzwi sięgających aż do sufitu i przesunął je energicznie. Telewizor nastawiony był na cały regulator.

„Reyes prezentował się dobrze na początku sezonu [...]”.

– Chce pan, żebym wezwał policję? – spytał Roger.

– Nie. To nie będzie konieczne.

„Jeszcze nie wiadomo, czy zobaczymy wielką batalię, taką jakiej świadkami byliśmy w ubiegłym roku [...]”.

– Mogę panu jakoś pomóc? – spytał Roger. – Jest pan ranny?

– Ranny? Zdaje się, że zranione zostały tylko moje uczucia. Bo wiesz, mogłeś przynajmniej zadzwonić.

W słuchawce telefonu usłyszał cichy śmiech Josha.

– O czym pan, u diabła, plecie? – zdziwił się gospodarz.

„Zamach i pudło”.

– To ja, Roger. Elijah Creem.

Tylko na tyle zabawy sobie pozwolił. Wyciągnął zza pleców pistolet i wypalił prosto w lewy cycek Rogera, zanim ten zdążył się odwrócić. Drugi zawał już mu nie groził. Padł martwy na miejscu.

„Trafiony po raz drugi! Może to jednak nie jest dzień Josego”.

Creem ruszył dalej. Przekroczył tułów Rogera i skierował się w głąb domu. Wypił tam parę piw, był kilka razy na imprezach i mniej więcej znał rozkład pomieszczeń. Główna sypialnia znajdowała się na parterze, w skrzydle po prawej stronie.

Zostawiwszy za sobą wielki salon, usłyszał dźwięk drugiego telewizora; Annette coś oglądała.

– Roger?! – krzyknęła, kiedy otworzył drzwi sypialni i oddał trzeci strzał tego wieczoru.

Trafił ją w ramię, gdy próbowała zsunąć się z łóżka. Następny pocisk wbił się w twarz i padła na dobre. Wyzionęła ducha w bluzie męża z napisem

Dallas Cowboys, z wacikami między palcami stóp i świeżą warstwą czerwonego lakieru na paznokciach.

Rzeźbienie nożem sprawiłoby Creemowi więcej przyjemności – Joshowi zapewne także – ale nie dzisiaj. Nie było sensu podsuwać policji materiału do skojarzeń.

Szybko opróżnił szuflady Annette i zabrał obite aksamitem pluszowe pudełka, które z nich wypadły. Wziął portfel, torebkę rzucił na podłogę; z wysokiej szafki w garderobie wyjął także portfel Rogera.

Wystarczy. Nie miało znaczenia, że coś zostawił, a lepiej było ruszyć dalej.

Jednak w połowie drogi do drzwi ciekawość wzięła górę. Odwrócił się i podszedł do miejsca, w którym leżało ciało Annette z rozłożonymi kończynami i szeroko otwartymi oczyma zwróconymi na łóżko. Ręką w rękawiczce uniósł koszulę nocną i spojrzął.

I rzeczywiście jej piersi były wyraźnie asymetryczne, po bokach widać było minimalny ślad blizny. Roger zaoszczędził na jedynej rzeczy, na którą nie warto skąpić, i było to widać. Co za dureń.

Dwie minuty później Creem był znów na plaży i zmierzał w kierunku parkingu, na którym zostawił wynajęty samochód.

– To by było na tyle, Josh – powiedział. – Załatwione. Kończę na dzisiaj.

– Nadal nie łapię – odparł tamten. – Co się przed chwilą stało?

– Po pierwsze, być może udało mi się samodzielnie obniżyć wartość działek na tym kawałeczku Złotego Wybrzeża. Ale co ważniejsze, postarałem się, by Mirandzie i dziewczynkom raz na zawsze odechciało się tutaj mieszkać.

Nie najgorszy plon jednego wieczoru pracy. Doktor Creem uśmiechnął się pod maską.

Rozdział 70

Następny dzień pracy zaczął się rano od dobrej wiadomości. Sierżant Huizenga zwróciła mi broń i odznakę. Pod zezwoleniem na glocka musiał się podpisać sam komendant, więc odebrałem to jako swoiste wotum zaufania.

Niestety, nie zmieniło to mojego statusu służbowego. Nadal byłem uwiązany w biurze i właściwie przez cały dzień robiłem trzy rzeczy: odbierałem telefony, rejestrowałem zakurzone raporty w archiwum i pracowałem nad relacjami ze wszystkimi, z którymi dotąd pracowałem.

Ściśle rzecz biorąc, byłem odsunięty od śledztw w sprawach Elizabeth Reilly, Rozpruwacza z Georgetown i Rzecznego Zabójcy. Ale nie da się jednego dnia rozpracowywać seryjnych zabójców, a następnego tak po prostu przestać się o to troszczyć. Chciałem wiedzieć, jak toczy się śledztwo.

Myślałem również o Avie i Ronie Guidisie. Pierwszą wycieczkę tego ranka odbyłem do biurka Jarretta Krause'a.

– Jak się miewasz, Alex? – powiedział, siadając prosto, kiedy wszedłem do jego boksu. Zauważyłem, że zamknął komputer.

– Bardzo dobrze – odparłem. – Zastanawiałem się, czy masz coś nowego o Ronie Guidisie.

Odchylił się jeszcze bardziej i oparł dłonie na czubku głowy, jakby chciał trzymać je możliwie najdalej od klawiatury.

– Jezu, nie wiem, co powiedzieć.

– To znaczy? – spytałem tylko dlatego, że chciałem go przycisnąć. Wiedziałem, co ma na myśli.

– Huizenga wyraziła się dość jasno. Masz status non kontakt, prawda? I chyba powinieneś trzymać się z dala od Guidice'a, nie?

Nie zamierzałem na to odpowiadać. Doskonale rozumiałem, czym kieruje się Krause. Był żółtodziobem i prawdopodobnie miał więcej ambicji niż

odwagi. Z czasem mogło się to zmienić, ale na razie próbował pięć się po szczeblach. Nie moją rolą było to zmieniać. Poszedłem dalej.

Najwięcej otwartości okazał mi tego ranka Errico Valente. Ostatnio rozmawialiśmy na miejscu podwójnego zabójstwa w Cambridge Place, tuż przed tym, jak eksplodowałem podczas konfrontacji z Guidice'em. Nadal miałem dostęp do akt śledztwa online, lecz Errico pozwolił mi także przejrzeć swoje notatki.

Dowiedziałem się, że rany zadane nożem matce i córce zdradzały uderzające podobieństwo. Nacięcia zrobiono blisko siebie, a ich rozmiary zdradzały, że sprawca w jakimś stopniu znał się na rzeczy. Większość pozornie przypadkowych ran została zadana później; sprawiało to wrażenie, jakby zabójca dołożył je świadomie, by zaciemnić obraz. Albo nabierał wprawy.

Errico badał także źródło pochodzenia masek. Na podstawie zdjęć z kamer zawęził grono wytwórców do trzech firm, w Karolinie Północnej, Teksasie i Kalifornii. Należało wątpić, czy Zabójca Barbie, Rozpruwacz z Georgetown lub ktokolwiek inny zamawiał je na adres, który łatwo dałoby się namierzyć. Tak czy inaczej, policja mówiła teraz o maskach publicznie, również podczas konferencji prasowych.

To było słuszne posunięcie. Mogło zepchnąć zabójcę do defensywy, a może nawet zmusić go do popełnienia jakiegoś błędu. Każde narzędzie, które zaburza schemat postępowania seryjnego zabójcy, może spełnić swoją rolę, zwłaszcza wobec braku innych.

Pod koniec dnia wiedziałem o wiele więcej niż rano, lecz i tak czułem się sfrustrowany. Chciałem pomagać. Tymczasem mogłem jedynie krążyć wokół sprawy i czekać, aż wpuszczą mnie z powrotem.

A jak dotąd, nic nie zapowiadało, by miało to rychło nastąpić.

Rozdział 71

Drugą korzyścią z pracy w tak zwanej brygadzie gumowego gnata są godziny. Przychodziłem o ósmej, a o piątej byłem wolny. Tylko tyle można odwalić biurowej roboty, więcej się nie da.

Po raz pierwszy od dawna byłem w domu przed Bree, a co jeszcze lepsze, usiadłem z rodziną do kolacji. Jeśli mógłbym coś w swoim życiu zmienić, to właśnie te kolacje, których mi brakuje.

Lody zostały zjedzone, naczynia pozmywane; właśnie pomagałem Jannie w matematyce, gdy na ganku stanął Sampson.

– Puk, puk – powiedział, wchodząc. Wszyscy czuliśmy się mocno przybici z powodu Avy, ale Sampson należy do rodziny. Zawsze jest mile widziany.

– Jak się trzymasz, Nano? – spytał, ściskając ją mocno.

– Dobrze, dobrze – odparła, nie wstając z fotela. Miałem wrażenie, że od pół godziny nie przewróciła kartki nowej książki Madeleine Albright. – Masz ochotę na lody, mój drogi?

– Prawdę mówiąc, chciałem porwać Alexa i Bree na minutkę – odparł, wskazując za siebie kciukiem. – Może na zewnątrz? – Nachylił się i pocałował Jannie w policzek, a potem ruszyliśmy w kierunku stołu ogrodowego na podwórzu.

– Co jest grane? – zapytałem, kiedy zamknął za sobą drzwi.

Posadził swoją niedźwiedzią postać naprzeciwko nas i splótł ręce na blacie. Po sekundzie namysłu zdecydował się, co chce powiedzieć, a może w jaki sposób zacząć.

– Wyobraźmy sobie hipotetyczną sytuację. Oto ktoś rzuca oskarżenia na kogoś i wie, że są fałszywe. Powiedzmy, że zadał sobie niemało trudu, by wystawić tę osobę i dać się jej we znaki. Może nawet łamie prawo, żeby dopiąć swego, ale nikt nie potrafi tego dowieść.

– Rozumiem – rzuciłem. Było jasne, że rozmawiamy o Guidisie, ale zarazem o nim nie rozmawialiśmy. Wiedziałem, że mam trzymać buzię na kłódkę i podążać w ślad za Johnem. – Kontynuuj.

– Myślę sobie, że taki gość mógłby trzymać parę trupów w szafie. Takich, których nie widać przy rutynowych oględzinach.

Zauważyłem, że Bree siedzi nieruchomo i bez słowa.

– Jakiego rodzaju trupów? – spytałem.

Sampson oparł się o krzesło i wzruszył ramionami.

– Uzależnienie od narkotyków? Uciążliwe zadłużenie? Nie wiem, może sypia z żoną najlepszego przyjaciela. I założmy hipotetycznie, że ktoś się o tym dowiaduje. Na przykład, ktoś taki jak ja. Tego rodzaju informację można byłoby wykorzystać, by skłonić tę osobę do rozważenia zarzutów, które stawia. Może to choć trochę ułatwiłoby życie temu drugiemu. Jemu i jego rodzinie.

– O Jezu, John – wykrztusiłem. Gdybym nie był tak przygnębiony swoją sytuacją, ta gra mogłaby nawet być zabawna. – Nie mógłbym nawet prosić cię o coś takiego...

– Nie mógłbyś, gdybyśmy o tym rozmawiali. Ale nie rozmawiamy. A jeśli chodzi o ścisłość, już mnie kiedyś o coś podobnego prosiłeś. I to nie jeden raz.

– Taak, kiedy jechałem po bandzie. Teraz jest inaczej.

Bree wreszcie się odezwała. Mówiła cicho i odniosłem wrażenie, że nie jest zaskoczona.

– Jeśli mogę wtrącić swoje trzy grosze. Wątpię, by John do nas przyszedł, gdyby nie chciał.

– To prawda – przyznał Sampson.

Uwierzyłem mu, ale prawdą było również to, że zrobiłby dla nas wszystko. Tak samo jak ja dla niego. To nie zawsze jest dobre. Na szali leżała jego kariera zawodowa.

– Nie wiem, Sampson – odezwałem się.

– Ale ja wiem – powiedziała Bree. – Stawka jest ogromna, Alex, a ty w tym tkwisz. Pozwól mi podjąć tę decyzję. Proszę.

Spojrzałem jej w oczy i coś zobaczyłem. Było tam coś, o czym nie mówiła,

i wreszcie ujawnił mi się pełny obraz. Jeśli się nie myliłem, John nie był jedynym autorem tego pomysłu. To ona go do nas dzisiaj zaprosiła.

Nadal targał mną wewnętrzny konflikt, ale Bree miała rację. Stawka była wielka, jakkolwiekby na to patrzeć. To na mnie nałożono nakaz ograniczający, oni zaś robili wszystko, by ochronić mnie, a także Avę.

W innych okolicznościach krępowałyby mnie wyrzuty sumienia w związku ze stratą, którą Guidice poniósł w 2007 roku. Zdeptał jednak te skrupuły w chwili, gdy wtargnął w życie mojej rodziny.

Zmilczałem więc i wstałem od stołu, po czym ruszyłem do drzwi.

– Pomogę Jannie odrobić pracę domową. A wy przyjdźcie, kiedy skończycie.

Rozdział 72

Nazajutrz wieczorem wreszcie wolno nam było odwiedzić Avę. Żona Sampsona, Billie, zechciała przyjechać i popilnować dzieci, a Nana, Bree i ja wybraliśmy się na Quarles Street w Northeast.

Ośrodek, w którym umieszczono Avę, leżał na obrzeżach jednej z najgorszych dzielnic miasta. Był to adaptowany dom jednorodzinny, nazywano go obecnie Howard House. Mieszkało w nim teraz dwanaście dziewcząt, a oprócz kierowniczkę pracowały tam dwie osoby z nocnego personelu i dwoje terapeutów na pół etatu.

Nie oczekuję od miasta cudów i mam bardzo dużo szacunku dla pracy, z którą ci ludzie się mierzą. Mimo to musiałem powściągać swoje odczucia, kiedy szliśmy popękany chodnikiem i naciskaliśmy dzwonek.

Wnętrze ośrodka przypominało mi niektóre stacje z okresu studiów. Meble były stare i źle dobrane, wyłysiała wykładzina mogła być nowa w latach siedemdziesiątych.

W świetlicy przebywało kilka młodych kobiet, oglądały serial *Judge Judy* w telewizorze zamontowanym na ścianie. Gdzieś z głębi domu dochodziły odgłosy gotowania posiłku, na górze ktoś prowadził głośną rozmowę telefoniczną.

– Tak, tak. Nieee! Nie zaczynaj, Lamar. Nawet nie próbuj mi o tym pieprzyć!

Trzeba sobie jasno powiedzieć, że Ava mogła się posługiwać takim samym ulicznym językiem jak ta dziewczyna. Nie miałem wątpliwości, że w razie potrzeby umiałyby sobie poradzić, a nawet walczyć we własnej obronie. Czulem jednak niewymowny smutek, że musiała mieszkać w takim miejscu. Spojrzałem na Nanę i Bree i wiedziałem, że czują to samo.

Po jakimś czasie z tylnej części domu wyszła pani w średnim wieku z włosami zaplecionymi w warkoczyki, wycierając dłonie w ręcznik. Na koszulce okrywającej jej olbrzymi biust widniał portret Jamesa Baldwina, jednego z ulubieńców Nany. Postanowiłem przyjąć to za dobry znak, pierwszy tego dnia.

– Jak mogę państwu pomóc?

– Przyszliśmy do Avy Williams – odparłem.

Kobieta, prawdopodobnie kierowniczka ośrodka, zarzuciła sobie ręcznik na ramię.

– A państwo to...?

– Jesteśmy jej rodziną – odpowiedziała Nana. W jej głosie dało się słyszeć pewne napięcie.

– Przybraną rodziną – dodała ciszej Bree.

– Stephanie Gethmann z Biura Opieki nad Dzieckiem i Rodziną powiedziała, że możemy się z nią zobaczyć dzisiaj po siedemnastej.

Kobieta skinęła głową i wzięła głęboki oddech. Wyobrażałem sobie, że w tej pracy często zdarza jej się głęboko oddychać.

– Ava miała dzisiaj pewne problemy – odparła po dłuższej chwili. – To nie jest dobry moment. Może przyjadą państwo jutro?

– Ona tam jest? – Bree wskazała wzrokiem schody, na których pojawiła się dziewczyna głośno rozmawiająca przez telefon.

– Lamar, do cholery, czego ty ode mnie chcesz? – powiedziała do komórki i zatrzymała się między nami a kobietą, z którą rozmawialiśmy.

– Mogę wyjść do sklepu?

Kobieta uniosła pięć palców, tak jakby chciała powiedzieć: „Za pięć minut masz być z powrotem”. Dziewczyna wyszła, nie przestając kłąć na Lamara.

– Przepraszam – rzekła nasza rozmówczyni. Przeszła z holu do pustej jadalni, która, jak się zdawało, zapewniała w tym budynku coś w rodzaju prywatności.

– A więc nie. Avy nie ma tu w tej chwili.

– O jakich problemach pani mówi? – zapytała Bree. – Jest ranna?

– Nic jej nie będzie – zapewniła kierowniczka.

– Jest na haju? – dociekała Bree.

Kobieta zamilkła i spojrzała w oczy mnie, a nie Bree.

– Naprawdę nie wolno mi o tym mówić.

– Naćpała się – rzuciła Bree. – Dwa dni tutaj i znów sięgnęła po prochy.

Chciałem wkroczyć do akcji, zanim temperament Bree lub Nany wpakuje nas w tarapaty.

– Możemy pomóc, jeśli nam pani pozwoli. Poczekamy na nią tutaj, dobrze?

– Przykro mi, ale pora odwiedzin kończy się o dziewiętnastej, a ona wróci później. Trzeba było zadzwonić przed przyjazdem, naprawdę.

Najwyraźniej nie pozostało nam nic innego. Staliśmy tam przez minutę, nie chcąc odejść. Czuliśmy niewiarygodne rozczarowanie.

– Proszę jej to dać – odezwała się przez zaciśnięte zęby Nana. Podała kobiecie puszkę z domowymi ciastkami i ulubione cukierki Avy. – Wszystkie co do jednego mają do niej trafić. Rozumie pani?

– Proszę się nie martwić. Dopilnuję, żeby je dostała.

– Hej, psze pani, co to jest?! – zawołał ktoś ze świetlicy. – Jakaś psychota?

– Kurde, mnie to nikt nic nie przynosi. Do kogo w ogóle przyszły te ludki? Nana obejrzała się przez ramię.

– Uważaj na słowa, młoda damo. Wyciągnęła ręce i odebrała puszkę z rąk kierowniczkii. – Zmieniłam zdanie. Przywieziemy je jutro.

Kierowniczka starała się jak mogła, naprawdę. Nie znam nikogo w systemie opieki nad dziećmi, kto nie jest przepracowany, źle opłacany i niedoceniany.

Mimo to jestem raczej pewny, że wychodząc z ośrodka, wszyscy troje myśleliśmy to samo. Jeśli chcemy dać Avie jakąkolwiek szansę, musimy ją stamtąd wydostać.

Rozdział 73

Trzeci dzień przy biurku upłynął mi mniej więcej tak jak pierwsze dwa. Zaczynałem się czuć jak uczeń w szkole, którego zawieszono w obowiązkach.

Po południu odebrałem telefon.

– Wydział zabójstw – powiedziałem po raz setny tego dnia.

– Tak, halo, tu detektyw Penner z policji w Palm Beach na Florydzie. Szukam detektywa Crossa.

– No to go pan znalazł – oznajmiłem. Wiele razy zdarzało mi się współpracować z jednostkami w całym kraju. Takie telefony to nic nadzwyczajnego. Domyślałem się, że detektyw Penner chce się skonsultować w jakiejś sprawie.

– Po pierwsze, czy wolno mi powiedzieć, że jestem fanem pana książki? – odezwał się Penner. – Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś pan coś napisze.

– Jasne, w wolnym czasie – odparłem beznamiętnie. – Czym mogę panu służyć?

– Prowadzimy tu śledztwo w sprawie podwójnego zabójstwa sprzed dwóch dni. Mąż i żona, wszelkie znamiona prostego rabunku. Dzwonię dlatego, że właśnie otrzymaliśmy wiadomość od stróża z sąsiedniego domu. Wygląda na to, że także został obrabowany, kiedy nikogo nie było.

– A dzwoni pan do mnie z powodu...

– Mam kłopot z namierzeniem właściciela tego drugiego domu. Okazuje się, że to człowiek, którego jakiś czas temu aresztowaliście. Lekarz, niejaki Elijah Creem. Kojarzy pan?

Jakżeby inaczej. Nie sposób było zapomnieć tego nazwiska, choćby ze względu na jego brzemiennie. Ale nie dało się także zapomnieć orgietki z udziałem nieletnich u Creema, podczas której go zgarnęliśmy.

Poza tym facet trafił wtedy na czołówki paru serwisów. W brukowcach nazywano go Doktorem Kremem. Byłem prawie pewny, że on i jego koleżka Bergman staną przed sądem; Sampson miał zeznawać w tej sprawie.

– Przyszło mi na myśl, że może mógłby pan wysłać kogoś do domu doktora Creema, sprawdzić, czy jest u siebie albo w ogóle w mieście – ciągnął Penner. – Nie odpowiada na telefony.

– Czy jest podejrzany? – zapytałem. Facet to kanalia; gotów byłem uwierzyć we wszystko na jego temat.

– To zależy od tego, gdzie był przedwczoraj wieczorem. Tak czy inaczej, muszę go zawiadomić o rabunku i zadać kilka pytań.

Ściśle rzecz biorąc, moja rozmowa z kimś z zewnątrz stanowiła naruszenie przepisów. Ale nikogo innego nie było, a prawdę powiedziawszy, chciałem się przekonać, jak bardzo ten typ podupadł od czasu, gdy zakulem go w kajdanki. Jeśli coś wyniknie, przekażę sprawę Sampsonowi. Pracował w drugim okręgu, gdzie mieszkał Creem.

Poczekalem do siedemnastej, a później odhaczyłem się i ruszyłem do domu Creema.

Rozdział 74

Doktor Creem mieszkał w imponującym pałacyku w stylu Tudorów przy ślepej uliczce w Wesley Heights. Działka przylegała tyłem do parku Glover-Archbold i dawała poczucie odosobnienia. Orientowałem się trochę w sytuacji właściciela i myślałem, że jego następne miejsce zamieszkania będzie mniej okazałe, będą w nim klawisze i jakiś współlokator.

Z drugiej strony wiadomo, że za tyle forsy od czasu do czasu udawało się kupić sprawiedliwość, a także wolność. Nie zamierzałem śledzić procesu, ale teraz, skoro doktor znów znalazł się w polu mojego widzenia, być może zmienię zdanie.

Nikt nie odpowiedział na dzwonek, ale drzwi garażu były otwarte; stało w nim granatowe escalade. Przeszedłem boczną furtką do tylnej, zadrzewionej części posesji.

Tam go znalazłem. Stał pochylony, z cygarem w ustach i kijem w ręce, na dużym zielonym trawniku w kształcie nerki. W sztucznej murawie tkwiły trzy kubki, z których sterczały małe żółte flagi.

– Doktor Creem?

Z początku mnie nie rozpoznał. Prawie na pewno wziął mnie za pierwszego lepszego ciemnoskórego gościa, który jakoś dostał się na teren jego posesji.

– Nacisnąć dzwonek to nie łaska? – odezwał się.

– Dzwoniłem – odparłem, pokazując odznakę. – Jestem detektyw Cross z policji. Już się kiedyś spotkaliśmy.

Wtedy mnie poznał, przemknęło to na jego twarzy. Ciekawe, czy przypomniał sobie również to, że usiłował mnie przekupić.

Tak czy owak, w niczym mu to nie przeszkodziło. Wyjął piłkę z kieszeni spodni, rzucił na trawę i ujął kij w obie ręce. Arogancja aż się z niego

wylewała. Staralem się nie cieszyć za bardzo z tego, że przynoszę mu złe wiadomości.

– Czym właściwie mogę panu służyć? – zapytał.

– Odebraliśmy telefon z Palm Beach. Tamtejsza policja usiłowała się z panem skontaktować.

– Taak? Co znowu przeskrobałem? – zapytał i wykonał płynne uderzenie na odległość sześciu metrów i minimalnie chybił.

– Zdaje się, że przedwczoraj obrabowano pański dom. Pański i sąsiadów. Niestety, oboje zginęli z ręki włamywacza.

– Coś podobnego. – Creem rzucił drugą piłkę na murawę. – Mówi pan o Wettigach czy Andersonach?

– Przykro mi, ale nie wiem.

– O Jezu, mam nadzieję, że chodzi o Wettigów. Z całym szacunkiem, ale ten facet to dupek i za głośno ogląda telewizję.

Z całym szacunkiem? Na to było trochę za późno. Wiedziałem, że nie bez powodu nie cierpię tego typu.

Wziąłem zeznanie od Creema. Powiedział, że tamtej nocy, gdy dokonano podwójnego zabójstwa na Florydzie, był w domu; jeśli to konieczne, mogę zapytać jego przyjaciela Josha Bergmana. Odparłem, że przekażę te informacje policji z Palm Beach.

– Jeśli to wszystko, detektywie, to chciałbym zająć się swoimi sprawami. Jestem umówiony towarzysko. – Zatrzymał się i szczerząc zęby w uśmiechu, spojrzał mi prosto w oczy. – Może pan wierzyć lub nie, ale są jeszcze w mieście tacy, którzy chcą ze mną obcować.

W dziwny sposób jego zachowanie nasunęło mi skojarzenie z Avą; Creem zdawał się odbijać wszelkie prawdziwe emocje związane z nim lub z kimkolwiek innym. Na swój sposób był zamknięty na głucho przed światem zewnętrznym. Właśnie tak jak Ava.

Różnica polegała na tym, że jej życzyłem dobrze.

Rozdział 75

Creem spodziewał się powiadomienia od policji w Palm Beach. Nie przypuszczał, że skontaktuje się z nim ktoś taki jak detektyw Cross. Było to raczej irytujące niż alarmujące. Niemiły zbieg okoliczności, o którym postanowił nie mówić wieczorem podczas spotkania.

To miały być przeprosiny dla Josha za małą wycieczkę na Florydę, którą odbył bez niego. Josh zaplanował wielką niespodziankę – Creem był prawie pewny, że ją odgadł – i nie było sensu psuć atmosfery, wpadając w paranoję. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Mimo to należało zadbać o przykrywkę. Poczekał do połowy posiłku i wspomniawszy mimochodem o tej kwestii.

– À propos, w razie gdyby ktoś pytał, to w piątek wieczorem byliśmy u mnie. Zjedliśmy parę steków z grilla, takich jak te tutaj, i obejrzeliśmy film. Powiedzmy *Taksówkarza*. Wyszedłeś tuż przed północą.

Josh wyszczerzył zęby w uśmiechu. Dobrze się składało, że był tego wieczoru w tak świetnym nastroju – może nawet odrobinę za dobrym. Creem dolał mu caberneta i wbił widelec w wyśmienity stek Montana Wagyu. Nie było w Georgetown lepszej restauracji z wołowiną niż Bourbon Steak w hotelu Four Seasons. To Josh wybrał lokal, ale wiedział, że Elijah go uwielbia.

– No więc co to za niespodzianka? – spytał Creem. – Dokąd się wybieramy?

Josh odłożył widelec i nachylił się.

– Elijah, chcę, żebyś zachował otwarty umysł, dobrze? To nie jest coś, czego jeszcze nie robiliśmy, tylko minęło trochę czasu. Jakieś... dwadzieścia pięć lat.

Creem spojrzał mu w oczy i milczał chwilę. Powoli, bez słów, dochodzili do zrozumienia.

– Nie proszę o wiele – dodał Josh. To było dyskusyjne, ale cóż tam. Miał spojrzenie małego psiaka. Najwyraźniej już nastawił się na to, że przyjaciel się zgodzi. – Tylko mi nie odmawiaj, proszę. Czekają na nas na górze. Dałem im garść forsy, sami wynajęli pokój. Wszystko jest z najwyższej półki. – Znów się pochylił i ściszył głos. – Nawet kazałem im wybrać gumowy materac na potrzeby sesji. Pewnie wzięli mnie za kompletnego zboka, ale nie szkodzi. Muszę zaznaczyć, Elijah, że o wszystko zadbałem. O najmniejszy szczegół.

Creem zastanawiał się przez kilka sekund, a potem nonszalancko wzruszył ramionami.

– No i co ja mam powiedzieć?

Josh prawie się rozpromienił i oparł się plecami o krzesło, trzymając kieliszek w dłoni.

– Nie będziesz żałował.

– Oczywiście, muszę zapytać...

– Właśnie że nie musisz. To moja rzecz, pamiętasz? Ona jest nieskazitelna – zapewnił. – On także, jeśli cię to interesuje.

Creem skinął głową i powąchał wino. Można było upoić się samym bukietem. Nie trzeba się spieszyć. Chciał zachować ostrość umysłu, zresztą nie tylko umysłu.

– O której godzinie? – zapytał.

– O dziesiątej.

Była dwudziesta pierwsza trzydzieści.

– Musimy darować sobie deser – stwierdził.

Bergman skinął na kelnera czekającego po drugiej stronie sali. Zakręcił psotnie palcem w winie, oblizał go i wychylił resztę, a potem rzucił białą serwetkę na niedojedzony stek.

– No cóż...

Rozdział 76

W apartamencie hotelowym Josh przedstawił Elijaha parze czekających tam atrakcyjnych młodych ludzi.

– Oto Richie. A to – dodał, z trudem powstrzymując śmiech – jest Miranda. Creem spojrział dwa razy na dziewczynę.

– Czy to twoje prawdziwe imię? – spytał, lecz zapytana tylko gapiała się zdezorientowana na Josha. – Mniejsza z tym. Bardziej przypominała Chloe niż Mirandę, lecz Elijah docenił chorobliwe poczucie humoru przyjaciela, który z myślą o nim starał się jak najbardziej uatrakcyjnić zabawę. Poza tym dziewczyna była wysoka, gibka, jasnowłosa i doskonała.

Wyglądało na to, że Richie i Miranda zaczęli bez nich. Na stoliku przy łóżka stała otwarta butelka tequili i choć nie było widać tabletek, rozbawiony wyraz ich oczu świadczył o tym, że są naćpani i gotowi do akcji.

Nalał sobie małą porcję tequili i usiadł w wygodnym fotelu obok wielkiego łóżka. W kieszonce marynarki na piersi miał nóż skradziony w restauracji. Ku jego zaskoczeniu, wciągała go ta zabawa. Może Josh zna go lepiej niż on sam.

– A więc, Mirando, powiedz, co cię kręci – odezwał się Creem.

Z niewielką zachętą podłana zawczasu trunkiem parka do wynajęcia ruszyła w tan. Usadowili się na krawędzi łóżka, Creem i Bergman zaś podpowiadali im i patrzyli.

Chłopak wsunął rękę pod spódnicę dziewczyny. Ona położyła wypielęgnowaną dłoń na jego kroczu.

– Nie za szybko – rzucił Josh. – Rozepnij mu spodnie i zostaw je tak na jakiś czas.

Nie było potrzeby, by wymieniać się uwagami. Już to kiedyś robili. Josh instruował dziewczynę, co ma robić chłopakowi, a Creem podpowiadał

chłopakowi, co ma robić jej.

– Włóż jej palec. O tak. Ślicznie.

Po pewnym czasie Creem pożałował, że nie zabrali ze sobą kamery. Ślicznotka nie miała ani jednego włoska poniżej szyi. Zarejestrował, siedząc z boku, Bergman tymczasem wybrał pozycję na tapicerowanej ławeczce u stóp łóżka.

W ciągu paru minut para rozebrała się, a potem przystąpili do rzeczy. Dziewczyna dochodziła, opierając się dłońmi o oparcie łoża i wyginając się w łuk z zamkniętymi oczyma, a chłopak robił swoje.

Kiedy Creem obejrzał tyle, ile chciał, skinieniem głowy dał Joshowi znać, że jest gotów.

Ten uniósł palec. Miał ochotę zobaczyć, jak chłopak kończy. Wyjął jednak pistolet z aktówki, którą przyniósł, i położył sobie na nabrzmiętym kroczu. Dwoje króliczków kicających na materacu nawet tego nie zauważyło.

Nie najgorszy sposób na rozstanie się z życiem.

Josh wstał powoli. Jego spojrzenie mogło porazić jak piorun. To była jego mina zabójcy. Creem zobaczył ją zaledwie jeden raz, dwadzieścia pięć lat wcześniej, w Fort Lauderdale. Wtedy po raz ostatni razem zabili.

– O tak, dzieci – powiedział Josh. – Właśnie tak. Nie przestawajcie. Cokolwiek by się działo, proszę was nie przestawajcie.

Chłopak pewnie i tak by nie mógł, nawet gdyby chciał. Zrobił jeszcze kilka pchnięć, a potem wczepił się wściekle w dziewczynę; ta zapiszczała pod nim. Zacisnął powieki i odrzucił głowę w tył.

Wtedy Josh wkroczył do akcji.

Gdy pocisk z przytłumionym stuknięciem wbił się w głowę chłopaka, ten zwałił się bezwładnie na dziewczynę niczym naga szmaciana lalka, już nieżywy. Dziewczyna w pierwszej chwili nawet nie zauważyła, co się zdarzyło.

Kiedy się zorientowała, nóż Creema już nad nią wisiał i było o wiele za późno na cokolwiek.

Rozdział 77

Dochodziła trzecia rano, gdy Creem i Bergman postanowili skończyć na dzisiaj. Siedzieli w samochodzie zaparkowanym na opuszczonym parkingu obok Fletcher's Cove i patrzyli w stronę rzeki.

Richie i „Miranda” spływali z wodą w dół rzeki. Prawie opróżniona butelka tequili stała na siedzeniu samochodu. Josh wypalił nawet z przyjacielem cygaro, choć tylko udawał, że sprawia mu to przyjemność. Wciąż był pozerem, po tylu latach.

– Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć – rzekł Creem. – Nie chciałem nic mówić, bo sytuacja nie jest tak zła, jak wygląda, ale był u mnie dzisiaj detektyw.

Josh zachował spokój, czym zaskoczył nieco Creema.

– Detektyw?

– Cross. Jeden z tych dwóch, którzy aresztowali nas wtedy w nocy. Przyszedł powiedzieć, że włamano się do mojego domu w Palm Beach. Na dodatek zginęli sąsiedzi. Wyobraź sobie.

– Czemu on? – zaciekawiał się Josh.

– Nie mam pojęcia, ale chodziło wyłącznie o włamanie. Nie martwię się zbytnio.

– Skoro tak mówisz.

Creem poczuł ulgę, słysząc te słowa. Oczywiście był jeszcze półpijany i nadal podrajcowany po wieczornych wyczynach. Jego głowa zatoczyła się i oparła o zagłówek; zamknął oczy i w samochodzie zapadła cisza.

– Co byś zrobił, gdyby policja wzięła nas na cel? – zapytał po chwili. – Gdybyś wiedział, że cię poszukują?

Bergman wzruszył ramionami.

– Zrobiłbym to, co trzeba.

– Uciekłbyś?

– Gdybym mógł, oczywiście. Słyszałem, że w Wietnamie jest fajnie. Ładniutcy chłopcy, dobre żarcie. Albo Argentyna.

– A gdybyś nie mógł się wymknąć? Co wtedy? – dociekał Creem. – Wciąż trzeba brać pod uwagę proces.

– Wierz mi, wziąłem go pod uwagę – odparł Bergman. – I mówiąc słowami mojej matki alkoholiczki... – Zamilkł i podjął drżącym głosem, naśladując Katharine Hepburn: – Zawsze wychodź z balu, nim się skończy, skarbie. – Uniósł głowę i z powagą spojrział na przyjaciela. – Naprawdę tak myślałem, mówiąc o tym, że nie chcę do więzienia. Wybacz, ale nie zależy mi aż tak bardzo na tym, by dobić do pięćdziesiątki.

Gotowe odpowiedzi Bergmana wyjaśniały to i owo. Może była to lepsza strona jego paranoi: zawsze bierz pod uwagę wyjście awaryjne, takie czy inne.

– Coś ostatnio powiedziałaś – rzekł Creem. – O tym, że zakończymy to razem, kiedy przyjdzie czas. A więc to miałaś na myśli?

Bergman wziął butelkę i pociągnął łyk.

– Widziałeś kiedyś *Thelmę i Louise*? – zapytał.

– Nie.

– No, nieważne. Ale odpowiadając na twoje pytanie, tak. Właśnie to miałem na myśli. Kocham cię, Elijah. Możesz się śmiać, ile wlezie, ale cię kocham. Bez ciebie... bez tego wszystkiego... Naprawdę nie mam nic, dla czego warto byłoby dalej się tu obijać. Już nie.

W jego oczach były łzy. Rozmowa potoczyła się w kierunku, którego Creem się nie spodziewał. Pozwolił nawet się objąć, choć zwykle tego unikał.

– Ja czuję to samo, Josh. Tak samo myślę o tym wszystkim. Na nic nie zamieniłbym tych ostatnich paru tygodni.

– Ani ja, Louise – powiedział Bergman.

– Nie wiem, o co ci chodzi – rzucił Creem.

– Mniejsza z tym.

Rozdział 78

Następnego dnia wieczorem wreszcie udało nam się spotkać z Avą. Miałem do niej wiele pytań, ale wiedziałem, że podczas pierwszych odwiedzin nie wolno nam za mocno naciskać. Dużo przeszła od naszego poprzedniego spotkania.

W Howard House było cicho, Ava sama otworzyła nam drzwi. Trudno powiedzieć, czy ucieszyła się z naszej wizyty; przyjęła nas z chłodną tolerancją. Kiedy ją ściskaliśmy, trzymała ręce opuszczone i ani trochę się nie uśmiechała. Złapałem się na tym, że na odsłoniętych częściach jej skóry na rękach, a nawet za uszami, wypatruję śladów nakłuć. Napełniała mnie smutkiem myśl, że Ava może sobie coś wstrzykiwać, ale widywałem już młodszych ćpunów.

Później usiedliśmy na werandzie na starych krzesłach ogrodowych, z colą i puszką wczorajskich ciastek Nany. Z początku najwięcej mówiła Nana, opowiedziała Avie o szkole publicznej, którą dla niej wyszukała.

Bree i ja daliśmy jej kartkę z napisem „Tęsknimy za Tobą” zrobioną przez Jannie i Alego. Wtedy uśmiechnęła się pierwszy i ostatni raz tego dnia. Uśmiech był wymuszony i niezręczny, ale i tak lepszy od jej rezerwy. Cieszyłem się, że ją widzę.

Po kwadransie wypełnionym kiwaniem głową i jednosłownymi odpowiedziami Avy postanowiłem wziąć byka za rogi. Wiedzieliśmy od Stephanie, że Ava trafiła na obowiązkową terapię antynarkotykową, ale niewiele prócz tego.

– Musimy cię o coś zapytać – zacząłem.

Prawie znieruchomiała i oparła czubki tenisówek o beton. Wyglądała jak sprinter w blokach startowych przygotowany do biegu.

– Wiemy trochę o tym, co działo się w ciągu ostatnich paru dni, i niepokoimy się o ciebie – ciągnąłem. – Nie tym, co robiłaś, lecz o ciebie.

Nana spojrzała na mnie, jakby chciała mi powiedzieć, żebym zwolnił, ale Bree podjęła wątek.

– Kochanie, posłuchaj. To naprawdę ważne, żebyś powiedziała nam, skąd brałaś narkotyki. Na którym rogu ulicy, od którego dealera lub kolegi...

– Nie muszę na to odpowiadać – odparła Ava. – Wy jesteście z policji.

Po czterech miesiącach mieszkania w naszym domu nadal widziała w nas zagrożenie. Nieufność wobec autorytetów miała zapisaną w DNA.

– Nie przyszliśmy tu po to, by kogoś zgarnąć – oznajmiłem. – Problem polega na tym, że nigdy nie wiadomo, co ci dają. Codziennie jakiś młody człowiek przedawkowuje, zwłaszcza jeśli zażywa to, co ty brałaś.

– Nie biorę żadnych prochów! – oświadczyła nagle.

Znałem ją dobrze i znałem jej odruch łgania, włączający się, kiedy poczuła się zagrożona. Nie chodziło o zachowanie wiarygodności, lecz o to, by cokolwiek powiedzieć.

Zanim zdążyła coś dodać, drzwi otworzyły się i weszła jakaś dziewczyna. Ta sama, która wczoraj tak głośno rozmawiała przez telefon. Była mniej więcej w wieku Avy, ale pozowała na trzydziestolatkę; nosiła nisko opuszczone dzinsy i obcisłą bluzkę.

– Co tam, Avo? To twoi ludkowie?

– Ja jestem Alex, a to Bree i Nana. Jesteśmy przybraną rodziną Avy.

Spojrzenie dziewczyny padło na ciastka i Nana podsunęła jej puszkę.

– Dziękuję, psze pani – rzuciła z uśmiechem. – Ava mówi wam, co ostatnio wykręciła?

– Przymknij się, Nesso! – burknęła Ava. – Nie twoja sprawa.

– No, hm – rzuciła tamta. Zakładałem, że nawiązywała do tego, co usłyszała podczas terapii, jednak sprawiała wrażenie, że nie traktuje Avy poważnie. Uniosła telefon i jakby nigdy nic pstryknęła nam grupowe zdjęcie.

– Zróbcie „cheese”!

– Cheese – powiedzieliśmy wszyscy oprócz Avy. Podaliśmy dziewczynie numer telefonu, a ona przesłała mi zdjęcie SMS-em. Potem wzięła jeszcze

jedno ciastko i weszła do budynku.

– Nie taka zła – zauważyła Nana. – To twoja koleżanka?

– Z pokoju – potwierdziła Ava. – Jest w porządku.

Zaproponowaliśmy, że zabierzemy je obie na kolację, ale Ava odparła, że wieczorem pieką taco i chce zostać. Skinęliśmy głowami, ale po zakończeniu odwiedzin odjeżdżaliśmy z poczuciem frustracji.

Nie uważałem, że Ava jest niewdzięczna lub niegrzeczna. Sądziłem, że jest wewnętrznie złamana i nie jest w stanie przetwarzać tego, co czuje. Dzieci często próbują zapełnić tę pustkę narkotykami. Wobec długiego zaniedbania, którego ofiarą padła Ava, i presji życia w systemie opieki zastępczej głębsza zmiana może się okazać prawie niemożliwa.

W najlepszym razie dokonuje się za pomocą małych dziecięcych kroczków. I tylko w dobre dni.

Ten dzień nie był dobry.

Rozdział 79

Tymczasem sypały się nowe ciosy.

Nazajutrz rano chciałem zalogować się do bazy dokumentów śledztwa i system wypluł nieprzyjazny komunikat.

Login ID nierozpoznany.

Kilkakrotnie ponowiłem próbę, lecz program za każdym razem wyrzucał ten sam komunikat. Najwyraźniej w ciągu minionych dwunastu godzin odebrano mi dostęp do systemu. Mój status non kontakt był teraz pełny.

Nie powinno mnie to dziwić. Wystarczyło, że ktoś zajmujący wyższą pozycję w łańcuchu pokarmowym zajrzał do systemu i zobaczył moje wirtualne odciski palców w plikach dotyczących Rzecznego Zabójcy, Rozpruwacza z Georgetown i Elizabeth Reilly. Zasady zawieszenia w ogóle nie pozwalały mi grzebać w systemie.

To jednak nie powstrzymało mnie od pójścia ze skargą do sierżant Huizengi.

– Nie zaczynaj, Alex – odezwała się, gdy stanąłem w drzwiach. Wiedziała, po co przychodzę. – Nie jestem w nastroju.

– Tu nie chodzi o mnie – odparłem. – Mamy na tapecie trzech potencjalnie aktywnych zabójców. Kiedy ostatnio mieliśmy takie obciążenie?

– To nie ma nic do rzeczy. Kapitan D’Auria zobaczył coś, co już wcześniej powinnam była załatwić. Naskoczył na mnie wczoraj o dziesiątej wieczór, wielkie dzięki.

– Ale ja nie mówię o powrocie w teren. Chodzi o to, żebym mógł czytać pliki i być na bieżąco, kiedy mnie przywrócą.

– Czy ty nie rozumiesz, na czym polega status non kontakt?! – krzyknęła. – Myślisz, że chcę cię trzymać na ławce? Jezu! Dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy?

Kryzys trwał już osiemnasty dzień i postępów nie było widać. Im dłużej trwało śledztwo, tym mocniej Huizenga odczuwała na karku oddech szefostwa; będą wtrącaли się do jej życia i domagali wyników. Właśnie wtedy zwykle zaczynają się krzyki.

Będzie coraz gorzej.

Detektyw Jacobs przepchnęła się obok mnie i weszła do gabinetu Huizengi. Po jej ruchach było widać, że przynosi coś ważnego.

– Złe nowiny, pani sierżant – zaczęła.

– Poczekaj. – Huizenga uniosła rękę i skierowała na mnie swoje lasery. – To wszystko, Alex. Skończyliśmy.

Jak daleko sięga moja pamięć, nie byłem odsunięty od ważnej sprawy prowadzonej przez nasz wydział. Zagotowałem się w środku, ale nie miałem wielkiego wyboru.

Nie odszedłem jednak daleko. Zatrzymałem się tuż za drzwiami i nadstawiłem uszu. Nie jestem przesadnie dumny z tego posunięcia, ale jak wcześniej wspomniałem, nie chodziło o mnie. Chodziło o ofiary i ich rodziny, a jeszcze bardziej o te ofiary, które dopiero miały się pojawić. Ci ludzie zasługiwali na to, byśmy zaangażowali w śledztwo wszystkie siły, a my z powodu zamieszania wokół mojej osoby im tego nie dawaliśmy.

– O co chodzi, Jessico? – zapytała Huizenga.

– Właśnie dostaliśmy od służby społecznej informację o dwóch ciałach, które unosiły się w Potomacu. Mniej więcej godzinę temu woda wyrzuciła je na Roosevelt Island. Jeden młody biały mężczyzna z raną postrzałową w twarzy i ranami kłutymi na kroczu. Młoda biała kobieta...

– Nie musisz mówić. Blondynka. Trzy równomiernie rozłożone rany kłute, obcięte włosy.

– Niestety tak – potwierdziła Jacobs.

– Znaleźli ich dokładnie w tym samym czasie?

– Jest jeszcze jeden pikantny szczegół. Ofiary miały ręce skute kajdankami. Cokolwiek to może znaczyć.

Wziąłem głęboki oddech. Znaczyło to, że dwaj zabójcy z Georgetown znów powrócili razem na scenę. I wyglądało na to, że zacieśnili współpracę.

Usłyszałem, że Huizenga odsuwa krzesło i pobrzękuje kluczykami.

– Valente już wie?

– Jeszcze nie.

– Zadzwoń do niego. I zawiadom komendanta. Wszystkim, którzy są na miejscu, powiedz, żeby niczego nie ważyli się dotykać.

Wychodząc z gabinetu, Jacobs zmierzyła mnie wzrokiem, ale się nie zatrzymała. Dziesięć minut później wszyscy wolni członkowie wydziału przestępstw ciężkich zostali wezwani na miejsce zbrodni i biuro opustoszało. Wszyscy oprócz mnie, rzecz jasna. Ja zostałem, żeby odbierać telefony i stukać palcami w blat niczym lokaj w klatce. Znowu.

Naprawdę nie wiedziałem, jak długo jeszcze to zniosę.

Rozdział 80

Gdy tylko zostałem sam, wziąłem telefon i zadzwoniłem do Bree.

Wiedziałem, że rozpracowuje sprawę gangsterskiej strzelaniny w Garfield Terrace w Northwest. Wyjechała z domu wcześniej rano po odebraniu telefonu. Miałem nadzieję, że szybko się tam uwinie i pojedzie na Roosevelt Island. I że dostanie się bliżej miejsca zbrodni niż ja, bo wyszło na to, że jestem radioaktywny.

– Zejdzie mi tu jeszcze z godzinę – powiedziała. – Ale mogę tam później pojechać, jeśli to się na coś przyda.

– Wszystko się przyda – odparłem zdeterminowany, by śledzić sprawę w taki czy inny sposób. – Postaraj się znaleźć Errica Valentego. Jeśli na kogoś możesz liczyć, to właśnie na niego.

Praca przy tym samym śledztwie, a tym bardziej przy kilku, to było coś, czego Bree i ja postanowiliśmy unikać, kiedy braliśmy ślub. Utrudnia to życie rodzinne, zajmowanie się dziećmi i pilnowanie domowych spraw. Wszystko jednak tak się zapętlilo – kryzys związany z Avą, starcie z Ronem Guidice'em i kłopoty w pracy – że zasady gry niepostrzeżenie uległy zmianie.

Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale stanowimy nie najgorszy zespół. Lubię z nią pracować.

Później przez parę godzin siedziałem sam przy biurku, odbierałem telefony i miałem w głowie wszystko, co wiedziałem o śledztwach.

Cokolwiek ci zabójcy czerpali ze swoich podwójnych mordów, najwyraźniej wychodziło im na dobre. Dwie ofiary skute kajdankami w rzece – to był krok dalej niż porzucenie zwłok w parku Rock Creek. To zostało zainscenizowane. A oni wchodzili głębiej w swoje role.

„Zainscenizowane”, to było właściwe określenie. Sprawcy czynili ze swoich zbrodni coś w rodzaju przedstawienia. Dla nas? Dla siebie

nawzajem? Dla wszystkich?

Kto mógł to wiedzieć? Pytania wisiały w próżni, a ja tkwiłem przy biurku i odbierałem połączenie za połączeniem.

Wreszcie po południu odezwała się Bree.

– Właśnie tu dotarłam. I jestem przy ogrodzeniu. D’Auria wyekspediował mnie, zanim zdążyłam spojrzeć na zwłoki.

– Powiedziałaś mu, że wcześniej brałaś udział w śledztwie?

– Nie chciał o tym słyszeć – odparła. – Obmurowali teren.

– A Valente?

– Jest nad Potomakiem. Pokręcę się tu jeszcze i zobaczę, może się wynurzy, żeby zaczerpnąć powietrza, ale przed piątą muszę być w biurze patologa... – Głos Bree odpłynął. – Ożeż. No nie wierzę.

– Co się stało? – zapytałem. Słuchanie relacji z drugiej ręki działało mi na nerwy.

– Ron Guidice. Jest po drugiej stronie taśmy z innymi reporterami. Sukinsyn właśnie pstryknął mi zdjęcie.

Poczułem pieczenie na twarzy na samą myśl o nim. Oczywiście, że tam jest. Ostatnio jest wszędzie.

– Nie dawaj mu satysfakcji, nie reaguj – powiedziałem. – Jemu właśnie na tym zależy.

– Chętnie owinęłabym mu pasek tego aparatu wokół szyi.

– Wierz mi, wiem, co czujesz. Ale nie rób tego, Bree. Zignoruj go.

Usłyszałem, że bierze głęboki oddech. Ja też odetchnąłem.

– No dobra – odparła. – Daruję mu życie. Ale słuchaj, muszę stąd iść. Zadzwoń, jeśli dowiem się czegoś od Valentego. Kocham cię.

– Ja ciebie też – powiedziałem i rozłączyła się.

Zazwyczaj dobrze odczytuję, co myśli Bree. Ale nie tym razem. Kiedy zakończyła połączenie, zastanawiałem się, czy mówiła mi to, co chciałem usłyszeć, czy naprawdę zachowa odległość od Guidice’a. Nienawidziła tego typu tak samo jak ja.

Nie mogłem wykluczyć, że przywalała Guidice’owi tak, że zgasły mu wszystkie światła. Odebrałem następny telefon.

Rozdział 81

John Sampson był w swoim samochodzie, kiedy dotarł do niego SMS Bree.

Mam Guidice'a na oku. Jedź teraz, jeśli możesz.

Czekali na taką okazję. Zamiast jechać dalej Massachusetts Avenue na policyjne szkolenie, w którym tego dnia miał uczestniczyć, skręcił ostro w prawo na K Street i ruszył w kierunku Wirginii.

W bazie programu Accurint nazwisko Rona Guidice'a od trzech lat figurowało obok wynajmowanego domu w Reston. Budynek należał do dewelopera z Atlanty, firma zarządzająca miała siedzibę w Waszyngtonie, lecz ani w jednym, ani w drugim miejscu nie mieli nic ciekawego do powiedzenia o najemcy. Guidice miał przyzwoitą historię kredytową, płacił czynsz w terminie i w papierach prezentował się normalnie.

Dom miał zaskakująco podmiejski wygląd – tak można by go było opisać z braku lepszego słowa. Prosty budynek z dwuspadzistym dachem, pomalowany na brzydki jasnoniebieski kolor, stojący pośrodku gęsto upakowanego osiedla. Taki widok ujrzał Sampson, kiedy dojechał na miejsce. Nie przypominał ziemnej nory, jakiej można się było spodziewać po padlinożercy w rodzaju Guidice'a.

Sampson stanął przed drzwiami i na wszelki wypadek nacisnął dzwonek. Nikt nie otworzył, więc zszedł z ganku i szybko przemknął na tyły domu. Na podjeździe nie stał samochód, w garażu także. Na podwórzu nie było nic poza krzakami i ogrodzeniem.

Jeśli coś mogło zaniepokoić, to brak skobli na drzwiach. W oknach nie wisały ani firanki, ani zasłony. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że ten człowiek nie ma nic do ukrycia. Istniał tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

Sampson wyjął z portfela legitymację i bez trudu pokonał tani zamek w tylnych drzwiach.

Oględziny parteru nie zajęły mu wiele czasu. To, co zobaczył, najlepiej dałoby się opisać jednym słowem: pustki. W lodówce nic nie było, obok rozkładanego stolika telewizyjnego stało tylko jedno płócienne krzeselko. Przy drzwiach wejściowych leżał stos gazet sprzed mniej więcej trzech tygodni: „Washington Post”, „New York Times” i „Al-Sabah”.

Wszedł na piętro z trzema małymi pokoikami w prostym układzie. Jeden był całkowicie pusty. W drugim leżał na podłodze materac, obok ściany piętrzyło się kilka stosów poskładanych ubrań.

Trzeci pokój wyglądał jak zaimprovizowany gabinet Guidice’a. Na stole do gry w karty leżały teczki, na podłodze zaś stała tania drukarka Lexmark. Zebrane fragmenty tekstów na pozór nijak się do siebie nie miały. Wycinki dotyczyły wszystkiego, poczynając od brutalności policji przez planowanie finansowe i naprawę silników aż do ogródka warzywnego przy Białym Domu.

Wnętrze sprawiało dość przygnębiające wrażenie. Łatwo było wyobrazić sobie, że Guidice spędza w nim swoje żalosne noce, wymyśla teorie spiskowe i pisze swojego głównianego bloga.

Sampson liczył jednak, że natrafi na coś, co naprowadzi go na jakiś trop. Przez dwadzieścia minut zaglądał do szaf, pod podłogę i do przewodów wentylacyjnych, tak na wszelki wypadek. Ale niczego nie znalazł.

Kiedy wyszedł i był w połowie drogi do samochodu, zauważył kogoś mieszkającego po sąsiedzku. Był to starszy mężczyzna w pastelowym ubraniu do gry w golfa; właśnie wywoził taczką śmieci w kierunku jezdni. Sampson uznał, że warto spróbować. Wziął z samochodu pustą biurową kopertę i ruszył w stronę mężczyzny.

– Przepraszam, szukam Rona Guidice’a. Może mi pan powiedzieć, gdzie go znajdę?

Tamten patrzył chwilę na mały niebieski domek, po czym pokręcił głową.

– Wiem, że tam mieszka jakiś wysoki facet, ale niestety nie znam jego nazwiska.

– To chyba on – rzekł Sampson i pokazał kopertę. – Musi pokwitować odbiór. Wie pan, kiedy bywa w domu?

– Trudno powiedzieć. – Mężczyzna oparł się o mały kosz. Wyglądał na samotnego gościa, takiego, co to lubi pogadać. – Od czasu, gdy starsza pani i dziewczynka się wyprowadziły, tylko pojawia się i znika. Przeważnie znika.

Sampson skinął głową, zachowując pokerową twarz. Starsza pani? Dziewczynka? Dlaczego w aktach Guidice’a nie było o tym żadnej wzmianki? I dlaczego te osoby już tutaj nie mieszkają?

– To pewnie jego rodzina, co?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że ona była babcią. Bardzo gruba kobieta. Ale z tej dziewczynki był milutki szkrab. Mniej więcej w wieku mojej wnusi. Pięć, może sześć lat.

Sampson słuchał i przetwarzał wszystko w myślach. To i owo się wyjaśniło, na przykład dlaczego Guidice wybrał ten domek.

– Pewnie pan nie wie, gdzie mógłbym ich znaleźć – powiedział, ale mężczyzna się wycofał.

– Synu, ja nawet nie wiem, co to za jedni. Skąd miałbym wiedzieć, dokąd się przenieśli?

– W porządku, rozumiem. Spróbuję jeszcze raz tu przyjechać.

– Jeśli go zobaczę, powiem, że pan go szukał. Jak się pan nazywa?! – zawołał sąsiad Guidice’a, gdy Sampson szedł do samochodu.

– Joe Smith – odparł. – Ale proszę się nie martwić. Potrafię znaleźć człowieka, kiedy mi na tym zależy, jestem w tym niezły.

Rozdział 82

Po południu odebrałem drugi telefon od detektywa Pennera z Palm Beach.

Przekazałem mu już informacje o Elijahu Creemie, i z tego, co wiedziałem, jego alibi na noc morderstw na Florydzie się potwierdziło. O co więc chodziło?

– Jak mogę pomóc?

– Zdaje się, że coś dla pana mam – odparł Penner. – Widzieliśmy w telewizji niektóre materiały o seryjnych mordercach z Georgetown. Wyglądało to dość koszmarnie.

– Łagodnie mówiąc – zauważyłem.

– Sprawca używa masek. Mógłbym coś więcej o nich usłyszeć?

Penner nie mógł wiedzieć o moich ograniczeniach służbowych, a mnie nie spieszyło się, by go o nich zawiadomić. Chciałem usłyszeć, co ma do powiedzenia. W tym celu musiałem podzielić się z nim pewną informacją.

– Są prawdopodobnie zrobione z lateksu. Zdecydowanie dobrej klasy, wyglądają na tyle przekonująco, że sprawdzają się na ulicy. Dokładniejsze oględziny tych nagrań, które mamy, pozwalają zauważyć pewną sztywność, ale niewielką.

– Hm, tak właśnie myślałem – rzekł Penner. – My też mamy trochę zapisów z kamer bezpieczeństwa. Zauważyliśmy faceta wsiadającego do ciemnego sedana, jakieś pół kilometra na północ od miejsca podwójnego zabójstwa, około pół godziny po szacunkowym czasie śmierci ofiar. Zauważyliśmy coś w jego wyglądzie...

Zanim zdążył powiedzieć połowę tego, co zamierzał, już wiedziałem, co usłyszę.

– Biały mężczyzna w starszym wieku? Wzrost mniej więcej metr osiemdziesiąt, waga jakieś dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt pięć kilogramów?

– A więc wie pan, o czym mówię.

– Akurat tyle wiem – odparłem.

– Przyszło mi na myśl, że może wymienimy się zdjęciami i zobaczymy, czy to nie jest ten sam gość – rzekł Penner.

– Czyli Elijah Creem.

– Sprawa jest mocno podejrzana, co najmniej. Ma domy w Georgetown i Palm Beach i tak się dziwnie składa, że właśnie w tych miejscach widziano te maski.

Już byłem na nogach, krew dudniła mi w uszach. Podczas obu naszych spotkań Creem wykazywał skłonności socjopatyczne, toteż podejrzenie wydało mi się całkowicie uzasadnione. Był również chirurgiem, a więc miał wprawę w posługiwaniu się nożem i skalpelem; charakterystyczny ząbkowany nóż, ulubione narzędzie sprawcy zabójstw, także nie sprawiłby mu trudności.

W śledztwach dotyczących morderstw poszlaki łatwo mogą stać się pułapką. Za długo w tym siedzę i nie pozwalam ponosić się wrażeniom. Mimo to, kiedy odkładałem słuchawkę, rzecz wydawała się czymś więcej niż hipotezą.

Diabelnie mocno pachniała rozwiązaniem zagadki.

Rozdział 83

Potwierdzenie podejrzeń detektywa Pennera nie zajęło dużo czasu. Nie licząc paru różnic kosmetycznych, maska starca widoczna na zdjęciach z kamer na Florydzie wyraźnie pasowała do tych, które widzieliśmy w Georgetown. Nadszedł czas, by zrobić ruch w kierunku doktora Creema.

Najpierw zadzwoniłem do Errica Valentego, by zrelacjonować mu najnowsze wydarzenia. Był na miejscu zbrodni na Roosevelt Island. Potem wydrukowałem wszystko, co wiedziałem, i zostawiłem w kopercie na jego biurku. Dostałem już opieprz i miałem dość jak na jeden dzień. Nie chciałem zostawiać elektronicznego śladu prowadzącego do mnie, wiedziałem, że Errico da sobie radę. I że jest dyskretny. Wcale mnie to nie martwiło, że jemu przypadnie zasługa.

Potem mogłem już tylko zakończyć dzień pracy, pojechać do domu i czekać na informację, co z tego wszystkiego wynikło.

Oczywiście nie powstrzymało to mnie, Bree i Sampsona przed tym, by spotkać się wieczorem w moim gabinecie. Pozostało bardzo dużo do obgadania.

Zaczynałem mieć wrażenie, że prowadzimy prywatne biuro detektywistyczne na poddaszu. Ta partyzantka była trochę śmieszna, ale i ekscytująca. Po trzech dniach spędzonych przy biurku czułem, że naprawdę do czegoś zmierzam.

Opowiedziałem im wszystko, czego się dowiedziałem, wymieniliśmy się hipotezami. Przewidywałem, że rano Elijah Creem zostanie wezwany na przesłuchanie, a może nawet aresztowany. Rzuciło to mocne światło na jego przyjaciela Josha Bergmana, który świetnie pasowałby do obrazu Rzecznego Zabójcy. Valente zechce porozmawiać także z nim, to nie ulegało wątpliwości.

Następnie przeszliśmy do sprawy Elizabeth Reilly i jej widmowego chłopaka, którego znaleźliśmy jedynie pod imieniem Russell. Bree nadal szperała w aktach NCIC, oznaczając flagami wszystkie imiona i nazwiska o tym brzmieniu. Żadna z zaznaczonych do tej pory osób nie mogła mieć związku ze sprawą.

To samo odnosiło się do Rebekki Reilly, uprowadzonej córki Elizabeth. Pytałem Neda Mahoneya z FBI, ale na tym froncie także nie odnotowano żadnych postępów. Bolesna prawda była taka, że najlepszą szansę na znalezienie dziecka mielibyśmy, gdyby „Russell” wychynął z cienia i zajął się następną ciężarną dziewczyną. Aż strach było o tym pomyśleć.

Do omówienia pozostała nam kwestia Rona Guidice’a.

– A co z naszym ostatnim przyjacielem? – zapytałem. – Tym, o którym nie rozmawiamy.

Bree i Sampson spojrzeli na siebie. Jeżeli mieli coś nowego, zachowywali to dla siebie.

– Nie ma dużo do powiedzenia – odparł John.

– Nie ma dużo? – naciskałem. – Czy w ogóle? – Byłem ciekaw i nie chciałem odpuszczać tego tematu. A może miałem dość tego, że się mnie odsuwa.

Sampson wzruszył ramionami i dopił piwo.

– Wygląda na to, że do niedawna mieszkały z nim jakaś starsza pani i dziewczynka. Zdaniem sąsiada, jedna była matką, a druga córką Guidice’a, ale nie był tego pewien. Tak czy owak, zniknęli. Jego dom w Reston wygląda jak siedziba duchów.

– Myślałam, że mamy o tym nie mówić – odezwała się Bree.

– Nie mówimy. – Sampson rozłożył się na mojej starej skórzanej kanapie.

Pokazałem mu uniesiony kciuk. Chciałem wiedzieć o tym śledztwie, ale dopóki obowiązywał mnie nakaz, nie zamierzałem posuwać się za blisko. Jeśli dzięki temu Guidice wygra parę bitew, to cóż, trudno.

Byłem zdeterminowany, by wygrać wojnę.

Rozdział 84

Ron Guidice zdjął słuchawki.

A to bydlak! Miał ochotę zmienić kierunek swojej akcji o dziewięćdziesiąt stopni i uderzyć w Johna Sampsona. Ta nędzna karykatura gliniarza nie zbliży się bardziej do jego rodziny, niż to zrobiła. To jedno było pewne.

Tak czy owak, sygnały były jednoznaczne. Należało wykonać zasadniczy ruch. Pytanie brzmiało: co najpierw?

Telefon zabrzączał w jego kieszeni i Guidice zagryzł zęby. Nie musiał spoglądać na ekran. Jediną osobą, która znała jego numer, była matka, a wybierała go już czwarty raz w ciągu godziny. To stawało się idiotyczne.

– Co, mam? – rzucił. – Pracuję.

– Tatku?

To nie była Lydia, lecz Emma Lee. Guidice momentalnie pożałował, że odezwał się takim tonem.

– Cześć, kochanie – powiedział łagodnie. – Dlaczego jeszcze nie śpisz?

– Kiedy wracasz? – zapytała córka, z uroczym wirginijskim akcentem, który chwycił go za serce nawet wtedy, gdy dochodził ze słuchawki. Poczuli się winni jak wszyscy diabli, lecz w tej chwili nic nie mógł na to poradzić.

– Jeszcze tylko parę dni. Niedługo.

– Dzidzia bardzo płacze. Chyba za tobą tęskni.

– Małe dzieci tak robią, słodziaku. Nie martw się tym teraz. Daj mi babcię, dobrze?

– Kocham cię, tatku.

– Ja też cię kocham. Bardziej niż księżyc.

Po chwili usłyszał Lydię:

– Ronald?

Poczuł, że skręca mu kiszki na sam dźwięk jej głosu.

– Dlaczego ona jeszcze nie śpi, do jasnej cholery? Jesteś od tego, żeby się nią opiekować.

– Nie klnij na mnie – odparła matka. – Twoja córka tęskni za tatusiem. Czy to jej wina? Przywiozłeś nas aż tutaj, a później nie ma cię całe dni. Poza tym skończyło nam się mleko. Nie mogę chodzić do sklepu z takimi kostkami.

Guidice policzył do dziesięciu. Mógł w tej chwili jedynie przełknąć złość. Potrzebował Lydii bardziej niż kiedykolwiek.

– Mamo, już o tym rozmawialiśmy – rzekł powoli. – Dopóki ciągnie się sprawa tego pozwu, nie jest bezpiecznie, żebym przebywał za często w pobliżu ciebie i dziewczynek. To nie jest żadna tajemnica, że policja chce mnie dorwać.

– Ale przecież to ty ucierpiałeś! To tobie złamano nos.

– I o tym mówię. Najgorzej jest, kiedy tacy właśnie gliniarze przychodzą i zadają pytania. Pojawiają się fotoreporterzy, będą chcieli robić zdjęcia tobie i dziewczynkom, to tylko kwestia czasu. Nawet przez okna.

– Przestań, bo się wystraszyłam.

– Nie chcę cię straszyć, mamo, ja tylko mówię, jak jest.

W rzeczywistości chciał napędzić jej trochę stracha. Jeśli istniało coś, czego Lydia Guidice się bała, to właśnie oglądania swoich podobizn. Te, na których była gruba, przypominały jej o otyłości, a te, na których była chuda, przypominały, że już taka nie jest. Było gdzieś pudełko z rodzinnymi fotografiami, w tym z kilkoma z ojcem Guidice'a, który stał i otaczał ramieniem... puste miejsce. Lydia wydarła z nich siebie.

Wielka szkoda, że staruszek wykitował zamiast niej. On może umiałby docenić to, czego syn usiłował dokonać.

– Nikomu nie ufaj, mamo – przestrzegł. – Znasz swoje prawa, tak?

– Tak, Ronaldzie, powtarzałeś mi to tysiąc razy.

– Jeśli ktoś przyjdzie i będzie chciał o coś pytać, powiedz, że nie musisz podawać tożsamości i że chcesz najpierw skontaktować się z adwokatem.

– Och, na litość boską. Wiem, wiem.

To był jeden z najlepszych sposobów odpędzenia jej od telefonu. Nie znosiła, kiedy mówiło się o takich sprawach.

– Postaram się przyjechać, kiedy będę mógł – obiecał. – Tylko wytrzymajcie jeszcze trochę beze mnie, dobrze?

– A mamy wybór? – odpowiedziała pytaniem. Słyszając w jej głosie te dziecinne tony, Guidice myślał, że być może jego stary mimo wszystko był farciarzem.

– Nie, mam – rzekł, zanim się rozłączył. – Chyba nie macie.

Rozdział 85

Nazajutrz rano Valente zrobił całej grupie dochodzeniowej odprawę poświęconą Elijahowi Creemowi. Tyle w każdym razie wywnioskowałem, bo nie wpuszczano mnie na odprawy ani do wspólnego centrum operacyjnego, gdzie się odbywały.

Gdy tylko uczestnicy wysypali się z pomieszczenia i wracali na swoje stanowiska, wyczułem buzujące podniecenie. Valente pokazał mi piątkę z przeciwnej strony sali, po czym odszedł wraz z Huizengą i Jacobs. Nie oczekiwałem, że zrelacjonuje mi przy wszystkich przebieg narady, ale było jasne, że sprawa ruszyła z miejsca.

Zanim zdążyłem się zorganizować, odebrałem niespodziewany telefon. Kapitan Perkins zapraszał mnie do siebie na górę. Jego asystentka Tracy nic mi nie wyjaśniła. Powiedziała tylko, że mam przyjść od razu.

Miałem świadomość, że tego rodzaju wezwanie może przynieść coś dobrego albo złego, na dwoje babka wróżyła. Jak dotąd Perkins grał to na jedną stronę, to na drugą. Pozwolił mnie zamknąć na noc w areszcie, a potem z niego wyciągnął. Cały czas trzymał mnie na ławce rezerwowych, lecz zarazem postarał się, żebym dostał z powrotem broń i odznakę, choć nie musiał tego robić.

A więc co teraz?

– Wchodź – powiedziała Tracy, machnięciem ręki kierując mnie do środka. – Czeka na ciebie.

Drzwi gabinetu Perkinsa były otwarte, siedział przy swoim ogromnym klonowym biurku – nazywaliśmy je „starym kłamotem” – i podpisywał papiery, których leżał przed nim cały stos.

– Usiądź, jeżeli chcesz – powiedział.

Czekałem, stojąc, a kapitan złożył jeszcze kilka podpisów. Skończywszy, wyjął z pojemnika na dokumenty jakąś kartkę i podsunął mi ją.

– Co to takiego?

– Pismo z prokuratury – odparł Perkins. – Chyba masz dzisiaj szczęśliwy dzień. Z powodu braku wystarczających dowodów rezygnują z dochodzenia.

Poczułem, że zdjęto ze mnie wielki ciężar. Pismo oznaczało, że prokuratura nie będzie dążyła do postawienia mi zarzutów.

– Szczerze mówiąc, jestem trochę zaskoczony. Ci z wydziału spraw wewnętrznych mocno na mnie wsiedli od samego początku tej sprawy.

– Powiedzmy, że masz u mnie mały dług. A może dwa lub trzy – odrzekł bez uśmiechu Perkins.

Cokolwiek zrobił, przechyliło szalę na moją stronę i byłem za to wdzięczny, choć po prawdzie nie powinno to być trudne, bo, jakkolwiek by na to patrzeć, byłem niewinny.

– Ale przez kilka miesięcy będziesz chodził na badanie sików – dodał.

– Jakoś to przeżyję.

Nadal istniała możliwość, że będę musiał się zmierzyć z zarzutami administracyjnymi, do tego bez wątpienia będzie dążył Guidice, kierując przeciwko mnie pozew cywilny. To jednak nie przeszkodzi mi w tym, że wreszcie wrócę do pracy. Od czterech dni byłem poza obiegiem, a w wydziale zabójstw czas liczy się tak jak w życiu psa. Miałem sporo do nadgonienia.

– Coś jeszcze? – zapytałem.

– Tak. Nie wszyscy będą zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Dostanie się nam – odparł Perkins. – Chcę, żebyś się nie wypowiadał na temat Guidice'a. Nie broń się medialnie, nie rozmawiaj o nim. Po prostu spuść głowę i wróć do roboty.

– Na niczym więcej mi nie zależało, Lou.

– To dobrze. Bo zdaje się, że czekają na ciebie na dole. Mają tam Elijaha Creema, trzeba go będzie przesłuchać.

Rozdział 86

Kiedy dotarłem do sali przesłuchań na trzecim piętrze, detektyw Valente był już tam sam na sam z doktorem Creemem.

Huizenga, D'Auria i Jacobs siedzieli na końcu przylegającego do sali korytarza w kształcie litery L; zebrali się wokół laptopa, żeby oglądać i przysłuchiwać się rozmowie. Podczas porannej odprawy kapitan Perkins zapewne szepnął słówko Huizendze, bo skinęła mi głową i zrobiła miejsce przy stoliku.

– Miło, że wróciłeś – powiedziała.

– Ciiii – szepnął D'Auria i stuknął w ekran komputera.

Wyczuwałem napięcie panujące wśród zgromadzonych. Nie wiedziałem, od jak dawna trwa przesłuchanie Creema, ale domyśliłem się, że nie jest dobrze.

Doktor siedział na aluminiowym krzeselku przyśrubowanym do posadzki. Przyjął otwartą postawę ciała, jego ręce zwisały swobodnie, nogi były szeroko rozstawione. Wystudiowana mowa ciała, tak to odebrałem. Nawet z domieszką arogancji, jakby przesłuchanie sprawiało mu przyjemność. W każdym razie chciał, żebyśmy takie odnieśli wrażenie.

Valente przyniósł sobie składane krzesło i usiadł plecami do drzwi. Stół w kącie o blacie w kształcie klina był pusty, jedyny kolorowy akcent w pomieszczeniu stanowił klawisz alarmowy na ścianie.

– Doktorze Creem, poznaje pan ten podpis? – zapytał Valente. Przed chwilą wyjął arkusz z wachlarzowego segregatora na podłodze i podsunął go przesłuchiwanemu.

– To mój formularz przyjęcia pacjenta.

– Owszem. Dotyczy Darcy Vickers.

– No tak, widzę.

Valente schował arkusz. Chciał, żeby Creem patrzył na niego, a nie na papier.

– Ostatnim zabiegiem, który jej pan wykonywał, był lifting szyi. Jedenaście miesięcy przed tym, jak zginęła zamordowana.

– Tak, to była platysmaplastia – potwierdził Creem. – Niefortunny zbieg okoliczności. Zabiegi, które jej zrobiłem, zaliczam do moich najlepszych.

Nie wiedziałem, do czego naprawdę zmierza, ale uprawiał tę samą grę, którą zaprezentował mi, uderzając kijem golfowym piłkę na murawie za swoim domem. Elijah Creem za wszelką cenę usiłował pokazać nam, że nie dba o nic i o nikogo prócz siebie. Zadawał sobie wiele trudu, by dopiąć tego celu.

Valente oparł się o krzesło i skrzyżował ręce na piersi. Widziałem, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– Coś dużo tych zbiegów okoliczności, nie sądzi pan? Pańska była pacjentka, sąsiedzi w Palm Beach...

– No i proszę – wpadł mu w słowo Creem z nagłym ożywieniem. – Czy musiałby pan zadawać to pytanie, gdyby nie brakowało panu informacji? Nie jestem detektywem, detektywie, ale nawet ja wiem, że nie ścigacie ludzi na podstawie zbiegów okoliczności.

W moim przekonaniu zdanie to znaczyło: „Tak, jestem winny, ale nie możecie tego udowodnić”. Bardzo ważną częścią każdego przesłuchania jest to, co nie zostaje wypowiedziane. A Creem unikał powiedzenia wielu rzeczy. Podobało mu się, że wiemy, co zrobił, a jakże. Pod warunkiem że znajdował się po właściwej stronie cieniutkiej linii, obok której kroczył. Czerpał z tej gry dreszcz emocji – z samego zabijania, ale także z ciuciubabki, którą z nami uprawiał.

– No dobrze – rzekł Valente. Wstał, złożył krzesło i oparł je o ścianę. – Zadam panu inne pytanie. Czy zabił pan Darcy Vickers?

– Powiedzmy, że żałuję, że nie dotarłem do niej pierwszy – odparł Creem. – Prawo chyba tego nie zabrania?

– Czy zabił pan Rogera i Annette Wettigów na Florydzie? – ciągnął Valente.

Creem jakby się zastanowił.

– Odpowiedź brzmi tak samo.

– A więc zabił pan ich wszystkich – naciskał detektyw. – Tak rozumiem pańskie odpowiedzi.

Niespodziewanie Creem zerwał się na nogi i nagle dzieliły ich od siebie centymetry. Ja także podskoczyłem, ale D’Auria uniósł rękę, powstrzymując mnie.

– Co pan wyprawia? – spytał Valente.

– Widzi pan to? – Creem uniósł rękę. – Nie mam kajdanek. Nie tak jak wtedy, gdy wasi ludzie pierwszy raz po mnie przyszli. To znaczy, że nie jestem aresztowany i nie muszę tu być.

– Siadać! – warknął Valente.

– O nie, nie zamierzam – odrzekł Creem. – Jestem gotowy do tego, by porozmawiać z moim adwokatem. Więc albo da mi pan swój telefon, albo wypuści mnie pan z tej śmiesznej kanciapy. Tak czy owak, rozmowa dobiegła końca.

Fakt faktem, Creem znał zasady gry. Siedzieliśmy mu na tyłku, ale wszystkie nasze dowody miały charakter poszlakowy. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko zdzierać kolejne zasłony, dopóki nie znajdziemy krwi na rękach pana doktora.

On zaś za chwilę sobie stąd wyjdzie, a my w żaden sposób nie mogliśmy go powstrzymać.

Rozdział 87

O szóstej wieczorem Elijah Creem był już w domu i szykował się do wyjścia. Kiedy usłyszał dzwonek, po raz pierwszy od miesiący wiązał dawno zapomnianą muszkę.

Przez okno sypialni zobaczył Josha, który wyglądał jak wyżęty do cna ćpun. Creema korciło, by zignorować dzwonek, ale nie byłoby to rozsądne.

Otworzył mu drzwi, a Bergman minął go i krętą linią niczym lecąca pszczoła powędrował do barku. Pachy zmiętoszonej bluzy były do cna prze pocone.

– Josh? – odezwał się Creem, wchodząc za nim.

Bergman drżącymi dłońmi wrzucił do szklanki parę kostek lodu, a kilka upuścił na orientalny dywan wykonany na zamówienie. Nie zauważył tego.

– Przyszli do mnie do domu, Elijah! Zadawali pytania.

– Kto taki?

– Policja! A niby kto?

– Co im powiedziałaś?

– Nic! Oświadczyłem, że chcę rozmawiać ze swoim cholernym adwokatem. – Bergman wlał sobie do gardła pierwszą porcję alkoholu i ponownie napełnił szklankę. Wcześniej zapewne połknął jedną lub dwie tabletki klonopinu. Nie powinien tego robić.

– Po pierwsze, uspokój się – rzekł Creem.

– Uspokój się? – Bergman odwrócił się do niego z dzikim spojrzeniem. – Mam szczęście, że w ogóle tu dotarłem. Gdybym wiedział, że przyjdą... To działo się za szybko, a pistolet leżał w sejfie...

– Oj, oj, oj. – Creem podszedł i położył ręce na trzęsących się ramionach przyjaciela. – Wiem, jak się czujesz, wierz mi. Całe rano przesiedziałem na policji.

– Co? Dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

– Ze mną było tak samo. Nie spodziewałem się i szczerze mówiąc, bałem się zadzwonić. Wiem, że teraz mnie obserwują.

Bergman przyjrzał się uważnie jego twarzy, a potem odwrócił się i wziął następny łyk.

– Możesz nam załatwić wyjazd z kraju?

– Nie – przyznał Creem. – Już nie. Za późno na to.

Jego najlepszy przyjaciel zaśmiał się trochę obłąkańczo i całkowicie bez radości.

– No to stało się. Gra skończona. Chyba się tego spodziewaliśmy.

Kiedy wyjął zza pasa mały, czarno-srebrny pistolet, oczy Creema się rozszerzyły. Broń drżała Bergmanowi w dłoniach, ale zdołał ją odsunąć, gdy Creem wyciągnął po nią rękę.

– Nie próbuj mi tego wyperswadować! Nie teraz!

– Ależ nie próbuję. Ja też mam pistolet na górze. I nie boję się.

– A więc? Na co czekasz? – Bergman spojrział w stronę holu i głównych schodów wijących się ku górze. Płakał. Łzy wypływały z kącików jego oczu i sunęły po kościach policzkowych, które zawsze napawały go taką dumą.

– Potrzebuję jeszcze jednej nocy – odparł Creem. – I... przysługi.

Josh najwyraźniej doszedł do wniosku, że to jest warte jeszcze jednej szkockiej. Podszedł do barku i odłożył pistolet, by wziąć do ręki kryształową karafkę.

– Niesamowity jesteś. Potrzebujesz przysługi? Jakiej?

– A jak myślisz? – odpowiedział pytaniem Creem. – Możesz to zrobić w dowolny sposób. Zastrzelić ją, pociąć, nie obchodzi mnie. Chcę tylko, żeby to się stało. Potem będziemy mogli ogłosić koniec.

– Czemu sam nie możesz?

Creem wskazał wysokie frontowe okno wychodzące na trawnik.

– Widziałeś ten samochód, który tam stoi? Obsiedli mnie ze wszystkich stron, Josh. Gdyby wzięli się za ciebie, też byś o tym wiedział. Proszę, ta jedna ostatnia przysługa. Tylko o to proszę.

Bergman opróżnił do dna kolejną szklanekę i dopiero wtedy odpowiedział:

– No dobrze, zgoda. Ale ty też musisz coś dla mnie zrobić.

– Co mianowicie?

Spojrzał Creemowi prosto w oczy.

– Chcę, żebyś mnie pocałował, Elijah.

Creem parsknął śmiechem, zanim dotarło do niego, że Josh mówi jak najbardziej serio. Oczywiście, że tak. To był ich wspólny żart, ale taki, który rozrasta się wokół ziarna prawdy. Josh pragnął go od czasów college'u.

I teraz nadarzała się ostatnia szansa na to, by coś się spełniło.

– Nie pocałuję cię, Josh.

– A więc dobrze.

Jednym szybkim ruchem Bergman upuścił szklankę na dywan i przystawił sobie pistolet do szeroko otwartych ust.

– Nie!

Creem skoczył i odtrącił jego rękę. Josh zatoczył się ze szlochom i poleciał twarzą na oparcie krzesła z jadalni. Ułamał mu się przy tym kawałek przedniego zęba i krwawiła warga, ale tego nie zauważył.

– Nie powstrzymasz mnie, Elijah.

– Jesteś niewiarygodny, wiesz o tym? – powiedział Creem. – Jezu Chryste!

Było oczywiste, że tylko w jeden sposób może pokonać tę przeszkodę. Złapał Bergmana za ramiona i go postawił. A później przygarnął do siebie. Pozwolił nawet, by trwało to długo. Było trochę obrzydliwie, trochę dziwnie i mocno załatywało trunkiem.

Kiedy się od siebie odsunęli, oczy Bergmana były czerwone i obrzmiałe, ale przynajmniej przestał się mazać. Usta miał umazane swoją krwią.

– Wiem, że nic nie poczułeś – rzekł. – Ale to nic, bo wiem, że mnie kochasz.

– Tak, Josh. Ale na litość boską, dosyć tej hysterii. Zakończmy sprawę z odrobiną godności. Jak mężczyźni.

Bergman wyszczerzył zęby w uśmiechu, przede wszystkim było od niego zmęczenie. Był wyczerpany.

– Cokolwiek każesz, Elijah. Powiedz tylko, co mam zrobić.

Rozdział 88

Skoro już mieliśmy głównego podejrzanego, Elijah Creem błyskawicznie został wzięty pod policyjną obserwację. Wachty wyznaczał kapitan D’Auria, moja zmiana przed domem Creema przypadła na tę noc, niezależnie od tego, czy właściciel będzie u siebie.

Stawiłem się o dwudziestej, żeby zluzować poprzedników, z komendy nadeszła wiadomość, że Creem wyszedł gdzieś ubrany w garnitur około dziewiętnastej trzydzieści. Wynajęty samochód podrzucił go do prywatnego domu na osiedlu 3000 przy Q Street, jednym z najbardziej ekskluzywnych w Georgetown. Po sprawdzeniu okazało się, że była to impreza dobroczynna, na której zbierano datki na młodocianych cukrzyków.

Wszystko do siebie pasowało. Doktor Creem nie był już mile widziany wśród socjety, chyba że mógł się wkupić.

Moim partnerem tego wieczoru był obdarzony grubym karkiem detektyw z oddziału pościgowego w drugim okręgu, Jerry Doyle. Od Sampsona dowiedziałem się, że ma ksywkę Buźka, i szybko zrozumiałem, skąd się wzięła. Zaczął zrzędzić, nim minęło pięć minut.

– Co my tu w ogóle robimy? Creem prysnął na imprezę, zabawia się z bogaczami i obżera kawiozem, a my tu siedzimy i rosną nam kamienie w nerkach. Taak, to bardzo mądre.

– No wiesz... – zacząłem, ale nie było mi dane dokończyć zdania.

– Już nie wspomnę, że jeśli się do czegoś zabierają, to niech to zrobią porządnie. Góra ściąga ludzi i zarządza nadgodziny, ale, moim zdaniem, nadal nie mamy tego gościa rozpracowanego. Gdybym ja był na jego miejscu i chciał przed nami czmychnąć, prawie na pewno by mi się udało.

– Nie zaprzeczę – powiedziałem. – Chyba jeszcze nigdy nie widziałem tak przeciążonych wydziałów śledczych.

– Skoro o tym mowa, zdawało mi się, że jesteś odsunięty od akcji – ciągnął Doyle. – Nie żebym cię oceniał. Ale jestem trochę zaskoczony, że cię tutaj widzę.

Nie za bardzo miałem ochotę, by omawiać swoją sytuację z Bużką, więc przez większość czasu słuchałem. Trwało to godzinami. Doyle’owi jakoś nie robiło to różnicy.

Wreszcie około północy odebraliśmy informację przez radio, że Creem ruszył w drogę. Opuścił przyjęcie z nieznaną kobietą i prawdopodobnie kierował się do domu.

– No chyba ktoś sobie robi jaja – rzucił Doyle. – Bo przecież facet wie, że na nim siedzimy, tak? I sprowadza sobie dziwkę?

Skinąłem głową.

– Myślę, że to część jego teatrzyku.

Creem niczego nie robił bez powodu. Zamacha nam przed oczyma swoją wolnością, a czemuż by nie. Nieważne, że same zarzuty o rozpowszechnianiu pornografii wystarczały, by trafił za kratki. Najwyraźniej postanowił sobie maksymalnie umilić pozostały czas.

Dziesięć minut później nadjechała czarna limuzyna i zatrzymała się przed podjazdem. Wysiadł szofer w uniformie, lecz Creem o krok go uprzedził. Obiegł auto i sam pomógł kobiecie wysiąść. Mleczne światło lampy gazowej na ganku pozwoliło mi zobaczyć, że jest wysoką blondynką, dokładnie taką, w jakich gustował doktor Creem.

Dłużej nie zdołałem wysiedzieć.

– Co robisz? – spytał Doyle, kiedy wyciągnąłem rękę do klamki.

– Co się da – odparłem, wysiadając. Ruszyłem na skos przez trawnik, by przeciąć parze drogę. Doszli do ceglanego muru przed domem Creema.

– Przepraszam! – zawołałem.

Kobieta drgnęła i ścisnęła rękę doktora.

– Wszystko w porządku – powiedział. – To funkcjonariusz, o którym ci opowiadałem. Sheilo Bishop, poznaj detektywa Crossa. Jest tutaj i pilnuje, żebym nie pociął cię na kawałeczki.

Kobieta przewróciła oczami i nie puściła ramienia doktora. Na jej palcach

dyndały pantofle na szpilkach; miała na sobie długą połyskliwą suknię, która ścieliła się wokół jej bosych stóp.

– Proszę wybaczyć, że panią wystraszyłem, pani Bishop, ale jestem trochę zaniepokojony tym, że wchodzi pani do środka. Wezwę pani taksówkę, jeśli można.

– A ja bym wolała, żeby pilnował pan swoich spraw, do cholery – warknęła.

Creem tylko się uśmiechnął, jakby dając do zrozumienia, że mamy załatwić sprawę między sobą.

– Powinna pani wiedzieć, dlaczego tu jesteśmy. Doktor Creem jest głównym podejrzanym w śledztwie dotyczącym serii morderstw w Georgetown. Zapewne pani o nich słyszała. Zdecydowanie sugeruję...

Jednak pani Bishop nie pozwoliła mi dokończyć.

– Tam za drzwiami stoi antyczny wieszak z mahoniu – oznajmiła, wskazując drzwi.

– Słucham?

– Na górze po lewej jest główna sypialnia. Elijah i Miranda trzymają tam kolekcję ceramiki Rookwood. A nad łóżkiem wisi rewelacyjny obraz Luciena Freuda. Mówić dalej?

Zdawało mi się, że panią Bishop zawstydziła moja obecność, ale się myliłem. Teraz wiedziałem, że kochanka Creema jest po prostu wściekła i pilno jej, by wejść do domu.

Rzucił przynętę, a ja ją chwyciłem, tak jak zaplanowałem. Niewiarygodne!

– Proszę się nie martwić, detektywie – rzekł wielkodusznie. – Tego rodzaju pomyłkę można zrozumieć. W każdym razie Sheila będzie miała zapewnione maksymalne bezpieczeństwo, skoro jest tutaj pan i pański partner. Mam rację?

Nie czekając na odpowiedź, otworzył kluczem drzwi i wpuścił panią Bishop przed sobą. Po chwili odwrócił się do mnie i uśmiechnął.

– Jeśli dzięki temu poczuje się pan lepiej, zostawię niezaciągnięte zasłony – powiedział cicho.

Następnie wszedł do środka, zamknął drzwi i zgasił za sobą światło.

Rozdział 89

Kilka następnych godzin było swego rodzaju torturą. Czułem się mocno ukąszony przez Creema; sposób, w jaki rozgrywał swoją partię, irytował mnie.

Na domiar złego Doyle nie odpuszczał ze swoim monologiem. Wiedział to i owo o prowadzeniu inwigilacji, a także o tym, w jaki sposób śledztwo powinno być zaplanowane, ale głównie opowiadał swoje rozwlekłe historyjki, które nikogo nie interesowały.

Okolo trzeciej w nocy pod dom zajęchała żółta taksówka. Minutę później zapaliło się światło na ganku i Creem wyprowadził panią Bishop. Miała na sobie ubranie, które, o ile mi było wiadomo, pochodziło wprost z garderoby pani Creem, a swoje niosła w torbie na zakupy.

Żadne nawet nie zerknęło w naszą stronę, dopóki Creem nie wsadził jej do taksówki i nie pożegnał. Następnie odwrócił się do nas i przyjaźnie pomachał ręką, po czym wszedł do domu.

– Ale lalunia – powiedział Doyle. – Nie jarzę. Co jest, że superlaski tak lecą na bogatych palantów? Właściwie nieważne. Sam odpowiedziałem na swoje pytanie. Ale mimo to...

Muszę nadmienić, że nie lubię gadać, kiedy przegrywam mecz. Na myśl o tym, że mam jeszcze przed sobą pięć godzin tej udręki, robiło mi się niedobrze.

– Doyle, nie zrozum mnie źle – odezwałem się. – Ale czy jest szansa na to, że dokończymy naszą zmianę, ograniczając trochę konwersację?

Obruszył się i nadąsał, ale jeśli taka miała być cena ciszy, gotów byłem ją zapłacić. Przy odrobinie szczęścia to będzie nasz pierwszy i ostatni wspólny dyżur.

Od tamtej chwili zrobiło się dość cicho w samochodzie i na zewnątrz. Creem nie zgasił świateł i kręcił się po domu, zajmując się swoimi sprawami. O piątej wziął gazetę z ganku i wszedł z powrotem do domu, a potem chyba udał się na górę. Później już go nie widziałem.

Nagle tuż po wschodzie słońca zadzwonił mój telefon.

To nic niezwykłego, że odbieram połączenia o wszelkich porach dnia i nocy. Spodziewałem się zobaczyć numer telefonu któregoś z kolegów lub numer Bree. Ale to nie był żaden z nich. Dzwoniła Stephanie Gethmann, opiekunka społeczna Avy. Momentalnie odgadłem, że coś się stało.

– Stephanie?

– Wybacz, że dzwonię tak wcześnie. Właściwie chciałam to zrobić wieczorem, ale... Oczywiście, sprawa jest skomplikowana.

– Chodzi o Avę, coś się stało – powiedziałem. Moje serce dudniło i robiłem w myślach przegląd rozmaitych możliwości. Przedawkowała? Uciekła? Miała wypadek?

– Ona zaginęła, Alex.

– Zaginęła? Co to znaczy?

– Wczoraj nie wróciła ze szkoły i nikt nie wie, gdzie się podziała. Mam nadzieję, że nie robię czegoś niewłaściwego, ale ty i Bree jesteście policjantami. Pomyślałam, że może...

Żałowałem tylko, że nie zadzwoniła wcześniej.

– Pewnie, że tak. Od razu się do tego zabierzemy. Mów wszystko, co wiesz.

Część czwarta

Wszyscy padnij

Rozdział 90

Bree i ja spędziliśmy poranek w samochodach, dzwoniąc do siebie i kierując zapytania do wszystkich, którzy mogli ustalić miejsce pobytu Avy.

Zacząłem od biur dochodzeń w sprawach związanych z młodzieżą, miałem w nich znajomych w pierwszym, trzecim i szóstym komisariacie policji. Obejmowały one ośrodek odwykowy Avy, jej szkołę, nasz dom i Seward Square, po którym się kiedyś włóczyła. Policja ma centralną bazę danych zaginionych dzieci, ale nic nie zastąpi ludzi, którzy dzień w dzień na własnych nogach chodzą ulicami. Dlatego trzeba pytać w każdym okręgu po kolei.

Wspólne zdjęcie zrobione nam przez Nessę w ośrodku okazało się cenniejsze, niż mogłem przypuszczać. Nie było nadzwyczajne, ale można je było pokazać ludziom. Rozesłałem je SMS-em do wszystkich, którzy przyszli mi na myśl.

Bree zaczęła od Howard House i zrobiła wywiady z dziewczętami, a także z Sunitą, kierowniczką z warkoczykami, którą poznaliśmy parę dni temu. Wyglądało na to, że nikt nie widział Avy od wczorajszego śniadania. Zachowywała się spokojnie, ale to nic nowego. I nic nie zginęło z jej pokoju. To znaczy, że nie planowała ucieczki.

Później Bree wybrała się na Seward Square, chodziła po osiedlu i szukała dawnych znajomych Avy. Powiedziała mi przez telefon, że natrafiła na dwóch, Patrice'a i K-Fly'a. Podobno żaden nie widział Avy od tygodni, ale wszystko, co mówią dzieci z ulicy, trzeba przyjmować ze szczyptą rezerwy. Bree wręczyła im wizytówki i obiecała sto dolców każdemu, kto dopomoże w znalezieniu Avy. Robiła wszystko, co się dało.

Ja uderzyłem do okolicznych szpitali i w końcu zwróciłem się do głównej jednostki antynarkotykowej MPD przy Trzeciej Ulicy w Northeast.

Chwytałem się słomek, ale przyszło mi na myśl, że jeśli ktoś będzie znał dealerów opylających oxy lub jego podróbki na ulicach uczęszczanych przez Avę, to może być punkt zaczepienia.

Im dłużej to trwało, tym gorsze miałem przeczucia. Tym gorsze, że w grę mogły wchodzić narkotyki, a takie przyjąłem założenie.

Opiaty są zapewne najsłabiej obecnie kontrolowanymi substancjami. Najbardziej poszukiwany na ulicach jest wysoko przetworzony towar farmaceutyczny; handlarze nieustannie to wykorzystują. Puszczają śmieci jako prawdziwe oxy i nie sposób skontrolować dawki, a tym bardziej składników takich ulicznych prochów. Nie bez powodu wspomnieliśmy Avie, że stale zdarzają się przypadki przedawkowania wśród młodzieży. W kraju panuje epidemia opiatów i w dużej mierze napędzają ją ludzie poniżej dwudziestego piątego roku życia.

Przyszło popołudnie, a my nadal nic nie mieliśmy. Trudno było uwolnić głowę od najgorszych ewentualności, do obłądu doprowadzała mnie myśl, że Ava gdzieś tu jest, a nam wyczerpały się koncepcje, gdzie jej szukać.

Wiedziałem, że muszę myśleć pozytywnie z powodu Nany i dzieci, że nie wspomnę o sobie. Jednak prawda była taka, że dręczyły mnie najgorsze przeczucia.

Rozdział 91

– Alex, gdzie ty, do diabła, jesteś?

Dzwoniła sierżant Huizenga. Jechałem właśnie z posterunku w szóstym okręgu do siebie w Southeast, gdy odezwała się komórka.

– Przepraszam, pani sierżant. Coś się stało w domu.

– No tak, ale potrzebujemy cię. Natychmiast.

– O co chodzi?

– Sheila Bishop, ta kobieta, z którą Creem spotkał się wczoraj w nocy. Znaleziono ją zabitą we własnym mieszkaniu.

Pewnie odczułbym mocniej ten cios, gdyby nie to, że właściwie byłem już odrętwiały. Mimo to poczułem się, jakbym dostał ręką w twarz.

– Creem jest w areszcie? – zapytałem.

– Nie – odparła zduszonym głosem Huizenga. – Zwalilo nam się na głowę kilka gładów naraz. Ten skurwiel zniknął.

Tego już nie zniosłem. Zahamowałem pośrodku D Street i zjechałem do krawężnika.

– Zniknął? Jak to w ogóle możliwe? Od wczoraj siedzimy mu na tyłku.

– Chyba wymknął się przez tylną część posesji, na to wygląda. Prysnał w las, a stamtąd Bóg jeden wie dokąd.

Najpierw przyszedł mi na myśl Jerry Doyle. Facet głądził o tym, że dozór nad Creemem jest niewystarczający, i miał rację.

Przypomniałem sobie, że działka graniczy z parkiem Glover-Archbold. Park biegnie od Cathedral Heights aż do Potomacu. Mieliśmy na oku przednią część domu Creema, ale nie było sposobu, by wziąć pod obserwację cały teren na tyłach. To była idealna dziura w naszej sieci. Teraz stało się to jasne.

– Rozesłaliśmy za nim list, ale teraz chcę, żebyś pojechał do mieszkania Sheili Bishop.

Podawała mi adres przy Logan Circle. Możliwość odmowy nie istniała. Jeśli chciałem zachować pracę, musiałem się tam stawić.

Mimo to po rozłączeniu się z Huizengą jechałem dalej w stronę domu. Do diabła z przepisami służbowymi. Musiałem zameldować się w rodzinie.

Bree zachęcała mnie, żebym pojechał. Wraz z Naną dyżurowały przy stacjonarnym telefonie i czekały na wiadomość od Stephanie. Jednocześnie Bree łączyła się przez komórkę z okręgami policyjnymi, szpitalem i ośrodkiem Howard House. Dzieci były u cioci Tii i w razie konieczności mogły tam zostać na noc.

– Jedź – powiedziała. – Jeśli coś się będzie działo, wystarczy jeden telefon. Sampson i Billie krążą w tej chwili po okolicy i wypatrują. Później możesz ich zmienić.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– W porządku – odparła Bree. – Ale co z tego? Jedź już.

Spojrzałem na Nanę, siedziała z dłońmi splecionymi pod brodą. Nie wiedziałem, czy się modli, czy tylko myśli, ale ona też nie wyglądała dobrze.

Ucałowałem obie na do widzenia i ruszyłem w drogę.

Rozdział 92

Sheila Bishop mieszkała w połówce kamienicy z wieżyczkami w północnej części Logan Circe. Jeśli nie liczyć garstki osób wyprowadzających psy na spacer w pobliżu pomnika Johna Logana i typowego dla tej pory dnia ruchu ulicznego, panował tam spokój. W każdym razie nie było reporterów. Błogosławiona ulga.

Na miejscu była już większość grupy dochodzeniowej oraz mobilna jednostka z laboratorium kryminalistycznego. Technicy stali w drzwiach, na schodach i zajęli całą sypialnię, w której przed paroma godzinami stróż znalazł zwłoki.

Tam też zastałem Valentego. Kiedy wszedłem, klęczał przy pani Bishop i spoglądał to na drzwi, to na okna.

Została trafiona jednym pociskiem w klatkę piersiową i wszystko wskazywało na to, że upadła przed otwartymi podwójnymi drzwiami garderoby. Nie mogłem stwierdzić tego na pewno, ale wydawało mi się, że ma na sobie te same rzeczy, w których wyszła z domu doktora Creema.

Na łóżku leżała torba na zakupy z Barneys, w środku była suknia wieczorowa i buty. Od Valentego dowiedziałem się, że wanna w łazience tuż obok była prawie do połowy pełna.

– To wygląda tak, jakby weszła do domu, rzuciła torbę na łóżko i zaczęła sobie przygotowywać kąpiel – powiedział. – Potem wyszła tutaj, żeby się rozebrać, i buch. Czekał na nią w garderobie. Żadnych śladów włamania. Creem mógł mieć klucz do tego mieszkania, to całkiem możliwe.

Większość jego wniosków brzmiała sensownie poza tym, który dotyczył Creema.

– Widziałem, jak o trzeciej rano odprowadzał ją do taksówki. Później już nigdzie nie wychodził. W każdym razie nie przed piątą. Nie ma mowy, żeby

dostał się tutaj przed nią.

– A zatem powstaje pytanie o czas zgonu – rzekł Valente.

– To jedno z pytań – zgodziłem się.

– Panowie detektywi?

Errico i ja odwróciliśmy się i zobaczyliśmy Manny’ego Lapore’a, jednego z techników laboratoryjnych, który stał w drzwiach łazienki. Trzymał przezroczysty akrylowy listek z ciemną plamą odcisku palca. Na pierwszy rzut oka było widać, że jest zbyt duży jak na ślad pani Bishop.

– Zdjąłem go z płytki na wannie – oznajmił Lapore. – Jest jeszcze parę podobnych na kurkach gorącej i zimnej wody. To może coś znaczyć.

W pierwszej chwili pomyślałem, że zabójca wszedł do łazienki i zakręcił wodę, bo po przelaniu się zwróciłaby czyjąś uwagę. Następna myśl była taka, że świadczyło to o jego nieuwadze, chyba że mu nie zależało. Albo nie myślał logicznie.

Zeszliśmy z Lapore’em na dół, żeby zobaczyć, czy odcisk palca na coś nas naprowadzi. Obecnie stosujemy automatyczne skanery do identyfikacji odcisków – kiedyś proces ten trwał godzinami, by nie wspomnieć o przejazdach do laboratorium – i można to zrobić wszędzie, jest to kwestia paru minut. Nawet nie zdążyłem połączyć się z Bree, a Lapore już znalazł odpowiednik w bazie danych i drukował wynik.

– No to macie gościa – rzucił. – Czy imię i nazwisko Joshua Bergman coś wam mówi?

Rozdział 93

Złapałem Bree telefonicznie, kiedy jechaliśmy z Valentem z Logan Circle do M Street, gdzie mieszka Bergman. Nie było nowych informacji o Avie. Na tym froncie panował dziwny spokój.

Tymczasem musiałem się skupić na tym, czym właśnie się zajmowałem.

Zebranie oddziału szturmowego może zająć godzinę lub więcej, lecz my nie mieliśmy tyle czasu. Przydzieliliśmy zadanie błyskawicznie skompletowanej grupie naszych ludzi. Po półgodzinie pięciu przeszkolonych taktycznie funkcjonariuszy z sierżantem czekało w gotowości przy Water Street, przecznicę od miejsca zamieszkania Bergmana.

Mieszkał na najwyższej kondygnacji drogiego loftu w dawnym młynie, zabytku z dziewiętnastego wieku, kiedy to Georgetown było dzielnicą przemysłową. Nasz obserwator umieszczony na dachu sąsiedniego budynku informował, że Bergman jest w domu sam.

Po krótkiej odprawie przeprowadzonej przez kapitana D'Aurię wsiedliśmy do dwóch pomalowanych na biało furgonetek i zatrzymaliśmy się za rogiem. Kierowcy wysiedli przodem, drzwi z tyłu rozsunęły się, a my ruszyliśmy gęsiego w kierunku wejścia do budynku.

Oprócz sześciu funkcjonariuszy z oddziału taktycznego w skład grupy wchodziłem ja, Valente oraz dwóch detektywów z wydziału przestępstw ciężkich. Ruszyliśmy schodami ku poddaszu. W najbliższej okolicy czekali rozstawieni funkcjonariusze i sanitariusze, D'Auria z nieliczną załogą siedział w ruchomym centrum dowodzenia przy Water Street.

Grupa szturmowa uzbrojona była w karabiny AR15 i pistolety SIG P226. W skład wyposażenia standardowego wchodziły także tasery i gaz pieprzowy.

Wyjąłem z kabury glocka, pierwszy raz od czasu, gdy przywrócono mi pełnię praw służbowych. Wszyscy mieliśmy na sobie kamizelki kevlarowe. Było nas aż zbyt wielu do zgarnięcia Bergmana, ale należało przypuszczać, że jest uzbrojony i niebezpieczny. Być może także nieco zdesperowany. Mógł oddać do nas strzały.

Kiedy dotarliśmy na drugie piętro, sierżant kiwnął dwoma palcami na dwóch funkcjonariuszy, którzy dźwigali dwudziestokilogramowy taran. Wszyscy mieliśmy słuchawki na uszach, lecz od chwili wkroczenia do budynku obowiązywała nas cisza radiowa.

Słyszałem, że Bergman mówi w środku mieszkania. Brzmiało to jak rozmowa telefoniczna.

– Gdzie się, do diabła, podziewasz? Mówiłeś, że będziesz tutaj godzinę temu. – Był mocno pobudzony i chyba się poruszał. Kiedy ponownie przemówił, jego głos zdawał się dobiegać z tylnej części mieszkania. – Nie obchodzi mnie. Nie... nie, po prostu słuchaj. Przyjeżdżaj tu! Natychmiast!

Czułem przyspieszony puls członków oddziału gotowego do akcji, sierżant odliczał na palcach: trzy, dwa, jeden. Dwaj policjanci na czele odwiedli taran i rąbnęli nim w stalowe drzwi. Klatka rozbrzmiała potężnym łoskotem. Zdradziliśmy swoją obecność.

– Pododdziały C i D, czekać w gotowości – powiedział przez radio sierżant.
– Podejrzany może próbować ucieczki.

Po następnych dwóch ciosach tarana drzwi wreszcie oderwały się od futryny i rozwarły. Moje spojrzenie skupiło się na otworze, sierżant ruchami ręki kierował funkcjonariuszy do wnętrza i popędzał.

– Raz, raz, raz, raz, raz!

Rozdział 94

Valente i ja nie czekaliśmy na zezwolenie, weszliśmy od razu po szturmowcach. W zwykłych okolicznościach personel dochodzeniowy nie opuszcza stanowisk i czeka na sygnał, ale w tej chwili żaden z nas nie miał tyle cierpliwości.

Za drzwiami otwierała się przestrzeń loftu, panująca tam czystość graniczyła ze sterylnością. Można było odnieść wrażenie, że Bergman kompletnie niczego nie ma. Na wielkim szarym dywanie wyglądającym jak wyspa pośrodku pomieszczenia stały białe modułowe sprzęty i wysoki fikus sięgający aż do odsłoniętych belek w suficie. Kuchnia ze stali nierdzewnej wyglądała, jakby nigdy jej nie używano.

Nie było widać ani śladu Bergmana. Szturmowcy posuwali się szybkimi skokami w głąb, kryjąc się wzajemnie, a następnie ruszyli długim korytarzem ku tylnej części budynku.

– Tu policja! Joshua Bergman?! – krzyknąłem. – Proszę zostać na miejscu! I nie ruszać się!

W samym końcu korytarza znajdowały się otwarte drzwi, światło wlewało się przez okna z żelaznymi ramami od posadzki do sufitu. Gdy tylko dotarł tam pierwszy funkcjonariusz, usłyszałem wrzask Bergmana:

– Odejdźcie ode mnie! Odsuńcie się!

– Proszę odłożyć broń! – krzyknął policjant. – Chcemy widzieć pana ręce, proszę położyć się na podłodze!

– Idź do diabła!

Kiedy wszedłem do pokoju, Bergman siedział po turecku na wielkim łożu na podwyższeniu, oparty plecami o pomalowaną ścianę z bloków betonu; w jednej ręce trzymał białego iPhone'a, w drugiej zaś mały pistolet Smith &

Wesson. Bardzo możliwe, że z tej samej trzydziestkidwójki zastrzelił wszystkie swoje ofiary, chłopców oraz Sheilę Bishop.

– Odłóż broń, Bergman! – rozkazałem. – Nie musisz tego robić.

– Taak? Naprawdę? – Był wyraźnie pobudzony, ale zarazem dość mocno skupiony. Patrzył mi prosto w oczy.

– Uspokój się – powiedziałem. – Wszystko po kolei, krok po kroku.

Opuściłem broń i zrobiłem krok w jego stronę. Zatrzymałem się, kiedy przycisnął sobie do brody lufę.

– Myślisz, że żartuję? – zapytał.

– Josh, nie rób tego, proszę.

– Za późno – rzekł. Uniósł iPhone'a do ucha i wypowiedział tylko jedno słowo: – Żegnaj.

Potem nacisnął spust pistoletu i wypalił sobie w głowę.

Bez względu na to, jak straszne rzeczy zrobił innym, koszmarnie było patrzeć, jak ginie w taki sposób. To był akt czystej irracjonalnej desperacji. Może nawet szaleństwa.

Że nie wspomnę o widoku, od którego przewracało się w żołądku.

Wszyscy ruszyli z miejsca. Nie było możliwości, by Bergman przeżył, lecz zgon należało potwierdzić. Sierżant podszedł prosto do ciała i zbadał puls na nadgarstku, a Valente zadzwonił do centrali.

– Oddano jeden strzał, obiekt leży nieruchomo. Rana postrzałowa zadana własnoręcznie. – Widząc, że sierżant kręci głową, dodał: – Brak oznak życia.

Pistolet Bergmana leżał na zakrwawionej pościeli, a jego telefon na podłodze. Na tym się skupiłem. Byłem raczej pewny, że wiem, z kim rozmawiał, ale w miarę możliwości należało to potwierdzić.

Podszedłem, podniosłem telefon i wybrałem ostatni numer. Od razu po pierwszym dzwonku odezwała się poczta głosowa:

„Witam – odezwał się znajomy głos – tu doktor Elijah Creem. Nie mogę w tej chwili odebrać połączenia, ale proszę zostawić wiadomość. Dziękuję i życzę miłego dnia”.

Rozdział 95

To zdarzenie niczego nie zakończyło. Byliśmy w samym środku.

Do tej pory, dysponując jedynie dowodami poszlakowymi przeciwko Creemowi, mogliśmy go tylko obserwować. W rozumieniu prawa śledzić kogoś z ulicy w jego domu to jedno, a wejść do środka to drugie. Sądy są na tym punkcie bardzo drażliwe.

Zakrawało więc na ironię, że impuls, którego potrzebowaliśmy, przyszedł nie od Creema, lecz od Bergmana, naszego domniemanego Rzecznego Zabójcy. To, że w ostatnich godzinach przed popełnieniem samobójstwa wielokrotnie dzwonił na komórkę Creema i jego telefon domowy, przechyli szalę na naszą korzyść. W ciągu godziny od śmierci Bergmana zdobyliśmy pozwolenie, by szukać dowodów w domu Creema i rozesłać za nim list gończy na całym Wschodnim Wybrzeżu. Był on opatrzony adnotacją, że poszukiwany może być w przebraniu. Zawierało zdjęcie z prawa jazdy i najlepszą, jaką udało nam się uzyskać, fotografię starszego mężczyzny w masce. Nie wykluczaliśmy jednak żadnej możliwości. Z łatwością mógł do tej pory zmienić wygląd, i prawdopodobnie to zrobił.

Uważałem, że Creem przez cały czas planował tę ucieczkę, co tłumaczyło jego otwarcie prowokacyjne postępowanie wobec policji. A także śmierć Sheili Bishop i Josha Bergmana. Czy posłużył się nimi, by rozsnuć wokół siebie zasłonę dymną w grze o najwyższą stawkę?

Jeśli tak, to zamiar się powiódł. Już straciliśmy do niego pięć, może dziewięć godzin, w zależności od tego, kiedy nam się wymknął.

Do przeszukania domu w Wesley Heights Valente i ja ściągnęliśmy jeszcze trzech detektywów i czterech ludzi z mobilnego zespołu laboratoryjnego. Jest to powolny, wymagający metodyczności proces, a do tego szalenie irytujący, kiedy podejrzany rozpoczął ucieczkę. Rozdzieliliśmy

między siebie trzy kondygnacje domu, by przetrząsnąć jak największą powierzchnię.

Zacząłem od parteru, Creem miał tam biuro, gabinet badań i poczekalnię z osobnym wejściem. Był również pokój telewizyjny i garaż, czyli w sumie mnóstwo miejsc do sprawdzenia.

Okazało się, że paru rzeczy nawet nie próbował ukryć. W ciągu pierwszych kilku minut znalazłem zestaw kosmetyczny w najwyższej szufladzie. Zawierał pigmenty barwiące, z dziesięć różnych małych pędzelków, butelkę kleju do charakteryzacji oraz wiele przedmiotów, których nie znałem. Może właśnie w tym miejscu wczoraj w nocy robił sobie nową maskę, podczas gdy ja siedziałem w samochodzie na ulicy i obserwowałem jego dom.

Co jakiś czas wybierałem jego numer. Nie spodziewałem się, że odbierze, ale uważałem, że warto próbować. Był jednym z tych, którzy lubią na odchodnym wypuścić strzałę do glin, jeśli tylko nadarzy się okazja.

Przez pierwszą godzinę powtarzała się ta sama odpowiedź, nagranie skrzynki głosowej. Zapewne wyłączył telefon, żeby wieże sieci komórkowej nie odebrały sygnału i nie zachowały śladu.

To jednak nie znaczyło, że pomyliłem się co do Creema. Musiał śledzić połączenia, bo kiedy zadzwonił mój telefon i odebrałem, po drugiej stronie był on.

Doktor Creem odpowiedział, rzecz jasna, na swoich warunkach.

Rozdział 96

Odbierając połączenie, zobaczyłem na wyświetlaczu nieznany numer.

– Detektyw Cross.

– To ja – odezwał się Creem. – Gwiazda tygodnia.

Podskoczyłem i uderzyłem się kolaniem o jego biurko. Valente wszedł właśnie do pokoju i pstryknąłem palcami, by zwrócić jego uwagę.

– Doktorze Creem – powiedziałem znaczącym tonem. – Trochę mnie pan zaskoczył.

Valente wyjął swój telefon i wybrał numer, pewnie chciał uruchomić namierzanie połączenia.

– Chciałem pomówić o Joshu – oznajmił Creem.

– O czym konkretnie? – spytałem.

– Nie żyje?

Valente dał mi ręką znak, żebym przeciągał rozmowę.

– Przez telefon nie będę z panem o tym rozmawiał. Proszę powiedzieć, gdzie pan jest. Spotkam się z panem w dowolnym miejscu sam, nie będzie innych policjantów.

Creem zamilkł, może po to, by się do siebie uśmiechnąć. Bawiła go ta sytuacja, bez wątpienia.

– Niech pan zapomni o tym telefonie, tak przy okazji. Kupiłem go przed godziną i wyrzucę po tym połączeniu.

Pewnie korzystał z jednorazówki kupionej w tanim sklepie. Z punktu widzenia gliniarza takie są najgorsze. Bywa, że nie sposób ich namierzyć.

Pomyślałem, że aby nakłonić go do mówienia, najlepiej będzie karmić jego przerośnięte ego. To był chyba jedyny język, jaki rozumiał.

– Wie pan, trwa w tej chwili wielki pościg za panem. Dał nam pan twarde orzechy do zgryzienia.

– I co, wpadliście na jakiś trop?

– Gdybyśmy wpadli...

– Oczywiście. Nie rozmawialibyśmy teraz – rzekł Creem.

Miałem świadomość, że nie mogę go traktować protekcyjnie. Jedno było pewne: nie jest głupcem. Coś mi mówiło, że jeśli teraz mi czmychnie, będzie po zabawie.

– Bardzo bym chciał wiedzieć, jak panu się to wszystko udało – powiedziałem. – Sprawa jest doprawdy fascynująca. Pan, Bergman, wszystko razem. Zakładam, że siedzieliście w tym obaj od samego początku.

Tym razem westchnął prawie z rozrzewnieniem.

– Właściwie zaczęło się w college’u. Już wtedy zasmakowaliśmy w tym, tak jak w tym starym wierszyku.

– Słucham?

– On lubił chłopców, a ja dziewczynki. Tak że wspólnie mogliśmy wylizywać talerz do czysta.

Jego poczucie dumy z dokonanego dzieła przyprawiało mnie o dreszcze. Dokądś zmierzał, lecz ani przez chwilę nie sądziłem, że powstrzyma się od zabijania.

– Więc co teraz? – spytałem. – Zniknie pan i nigdy więcej o panu nie usłyszymy?

– To jest jakiś pomysł.

– Wyjedzie pan z kraju?

Creem uchylił się od odpowiedzi.

– Zadzwoń, bo chciałem się dowiedzieć o Joshu – odrzekł. – Jeśli nie chce mi pan nic o nim powiedzieć, rozłączam się.

Spojrzałem na Valentego, ale on tylko pokręcił głową i przesunął palcami po włosach. Nie szło nam dobrze.

– Co chce pan wiedzieć?

– Zginął czy nie? – zapytał Creem.

– Tak – potwierdziłem. Wiadomość i tak znajdzie się niebawem we wszystkich serwisach.

– Gdzie?

– W swoim lofcie przy M Street.

– Nie. To znaczy, odgłos był taki, jakby się zastrzelił. W usta?

– Pod brodą.

– Boże. Strasznie to musiało potem wyglądać.

– Owszem – przyznałem. – To dla pana trudne? Ostatecznie był pan jego przyjacielem.

Creem zamilkł. Wytężyłem słuch, chcąc uchwycić istotne dźwięki w tle, ale na próżno.

– Jest pan lekarzem, Alex? – zapytał nagle.

– Psychologiem.

– A, no to ma pan temat do książki.

– Powiedziałem panu o Joshu. Proszę mi dać coś w zamian. Czy są inne ofiary, o których powinniśmy wiedzieć? Proszę powiedzieć, ile osób zabiliście przez te wszystkie lata.

– Przykro mi, ale wyczerpaliśmy na dzisiaj czas. Czyż nie takiej formułki używacie wy, świrolapy?

– Chwileczkę. Jeszcze jedno pytanie.

– Miło było, detektywie, ale chyba obaj wiemy, że jestem już daleko poza waszym zasięgiem. Na pana miejscu nie zadawałbym sobie aż tyle trudu.

– Creem, zaczekaj! – zawołałem, ale za późno. Już się rozłączył.

Odłożyłem komórkę i spojrzałem na Valentego. Po jego twarzy widziałem, że nic nie działał. I że jest porządnie wkurzony. Mieliśmy niezłą szansę dopaść Creema, a on znów prześlizgnął nam się między palcami.

Może już ostatni raz.

Rozdział 97

Wybierałem powtórnie numer Creema, ale odzywał się tylko syntezaator poczty głosowej. Doktor prawdopodobnie zniszczył telefon zaraz po rozłączeniu się ze mną.

Skierowałem uwagę na jego domowe biuro. Może znajdziemy jakąś wskazówkę, dokąd zamierzał uciec.

Wszystko wskazywało na to, że Creem lubi pedantyczną czystość. Może nawet graniczyło to z obsesją kompulsywną. Wszystko w domu było dobrze uporządkowane łącznie z dobranymi skrzynkami na listy, pojemnikiem na długopisy i zszywaczem, które leżały na biurku pod idealnie prostym kątem. Łatwo było dopatrzeć się w tym zewnętrznych objawów osobowości kogoś, kto pragnie kontrolować wokół siebie wszystko, od trywialnych drobiazgów codziennego użytku aż po ofiary, których ciała kroił superprecyzyjnymi nacięciami.

Morderstwa Bergmana także cechowało podobieństw, ale istniała pewna różnica. Z każdym zabójstwem Bergman mniej się kontrolował. Każdej kolejnej młodej męskiej dziwce zadawał więcej dźgnięć i okaleczeń niż poprzedniej. Teraz wyszło na jaw, że był tykającą bombą, która musi wybuchnąć. Creem przypominał raczej szwajcarski zegarek.

Odszedłem od biurka i okrążyłem gabinet, otwierając szuflady, zaglądając do segregatorów, nawet podnosząc meble, by pod nie zajrzeć. Dopiero gdy dotarłem do czarnej lakierowanej konsoli przy drzwiach, natrafiłem na coś, co nie pasowało do otoczenia.

Za szafką zauważyłem pudło z ułożonymi chronologicznie numerami periodyku wydawanego przez American Medical Association, obok zaś trzy cynkowe ramki do zdjęć. Wyglądały, jakby je tam wrzucono, a nie umieszczono świadomie.

Wyjąłem je i zobaczyłem, że większość szkła wyleciała, parę odłamków znalazło się na dnie szafki. Wszystkie fotografie przedstawiały bliskich Creema. Na jednej widać było rodzinę stojącą przed ogromną świąteczną choinką, druga ukazywała Mirandę Creem na plaży; w podwójnej składanej tkwiły zdjęcia córek Creema.

Wszystkie trzy kobiety, Miranda, Chloe i Justine, były atrakcyjne, wysokie i miały jasne włosy. Dziewczęta nawet bardziej niż matka przypominały ofiary Creema.

Rzucił się w oczy niezaprzeczalny, wiele mówiący szczegół. Wszystkie zdjęcia zostały przekłute ostrym przedmiotem, wyglądały, jakby ktoś przebił je na wylot nożyczkami. Każde trzy razy. Wszystko potrójne.

To je chciał zabić. Metodycznie, w symboliczny sposób wymazywał trzy kobiety, które odeszły od niego po skandalu. Gdyby zabrał się do nich od razu, byłoby to podejrzane. Wybrał więc opcję zastępczą. Łańcuch surogatek był potencjalnie nieskończony, być może pozwalał mu powstrzymać się od zabicia własnej rodziny.

A może stanowił jedynie wstęp.

Wbiegłem na górę, by znaleźć Valentego. Był w głównej sypialni na piętrze i przeglądał zawartość biurka pani Creem.

– Co jest? – zapytał.

– Gdzie przebywa teraz jego rodzina?

– W Rhode Island. Mieszkają w domu jej rodziców w Newport, tak ostatnio słyszałem. Dlaczego pytasz?

Uniosłem jedną z okaleczonych fotografii.

– Bo zdaje się, że on jeszcze nie skończył.

Rozdział 98

„Autobus numer pięćdziesiąt trzy do Nowego Jorku, Bridgeport, Providence i Bostonu zacznie przyjmować pasażerów za dziesięć minut. Pasażerów z biletami prosimy o przechodzenie do miejsca postoju”.

Elijah Creem stał przed lustrem w łazience na dworcu autobusowym w Filadelfii, patrzył na swoje odbicie i sprawdzał, czy jest gotów do następnego etapu.

Dotknął tyłu szyi; lateks był w tym miejscu przyklejony niewidzialnym klejem do skóry. Poklepał perukę i poprawił bieliznę. Dopiero teraz zrozumiał, przez co muszą przechodzić kobiety. Makijaż nie stanowił problemu, lecz gorset to całodzienna udręka.

Mimo to przebranie było niewiarygodnie skuteczne. Z brudnego, pokrytego smugami lustra spoglądał na niego ktoś inny. Była to kobieta w pewnym wieku, trapiąca nieokreśloną przypadłością, o skórze pokrytej plamami wątrobowymi i małym, lecz wyraźnym fałdem pod brodą. Nawet nakładki imitujące żółte zęby palaczki zostały wymodelowane każdy z osobna. Jeśli Creem stworzył kiedyś arcydzieło, to był nim właśnie ten kamuflaż.

Jak dotąd nikt nawet nie mrugnął okiem na jego widok. Ani stary grubas sprzedający bilety na Union Station, ani głupkowaty dzieciak, który przesiedział obok niego całą drogę z Waszyngtonu. Przebranie pozwoliło mu wyfrunąć niezauważenie ze stolicy, mimo że wsiadł do dziadowskiego autobusu Greyhound. Nie miało to być ostatecznie upodlenie w czasie tej małej wycieczki, lecz Creem miał nadzieję, że ostatecznie okaże się warte zachodu.

Rhode Island. Floryda. Ameryka Południowa. Taki był plan. Już załatwił sobie przewóz trynidadzkim statkiem handlowym z Miami. Stamtąd zostanie tylko skok na kontynent. Po dotarciu do Buenos Aires wybada wśród

chirurgów, do kogo można się zwrócić, żeby móc wykonywać poważne operacje.

Do tego czasu gdzieś się przyczai, to nie powinno być trudne. Miał jedenaście milionów w złocie, leżały na koncie numerycznym w Banco Macro. Przy zachowaniu ostrożności spokojnie wystarczy na życie. A ponieważ priorytety ekstradycyjne amerykańskich władz są takie, jakie są, nic nie będzie mu groziło. Najważniejsze były obecnie wojny narkotykowe. Kiedy oddali się na pewną odległość, nikomu nie będzie się chciało nim zajmować.

Na razie Elijah Creem był jeszcze w Stanach i doskonale wiedział, jak pozostać niewidzialnym nawet w publicznej damskiej toalecie.

Drzwi się otworzyły i odsunął rękę od twarzy. Z torebki – jednej z tych, których nie chciała Miranda – wyjął pomadkę w kolorze śliwkowym i skierował wzrok na lustro.

Obserwował odbicie młodej kobiety, która minęła go i weszła do kabiny. Miała jasne włosy i była ładna w tani sposób. Takie dziewczyny spotyka się podróżujące samotnie greyhoundem.

Czy była doskonała? W najmniejszym stopniu, lecz mimo to Creem poczuł lekkie swędzenie w dłoni. Chowając szminkę do torebki, przesunął palcami po rączce skalpela numer osiemnaście, wsuniętego w jedną z bocznych kieszeni.

Żółte majtki dziewczyny zsunęły się do sandałów tuż nad posadzką, on zaś odwrócił się powoli w stronę kabin. Jeszcze raz zerknął na drzwi.

Pokusa. Wielka pokusa. Od dawna nie miał okazji użyć prawdziwego instrumentu.

Na dworcu jednak panował tłok, a Creema czekała podróż. Już niebawem będzie wiele okazji do użycia skalpela.

– Hej! – Głos dziewczyny wtargnął w jego myśli. – Zajęte!

Spojrzał w dół i uświadomił sobie, że trzyma rękę na klamce kabiny. Jego płócienne espadryle rozmiar dwanaście bez wątpienia było widać pod ścianką.

– Och! – powiedział. – Przepraszam!

Creem niezbyt dobrze udawał damski głos, ale jakoś uszło. Widział teraz dziewczynę przez szparę, siedziała zgarbiona i ręką przytrzymywała dzielące ich drzwi.

– Możesz się odprężyć, skarbie – dodał. – Jesteś bezpieczna.

Nie odpowiedziała, bo w gruncie rzeczy dlaczego miałyby reagować? Nie mogła wiedzieć, że akurat tego dnia jest najfartowniejszym małym śmieciem w Filadelfii.

Doszedłszy do drzwi, Creem odwrócił się raz jeszcze.

– Wiesz, mogłabyś coś zrobić z tymi workami pod oczami, twój facet puści cię kantem – powiedział.

– Co?! – krzyknęła dziewczyna.

Ale Creema już nie było.

Rozdział 99

Kilka godzin później doktor Creem wysiadł z taksówki przed domem w Newport. Kierowca wyjął walizkę z bagażnika, powiedział do niego „pani”, życzył mu dobrej nocy, a potem odjechał.

Jak dotąd wszystko przebiegało pomyślnie.

Dom był ciemny, lecz Creem zabrał ze sobą jeden z kluczy Mirandy. Przeszedł pod zadaszonym podjazdem i dotarł do wielkiego korytarza biegnącego przez środek starego budynku. Takie domiszcza z ośmioma sypialniami i dwunastoma łazienkami nazywano w tych stronach domkami. Klasyczne niedopowiedzenie w stylu białych anglosaskich protestów.

W gruncie rzeczy to był idiotyzm. Miranda była bogata jak Krezus, na długo zanim się poznali. Jej rodzice, którzy wyjechali na urlop do Prowansji, dysponowali bezdenną fortuną czerpaną z setek tysięcy hektarów trzciny cukrowej na Hawajach i w Australii. Same akcje należące do Mirandy były warte sto milionów. Być może nie wyszła za Creema dla pieniędzy, ale było pewne jak wszyscy diabli, że z powodu pieniędzy się z nim rozwodziła. Ostatnie pół roku przemieniły ją w mściwą pazerną zdzirę. Ją i jej dwa małe klony. Utrzymanie kontaktów z żoną i córkami było niemożliwe, próby ratowania tych relacji nie miały sensu.

Wprost przeciwnie.

Creem tym razem nie dał się ponieść nostalgii i skierował prosto do tak zwanego pokoju błękitnego na drugim piętrze. Miranda lubiła go najbardziej. On również spędził w nim wiele dni i nocy. Chloe została poczęta w dziewiętnastowiecznym łóżku w kształcie sań, które w nim stało. Wszedł tam, żeby się przebrać.

Ściągnął maskę, sukienkę i ten przeklęty gorset i złożył wszystko starannie na łóżku. W walizce w opakowaniu z bąbelkowej folii spoczywały

zwinięte dwie inne maski, przygotowane na dwudniowy przejazd autobusami do Miami.

Wyjął kilka własnych rzeczy i szybko się przebrał. Wyjął także trzy pary stalowych kajdanek, rolkę czarnej taśmy do pakowania i małą zapieczętowaną butelkę wodzianu chloralu.

Od stolika w rogu przyniósł krzesło z prostym oparciem i postawił je pod oknem obok łóża. Wszystko było zaplanowane. Miranda będzie ostatnia w kolejności, ale przed pożegnaniem się ze światem obejrzy najlepsze przedstawienie w życiu.

Jedyną rzeczą, jaką ze sobą wziął, był skalpel. Starannie wsunął go do tylnej kieszeni, a następnie podszedł jeszcze raz do okna i wyjrzał.

Widać było stamtąd podjazd z białego żwiru, biegnący łukiem na tyłach domu ku podwórzu z parkingiem. Na razie nie było ani śladu Mirandy i dziewczynek, ale w głównym korytarzu leżała lokalna gazeta otwarta na stronie z repertuarem kin w Newport. Zapewne wkrótce się zjawią.

Creem stał przy oknie i obserwował podwórze, gdy nagle coś przykuło jego wzrok. Jakiś błysk albo odbicie ruchu w szybie.

Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył wysoką męską postać na tle drzwi sypialni oświetlonych lampą z korytarza.

– Elijah Creem? – powiedział mężczyzna. – Pójdzie pan ze mną. Jest pan aresztowany.

Creem nadal nie dostrzegł jego twarzy, lecz momentalnie rozpoznał głęboki ton głosu.

To był jego nowy najlepszy przyjaciel, Alex Cross.

Rozdział 100

Przypuszczam, że Creem doszedł do wniosku, iż lot samolotem będzie zbyt ryzykowny. Ponad pół dnia zajął mu dojazd do domu w Newport.

Ja uwinąłem się szybciej. Śmigłowcem FBI, dzięki uprzejmości Neda Mahoneya, znajdującego się na liście osób, którym bardzo dużo zawdzięczam, razem z Valentem dotarłem do Rhode Island w dwie i pół godziny. Wcześniej nawiązaliśmy kontakt z wydziałem śledczym w biurze szeryfa hrabstwa Newport. Dom, w którym mieszkała Miranda Creem z córkami, został opróżniony na długo przed przybyciem doktora Creema.

Ponieważ miałem z nim już kontakt, a także dlatego, że jestem psychologiem i że Josh Bergman popełnił samobójstwo, ustalono, że to ja pierwszy odezwę się do Creema. Miałem przyczepiony do paska komunikator radiowy i zapasowy mikrofon przy mankiecie. Tuż za drzwiami czekał oddział miejscowych policjantów i detektywów. Pomoc, w razie gdybym jej potrzebował, była na odległość jednego słowa.

Kiedy zapaliłem światło w sypialni, odniosłem wrażenie, że Creem ma pokancerowaną twarz. Naraz uświadomiłem sobie, że widzę pozostałości lateksu i kleju po masce, która pozwoliła mu dotrzeć aż tak daleko.

– Powiem szczerze, że pański widok mnie zaskakuje – powiedział doktor.

Zrobiłem ruch dłonią, w której trzymałem glocka.

– Proszę uklęknąć i spleść palce za głową.

Nie poruszył się. Widziałem, że ocenia swoje położenie i rozgląda się po pokoju. Nawet teraz szukał drogi ucieczki.

– Mam prawo tutaj przebywać. – Przyjął typową dla siebie pozę wyższości. – Otworzyłem sobie drzwi kluczem. To pan tutaj wtargnął. Ja przyjechałem, żeby spotkać się z żoną.

– O tak, pewnie – odparłem. – Córki też chciałeś zabić, Creem?

Wyszczерzył zęby w uśmiechu; już widziałem u niego tę minę. Elijah Creem w najczystszej postaci, stąpający po wąskiej linii oddzielającej pewność siebie od socjopatii.

– Odrobina *déjà vu*, co? – powiedział. – Tamtego wieczoru w Georgetown, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, zaproponowałem panu dwadzieścia tysięcy, a może trzydzieści za umożliwienie wyjścia oknem.

– Pamiętam, że na nic się to panu nie zdało.

– Owszem, nic mi nie dało. – Kiwnął kilka razy głową, jakby wreszcie dochodził do logicznego wniosku.

Jednak postąpił inaczej. Chwycił w obie ręce wysokie drewniane krzesło, zamachnął się i cisnął nim w witrażowe okno. Szkło posypało się jak deszcz, a Creem wspiął się na parapet, by wyskoczyć.

Byłem za nim, lecz mało brakowało, żebym się spóźnił. Ale zdążyłem. Zacisnąłem rękę na jego koszuli, zanim spadł. Materiał napiął się i rozdarł, lecz wytrzymał. Ciało Creema odbiło się mocno od muru. Na krótką chwilę straciłem oparcie i omal nie wypadłem razem z nim przez okno. Gdyby na parapecie zostały odłamki szkła, wbiłyby mi się prosto w brzuch.

– Podaj mi rękę! – krzyknąłem do Creema, który szarpał się, zwisając za oknem. Wokół domu gromadzili się funkcjonariusze, słyszałem, że inni wchodzą drzwiami do pokoju.

– Puszczaj! – zawołał. Usiłował zdjąć koszulę, ale wychyliłem się, złapałem go za ramię i wciągnąłem do środka.

Wtedy wyjął skalpel, czego nie przewidziałem. Wyszarpnął go nagle i wbił czubek w wierzch mojej dłoni.

Dojmujący ból przeszył całą moją rękę. Ryknąłem i puściłem go, zanim zdołałem się powstrzymać. To był odruch. Krople krwi z mojej dłoni poleciały za nim ku ziemi trzy kondygnacje niżej.

Zamachał ramionami w powietrzu. Ciało zakręciło się, Creem nie miał czasu na to, by się wyprostować. Nogi złamałyby się tak czy inaczej, lecz upadł na plecy i z okropnym łupnięciem uderzył o powierzchnię patio.

Kilku funkcjonariuszy, między innymi Valente, otoczyło go ciasno z bronią w rękach.

– Nie ruszaj się! – krzyknął jeden z nich. – Zostań tam, gdzie jesteś!

Wezwanie było zbyteczne. W pierwszej chwili pomyślałem, że Creem zginął. Potem usłyszałem cichy jęk. Odwrócił nieco głowę i jęknął jeszcze raz.

Kariera doktora Creema dobiegła końca.

Wreszcie.

Rozdział 101

Gdy tylko technicy z laboratorium medycznego znaleźli się na miejscu, zostawiłem Valentego w Rhode Island i poleciałem nocnym samolotem do Waszyngtonu.

W czasie lotu nie odbierałem żadnych wiadomości, lecz Errico zadzwonił do mnie, jak tylko wysiadłem w Quantico. Okazało się, że przy upadku Elijah Creem złamał kręgosłup, pękły mu dwa kręgi. Zanim odwieziono go do szpitala w Newport, przyznał się do wszystkiego. Ze słów Valentego wynikało, że upadek przysporzył mu złamań nie tylko w sensie fizycznym. Resztę życia miał spędzić w więzieniu, a do tego na wózku inwalidzkim. Nie mogę powiedzieć, że było mi z tego powodu przykro.

Zobaczę go znowu w czasie procesu, teraz jednak miałem inne sprawy na głowie.

A właściwie jedną. Była nią Ava.

Nie zajrzałem do domu, lecz pojechałem prosto na komendę. Korzystając ze spokojnych godzin nocnych, napiszę raport i wrócę do rodziny, zanim biuro zacznie się napełniać.

Ilość papierowej roboty przy takim śledztwie jest oszałamiająca. Lwia część przypadnie Valentemu, ale także Jacobs, bo to ona prowadziła sprawę Rzecznego Zabójcy. Każda teczka przejdzie przez co najmniej siedmiostopniową kontrolę, zanim ostatecznie zostanie podpisana. Bywało, że procedury trwały ponad pół roku. Właśnie to najbardziej powstrzymuje mnie przed dążeniem do pięcia się wyżej po drabinie waszyngtońskiej policji. Na pewnym poziomie okazuje się, że więcej czasu spędza się nad papierami niż w prawdziwej policyjnej robocie w terenie.

O siódmej miałem gotowy pełny raport z wydarzeń minionej doby i przekazałem go sierżant Huizendze, kiedy przyszła rano do pracy. Zdążyła

już porozmawiać z Valentem i była w tak świetnym nastroju, jakiego nie widziałem u niej od tygodni.

To dobrze, bo musiałem wręczyć jej raport, a jednocześnie poprosić o kilka dni wolnego.

– Wiem, dopiero co wróciłem do pracy – zacząłem – ale Ava zaginęła i nie ma jej już od trzech dni...

Huizenga potraktowała rzecz z błogosławionym luzem. Przyjęła raport i machnęła ręką.

– Zjeżdżaj, zanim zmienię zdanie. Znajdź dziewczynkę i wracaj, jak tylko będziesz mógł. I nie wyłączaj telefonu!

Miałem świadomość, że tego dnia odbiorę co najmniej dwadzieścia telefonów z milionem pytań o Creema i Bergmana, ale przynajmniej zyskałem niezbędny czas na przywrócenie porządku wśród swoich priorytetów.

Po pierwsze, do domu.

Rozdział 102

Opuściłem komendę i zdążyłem dotrzeć do domu, zanim dzieci wyszły do szkoły. Słowo „wyczerpanie” nie opisywało mojego stanu. Po przekroczeniu pewnego punktu zmęczenie gdzieś znika i włącza się adrenalina. Rozwiążę kwestię snu, kiedy będę mógł.

– Kto ty jesteś, bo zapomniałam? – zapytała Jannie, uśmiechając się nad jajecznicą. Przed chwilą wziąłem szybki prysznic i wszedłem do kuchni.

– Jestem Niewidzialny Pan. Możesz mnie nazywać Ralph E.

– Cześć, Ralphie! – odezwał się Ali. – Miło cię poznać.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego – rzuciła Nana. – Wypalisz się do cna. A jeśli tego nie zauważyłeś, nadal mamy w rodzinie sytuację awaryjną.

– Właśnie dlatego jestem w domu – odparłem. Podszedłem do niej z boku i uścisnąłem ją, kiedy stała przy kuchence; przy okazji gwizdnąłem kawałek cieniutkiego bekonu z papierowego ręcznika, na którym go suszyła. – Podrzucę dzieci do szkoły, a potem znów zacznę jej szukać. Przez cały dzień, jeśli będzie trzeba.

Nie padło ani jedno słowo o Elijahu Creemie ani Joshu Bergmanie. Bree już wiedziała, a poza nią nikt w rodzinie nie musiał się takimi sprawami przejmować. Specjalnie nie włączyliśmy telewizora.

– Chcę, żebyś umówił się na spotkanie z doktor Finaly – powiedziała Nana, kiedy dzieci zakładały okrycia w przedpokoju. – O własnym ogródku także nie wolno zapominać, mój panie.

– Zabawne, że to mówisz. To samo przyszło mi na myśl.

Adele Finaly to psycholożka, do której chodzę od czasu do czasu, czasami częściej niż inni. Zawsze mogę na nią liczyć, kiedy potrzebuję inteligentnej, obiektywnej opinii o moim życiu, pracy i rodzinie, zwłaszcza że te trzy sfery mają zwyczaj katastrofalnie na siebie wpadać. Przy pierwszej nadarzącej

się okazji złożę stopy na kozetce Adeli, oczywiście w przenośni. Ale nie dzisiaj.

Gdy tylko Ali i Jannie znaleźli się w szkole, zatoczyłem koło i skontaktowałem się z policjantami patrolującymi ulicę i detektywami z obyczajówki, z którymi współpracowałem po zaginięciu Avy.

Frustracja i prawie nic poza tym. Nikt się niczego nie dowiedział. Wyglądało to coraz gorzej i zdawałem sobie z tego sprawę. Wszystkim powiedziałem to samo. Jeśli choćby mignie im ktoś przypominający Avę, mają natychmiast do mnie dzwonić. Wtedy ja przyjadę i zajmę się resztą.

Najtrudniejsze były telefony do wydziału do spraw prostytucji i ich biur terenowych. Czy mi się to podobało, czy nie, istniała pewna parszywa możliwość, którą należało wziąć pod uwagę. Uzależnienie od narkotyków i brak pieniędzy, a także historia rodzinna Avy mogły doprowadzić do tego, że zaczęła się puszczać za pieniądze lub za prochy, jeśli wpadła w desperację.

Ilekcję o tym pomyślałem, czułem się tak, jakby przejechał przeze mnie czołg. Ta dziewczynka miała czternaście lat! Czy to byłoby coś niesłychanego? Bynajmniej. Nikt lepiej niż ja nie wie, że życie na ulicach stolicy może się zrobić diabelnie ponure.

Ale tu chodziło o Avę. Naszą Avę. Żadne z moich posunięć nie przybliżyło mnie ani trochę do jej odnalezienia.

Zacząłem wątpić, czy cokolwiek może to zmienić.

Rozdział 103

Minęły jeszcze pełne dwa dni, nim w końcu usłyszeliśmy wiadomość o Avie.

W środę wpadłem do domu, żeby spędzić parę godzin z rodziną przed ponownym wyjściem. Szukałem na przemian w dzień i w nocy, przeczesując ulice z długiej listy, na których, moim zdaniem, mogła się pojawić.

Siedziałem na kanapie z dziećmi, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Wstałem i poszedłem otworzyć. Każdy dzwonek w tych dniach przynosił i nadzieję, i strach; może tym razem czegoś się dowiemy.

Tak też się stało.

Na ganku stał Sampson. Nie potrwało długo, zanim go rozgryzłem. Nie wszedł od tyłu, jak zwykle, i miał łzy w oczach. Od razu wiedziałem, dlaczego przyszedł.

Jakby krater otworzył mi się w piersi. Szczęki mi się zacisnęły, coś w środku pchało moje myśli ku innemu wnioskowi. Może źle odczytuję wyraz jego twarzy, myślałem, choć wiedziałem, że tak nie jest.

Nie musiał nic mówić. Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

– O Jezu, John – wykrztusiłem.

Przycisnął mnie mocno do siebie, kładąc rękę na tylnej części mojej głowy.

– Tak mi przykro, Alex. Tak mi cholernie przykro.

Znałem to już. Sam utraciłem bliskich, bywało, że musiałem przekazywać ludziom najgorsze wiadomości, jakie mogli usłyszeć. Nic, ale to nic nie zdoła tego ułatwić.

Ava zginęła. Teraz wiedziałem na pewno. A mimo to miałem wrażenie nierealności.

Odstąpiłem od Johna.

– Gdzie?

– W opuszczonym budynku mieszkalnym obok nabrzeża, po drugiej stronie rzeki. Ćpuny stale tam urzędują. To było... Jezu, Alex. Straszna scena. Wzięli próbki, ale...

Po mojej twarzy spływały łzy, jednocześnie narastał we mnie gniew. Sampson z trudem zmuszał się, by to z siebie wydusić.

– Mów wszystko – rzuciłem. – Co jeszcze wiesz?

Wziął długi oddech.

– Ciało było spalone, nie do rozpoznania. Nie wiem dlaczego. Może zdobyła działkę i ktoś chciał ją odebrać. Może ktoś zabił ją przez przypadek i chciał zatrzeć ślady.

– Ale to była ona? – spytałem. – Na pewno?

– Młoda kobieta. Afroamerykanka. Wzrost i budowa ciała Avy. I jeszcze jedno, Alex. Znaleźli to przy zwłokach.

Otworzył kopertę i wysypał mi na dłoń poczerniałe kawałki medalionu Nany. Połówki połączone zawiasem odpadły od łańcuszka, zdjęcia w środku spaliły się lub zginęły, ale z całą pewnością był to naszyjnik, który Nana podarowała Avie w dniu, w którym ta się wyprowadzała. Odczytałem wygrawerowane inicjały R.C. na odwrocie – Regina Cross.

Raptem drzwi się otworzyły i pojawiły się w nich Nana i Bree.

– Co się tutaj dzieje? – zapytała Nana i znieruchomiała, gdy na nią spojrzałem. W taki sam sposób wyczytałem prawdę z wyrazu twarzy Johna.

Jej wzrok powędrował ku kawałkom medalionu w mojej dłoni; wyciągnąłem ręce i mocno ją przygarnąłem.

– Nie – powiedziała i najpierw zeszywniała, a potem błyskawicznie ugięły się pod nią kolana. – Nie, nie, nie. Nie nasza panna Ava. Panie Boże. Proszę, nie!

– Ona odeszła, Nano – odezwałem się. – Tak bardzo mi przykro.

Bree także płakała, dzieci stały za nią i spoglądały szeroko otwartymi oczami. To było jak falujący ból serca, widziałem ich twarze i wiedziałem, co muszę im powiedzieć.

Moje myśli jakby się oddaliły. Bez słowa weszliśmy do domu. Sampson

został na zewnątrz. Nie pożegnaliśmy się. Zostawił nas z naszą żałobą, a my musieliśmy jakoś wytłumaczyć Jannie i Alemu, w jaki sposób coś takiego mogło się zdarzyć.

Dlaczego coś takiego jest możliwe.

Rozdział 104

Nie wierzę w mściwego Boga, ale przyznaję, że przez pierwszych kilka godzin czułem się skołowany. Jak to się mogło stać? Dlaczego? Przede wszystkim – dlaczego?

Czyżbym zrobił coś, co ściągnęło to wszystko na moją głowę? I na głowę moich bliskich?

I Avy?

Takich pytań nie zadaję sobie zbyt często i nie przychodzą mi lekko. Musiałem jednak zmierzyć się z faktem, że w mniejszej lub większej mierze doprowadziły mnie do tej chwili wybory, których dokonałem. Nigdy się nie dowiem, czy mogłem postąpić inaczej i temu zapobiec.

Jannie i Ali zareagowali na wiadomość zupełnie inaczej. Usiedliśmy wszyscy, porozmawialiśmy i razem płakaliśmy, a później Jannie zamknęła się w sobie. Powiedziała, że chce być sama w swoim pokoju i wszystko sobie przemyśleć; pozwoliliśmy jej.

Ali trzymał się blisko nas. Wydaje mi się, że dorósł już do tego, by zrozumieć, co się zdarzyło, ale nie zdążył jeszcze czegoś podobnego poczuć. Wieczorem długo mu czytałem i po zgaszeniu światła trzymałem go za rękę, bo o to prosił.

– Aż do zaśnięcia – powiedział. – Dobrze, tato?

– Jasne, koleżko – odparłem i zostałem przy nim, a on powoli usypiał.

Sam nie wiedziałem, którego z moich dzieci jest mi najbardziej żal. Pewnie wszystkich. Oraz Avy.

Kiedy rozmawialiśmy z Damonem przez telefon, poprosił, żeby mógł przyjechać do domu nazajutrz rano, pierwszym autobusem. Powiedziałem, że nie musi, jeśli nie chce, ale ucieszyłem się, gdy nalegał. Czułem, że tak jest słusznie, że teraz wszyscy powinniśmy być razem.

Nana położyła się wcześniej, lecz Bree i ja siedzieliśmy do późna na poddaszu i rozmawialiśmy. Chciałem powiedzieć, że jeszcze nie myślę o dochodzeniu w tej sprawie, ale myślałem. Bree także. Byliśmy bardzo zaangażowani w poszukiwanie Avy, mieliśmy już w głowach zalążek pomysłu, gdzie zacząć pytać.

– Ktokolwiek jej to sprzedał, ktokolwiek to zrobił... znajdziemy go – powiedziała Bree. – I zapłaci za to, Alex. Możesz być tego pewien.

Tamtej nocy była z nas wszystkich najsilniejsza. Na swój sposób stała się podporą naszej rodziny, o której nawet nie wiedzieliśmy, że jej brakuje, dopóki się nie pojawiła. Kocham ją bardziej za każdym razem, gdy o tym pomyślę.

– Dziękuję – powiedziałem. – Dziękuję za to, że jesteś moją żoną. I za to, że zjawiałaś się w moim życiu, kiedy najbardziej cię potrzebowałem. Nie wiem, czy zdołałbym...

– Oczywiście, że zdołałbyś – wpadła mi w słowo. – Radziłeś sobie przez te wszystkie lata. Ale też się cieszę, że tu teraz jestem. Kocham cię, Alex. I kocham tę rodzinę. To się nigdy nie zmieni.

Poszliśmy do łóżka i kochaliśmy się, a potem płakaliśmy, trzymając się w ramionach.

Aż do zaśnięcia, tak jak Ali.

Rozdział 105

Następnego dnia wyznaczyliśmy sobie zmiany, Bree i ja. Rano zostałem w domu z Naną i dziećmi, ona zaś wyszła, by zawiadomić jak najwięcej osób ze szkoły Avy.

Kiedy wróciła, zjedliśmy wszyscy razem lunch, mimo że nikt nie był głodny. Później ja wyszedłem na popołudniową zmianę. Formalnie rzecz biorąc, byłem w żałobie, miałem wolne. Zostawiłem pistolet w domu, ale zabrałem odznakę.

Jedne z pierwszych kroków skierowałem do Howard House. Pozostawałem w kontakcie z Sunitą, kierowniczką ośrodka, zgodziła się zwołać ogólne zebranie zaraz po lekcjach. Kiedy tam dojechałem, wszystkie jedenaście dziewcząt czekało wraz z personelem w dużym pokoju.

Wiedziały o śmierci Aby i widziałem, że niektóre płakały, lecz kiedy przed nimi stanąłem, zdążyły już wziąć się w garść. Przypomniało mi to Avę, jej uporczywą chęć, by okazywać jak najmniej emocji.

– Wiem, że odpowiadałyście już na niektóre z tych pytań – zacząłem. – Chcę jednak, żebyście wszystkie mocno się zastanowiły. Czy któraś przypomniawszy sobie coś z tego dnia, w którym Ava zniknęła? Coś, co nie przyszło jej na myśl wcześniej ani później?

Odpowiedziało mi ogólne milczenie. Częściowo ich reakcję można było wytłumaczyć tym, że już to przerabialiśmy. Ale tylko częściowo. Na ulicach obowiązuje pewna niepisana zasada, a wiele spośród tych dziewcząt przyszło z ulicy. Granica między pomaganiem a kablowaniem jest w najlepszym razie szara. Najbezpieczniej jest trzymać buzię na kłódkę, zwłaszcza jeżeli ktoś słyszy. Można to uznać za apatię, miałem jednak świadomość, że rzecz jest bardziej złożona.

Zadałem jeszcze kilka pytań, ale nic mi to nie dało, dopóki nie przeszedłem do rozmów indywidualnych. Sunita pozwoliła mi skorzystać ze swojego gabinetu i przyprowadzała dziewczęta jedną po drugiej.

Nessa, koleżanka Avy z pokoju, przysłała piąta. Widziałem, że się popłakała, choć starała się to ukryć.

Odgadłem również, że coś ma w zanadrzu. Zrozumiałem to, gdy tylko weszła.

Usiedliśmy po tej samej stronie biurka Sunity na dwóch składanych krzesłach. Nessa trzymała stopy wysunięte i spoglądała na telefon częściej niż na mnie. Raz po raz obracała go w dłoni.

– Jesteś jakaś spięta – zauważyłem.

Nie podniosła głowy, tylko zaczęła mówić.

– Żeby nie było, że coś do tej pory ukrywałam, okay? Nawet pana o to zapytałam, kiedy byliście tu pierwszy raz.

Przywołałem wszystko to, co zapamiętałem z tamtego spotkania na ganku. Zrobiła nam zdjęcie, tyle sobie przypomniałem.

– O co zapytałaś?

– No właściwie to nie pana – sprostowała.

– Nessa, wykrztuś to wreszcie. O co chodzi?

– O chłopaka Avy, no nie? Zawsze mówiła, że nic sobie z niego nie robi, ale jeśli chce pan wiedzieć, to myślę, że po prostu się wstydziła. Ten chłopak... on był stary.

– Co to za jeden? Jak go poznała?

Nessa wzruszyła ramionami i wydeła usta.

– Powiedziała tylko, że ma na imię Russell. To od niego brała towar.

To imię podziałało na mnie jak wstrząs elektryczny. Czy to mógł być ten Russell? Widmowy chłopak, którego poszukiwaliśmy w związku z zabójstwem Elizabeth Reilly? Porywacz Rebekki Reilly?

A może to tylko koszmarny zbieg okoliczności?

Starałem się zachować spokój, ale nie było to łatwe. Mój mózg pracował na przyspieszonych obrotach.

– Nesso, co możesz mi o nim powiedzieć? Wiesz, jak on wygląda? Może

jakim jeździ samochodem?

– Jeepem – odparła bez wahania. – On był biały, ale Avie to nie wadziło. Wydaje mi się, że przypasował jej ten jeep, no i może jeszcze to, co ten facet jej dawał, kuma pan. Nie żebym chciała kogoś urazić.

Zrobiło mi się niedobrze. Nie mogłem stwierdzić, czy to ten sam mężczyzna, ale podobieństwa same się nasuwały. Zbieżności z przypadkami Elizabeth Reilly i Amandy Simms. Wszystkie dziewczęta były w jakiś sposób oderwane od rodzin.

Młode, bezbronne, samotne.

Na myśl, że ten potwór szprycował Avę prochami, obietnicami, seksem, czymkolwiek, zebrało mi się na wymioty.

– Powiedziałaś, że był biały – naciskałem. – Co jeszcze?

Dziewczyna usiadła trochę prościej i zaczęła stukać kciukiem w telefon.

– Mam zdjęcie, o – odparła. Chyba ucieszyła się, że nie czepiam się jej o to, że tak długo trzymała dla siebie tę wiadomość.

Przerzuciła kilkadziesiąt fotek i doszła do tego, którego szukała. Uniosła komórkę, żebym mógł spojrzeć.

– O, tu jest. Ava mignęła mi kiedyś na Eastern, gadała z tym gościem, widzi pan? Ona nawet nie wiedziała, że je pstryknęłam, ale dałam jej luknąć i przestała mi ściemniać, że wcale nie ma żadnego chłopaka.

Zdjęcie zostało zrobione z odległości kilkudziesięciu metrów. Ava stała plecami do aparatu, jednak bez trudu rozpoznałem jej wysoką szczupłą sylwetkę i zamszowe botki, które nosiła prawie stale od dnia, w którym Bree je dla niej kupiła.

Ale to nie wszystko. Rozpoznałem także szarozielonego jeepa na zdjęciu oraz rosnącego brodatego mężczyznę za kierownicą.

Był nim Ron Guidice.

Rozdział 106

Nie wiem, czy potrafię wytłumaczyć, co się ze mną później stało. I czy mogę to w pełni pojąć.

Odjeżdżając z Howard House, miałem wrażenie, jakby nie istniały słowa na opisanie tego, co czuję. Nie było we mnie nic oprócz czystego, rozpalonego do białości gniewu. On i zdjęcie z telefonu Nessy paliły mi mózg jak nic innego.

Ledwo pamiętam, jak dojechałem do domu. Kiedy wszedłem, byli tam Bree, Sampson i Billie; siedzieli w kuchni przy stole. Musiałem wyglądać okropnie, bo nagle znieruchomieli i tylko się na mnie gapili.

– Alex? – odezwała się Bree. – Co się stało?

Stanąłem przy stole, opierając się obiema rękami o krzesło.

– Gdzie są dzieci?

– Wyszły z Naną do sklepu. Billie potrzebowała mąki kukurydzianej. Dlaczego pytasz? Co się stało?

– To był Guidice – odpowiedziałem, wychodząc. Kierowałem się korytarzem w stronę schodów.

– Poczekaj! – Bree doganiała mnie. – Co Guidice?

Wbiegając po dwa stopnie naraz, próbowałem jej wyjaśnić, co pokazała mi Nessa. Słowa niemal więzły mi w gardle. Trudno było się skupić na czymkolwiek oprócz tego, co sprowadziło mnie do domu.

– Zgłosiłeś to? – zapytała Bree, kiedy weszliśmy do sypialni.

– Nie. Wychodzę teraz, sam go dopadnę.

Otworzyłem drzwi szafy i zacząłem otwierać szyfrowy zamek. Nie miał tabliczki z klawiaturą, trzeba było wybrać kombinację dwadzieścia trzy w prawo, trzydzieści dziewięć w lewo i dziewięć w prawo.

Wyjąłem glocka i magazynek, wepchnąłem magazynek na swoje miejsce i wsunąłem pistolet do kieszeni marynarki. Nie zwracałem sobie głowy kaburą.

– Czekaj – powiedziała Bree, wyjmując swój pistolet z szafy, zanim zamknąłem drzwi. – Jeśli chcesz go aresztować, idę z tobą.

– Nie chcę go aresztować.

Chwyliła mnie za rękę i popatrzyła mi głęboko w oczy. Gdyby moje myśli krążyły po właściwych torach, zrozumiałbym od razu, że powinienem się opamiętać i wziąć do ręki telefon. Albo wysłać zamiast siebie Sampsona. Ale postąpiłem inaczej.

W tamtej chwili wiedziałem na pewno tylko jedno: że nikt nigdy nie zasłużył na śmierć tak bardzo jak Ron Guidice.

Nim Bree zdołała mnie powstrzymać, już zbiegałem po schodach do tylnego wyjścia. Może zanim wytropię Guidice'a, zapanuję nad sobą, może znajdę jakiś powód, by tego nie zrobić. A może nie.

Naprawdę tego nie wiedziałem.

Rozdział 107

Ron Guidice zerwał słuchawki z uszu, wyciągnął spod fotela dziewięćmilimetrową berettę i wysiadł z jeepa.

To było tak, jakby pistolet startowy wystrzelił. Znów czuł napięcie mięśni gotowych do szybkich skurczów; jego ciało zostało kiedyś wyćwiczone, by reagowało bez ingerencji umysłu. W chwili gdy Alex wymienił jego nazwisko, Guidice już wiedział. Operacja dobiegała końca, i to w sposób nagły.

Spoglądając z Piątej Ulicy, na której zaparkował, widział front domu Crossa. Detektyw nigdzie się nie pokazał, ale to już nie potrwa długo. Jego wóz stał obok krawężnika. Zostawił otwarte drzwi, kiedy przed chwilą wbiegał do domu.

Guidice trzymał berettę schowaną w rękawie marynarki. Na ulicy było parę osób. Jakiś mężczyzna przycinał żywopłot. Kobieta z dwojgiem małych dzieci na rowerkach na chodniku. Zwracanie na siebie uwagi już teraz nie miało sensu. To się stanie na widoku, a Guidice potrzebował elementu zaskoczenia.

Nie wybrałby takiego czasu, miejsca ani metody, gdyby mógł wybierać, ale to nie miało już znaczenia. Stał się pazerny. Pozwolił Alexowi cierpieć o jeden dzień za długo, to wystarczyło, by ten połączył kilka ostatnich elementów.

Ale może to i dobrze. Może nawet doskonale, myślał Guidice, obserwując drzwi. Alex dostanie kulkę w łeb tu, na ulicy, w miejscu, w którym tak bardzo i tak daremnie starał się zapewnić bezpieczeństwo swojej rodzinie.

A wtedy detektyw Alex Cross, wzorzec stołecznego policjanta, osobiście udowodni światu swoją niekompetencję w najbardziej jednoznaczny sposób.

Zatem świetnie, myślał Guidice. Chce mnie poszukać? Nie będzie musiał daleko się rozglądać.

Rozdział 108

– Nie rób tego, Alex!

Dopiero kiedy Bree zbiegła za mną z tylnego ganku, przypomniałem sobie, że wszedłem od frontu. Przeważnie objeżdżałem dom i stawiałem samochód w garażu, ale tego dnia nic nie działało się tak jak zwykle.

Gdy odwróciłem się, była tuż za mną.

– Daj mi pół minuty – poprosiła. – Każę Sampsonowi zgłosić sprawę. A potem z tobą pójdę. Chociaż tyle dla mnie zrób.

Chwytała się wszystkiego. Może liczyła, że w samochodzie mnie przekona.

– W porządku – zgodziłem się. – Czekam przed domem.

– Dobra. – Spojrzała na mnie jeszcze raz i wbiegła do domu. – Będę raz-dwa.

Ale ja nie miałem zamiaru na nią czekać. Cokolwiek się stanie z Guidice'em, odbędzie się między nim a mną. Nie było sensu jej w to wciągać. Ani kogokolwiek innego.

Przeszedłem wąskim pasem dzielącym nasz dom od domu sąsiadów, przez zamkniętą bramę i dalej na Piątą Ulicę, gdzie stał mój samochód. Nawet się nie obejrzałem. Wsiadłem, uruchomiłem silnik i odbiłem od krawężnika. Gdybym nie zerknął w lusterko wsteczne, by zobaczyć, czy coś nie nadjeżdża, w ogóle nie zauważyłbym Guidice'a. Stał na samym środku ulicy z ręką uniesioną w moim kierunku. Nie dostrzegłem pistoletu, ale w jednej chwili rozpoznałem postawę.

Szarpnąłem z całej siły w lewo i w tej samej chwili tylna szyba rozprysła się i spadła deszczem szklanych odłamków. Spojrzałem jeszcze raz – Guidice już nie stał. Pędził prosto na mnie z uniesioną bronią.

Z dudniącym w piersi sercem stoczyłem się na siedzenie obok, otworzyłem drzwi po stronie pasażera i spadłem na jezdnię. Trzymałem już w ręku glocka i spoglądałem nad krawędzią drzwi, by wypatrzeć przeciwnika. Zorientowałem się, że jest wyszkolony. Zbliżając się, nie zasypywał auta gradem pocisków. Czekał na możliwość oddania pewnego strzału.

Ja także czekałem. Jacyś ludzie krzyczeli na ulicy, biegali we wszystkie strony, szukając osłony. Z tej odległości nie mogłem sobie pozwolić na strzelanie gdzie bądź. Jeśli chybię, mogę trafić kogoś innego.

Guidice nie zaprzętał sobie tym głowy. Gdy tylko mnie wypatrzył za drzwiami wozu, wypalił szybko dwa razy. Schyliłem się i usłyszałem dwa głuchoe łupnięcia pocisków w karoserię.

Parę osób wciąż biegło chodnikiem gdzieś za moimi plecami. Jeśli czegoś nie zrobię, sytuacja może się tylko pogorszyć.

Niemal instynktownie trzymając się blisko ziemi, okrążyłem samochód z przodu. Może przy odrobinie fartu uda mi się zaskoczyć Guidice'a, gdy podejdzie bliżej i znajdzie się w zasięgu łatwego strzału.

Dotarłem do czoła samochodu i pozwoliłem sobie na szybkie zerknięcie. Zobaczyłem go, był niespełna dziesięć metrów ode mnie i pędził. Nadeszła ta chwila. Jeden z nas musi paść.

Wstałem błyskawicznie, trzymając glocka w obu dłoniach, gotów nacisnąć spust... Ale nie zdążyłem. Spojrzałem Guidice'owi prosto w oczy i w tej samej chwili huknął strzał.

Potknął się i runął twarzą na ziemię z rozpostartymi ramionami. Nawet nie próbował się podeprzeć.

– Alex!

Uniosłem głowę i zobaczyłem Bree schodzącą po schodach naszego domu. Trzymała w dłoniach uniesionego glocka 19 i nadal mierzyła w kierunku rozciągniętego na ziemi Guidice'a.

– Nic ci nie jest?! – krzyknęła.

– Wszystko gra.

Zobaczyłem, że trafiła go w szyję. Prawdopodobnie dostał w arterię, bo

krwawienie biła strumieniem. Ciemna kałuża rozlewała się wokół niego na chodniku.

Sampson podążał tuż za Bree.

– Karetka w drodze – powiedział i stanął na widok Guidice’a.

Rozdarłem koszulę i przycisnąłem materiał do rany na szyi, ale krwawienia nie sposób było powstrzymać. Nie kawałkiem koszuli. Guidice chyba także o tym wiedział. Szarpnął się i chciał odwrócić, żeby spojrzeć mi prosto w oczy. Klęczałem obok.

– Gratuluję – wydusił. – Nie myślałem, że cię na to stać...

– No proszę, a jednak – odezwała się drżącym głosem Bree.

– Posłuchaj mnie – powiedziałem. – Gdzie jest Rebecca Reilly? To ty ją porwałś, Guidice? Mów, czy to ty? Ty jesteś Russell?

Nadal usiłowałem złożyć w całość poszczególne fragmenty układanki i wydawało mi się, że moje podejrzenia są uzasadnione, ale miałem także świadomość, że nie zostało wiele czasu. Guidice już prawie nie żył.

Wtedy złapał mnie za rękę i oderwał się na kilka centymetrów od betonu. Chciał przełknąć to, co zatkało mu gardło, jego szczęką opadła bezwładnie.

– Powiedz moim dziewczynkom... powiedz im...

– Odpowiedz na moje pytanie! – Musiałem walczyć z własnymi uczuciami. Wszystko odpychało mnie od niego, kazało odstąpić i zostawić, by wykrwawił się do końca.

Zanim zdołałem wypowiedzieć następne słowo, Guidice’em wstrząsnęły konwulsje. Wypluł na siebie dużą ilość krwi, drgnął jeszcze raz i znieruchomiał. Głowa opadła na chodnik, otwarte oczy wciąż skierowane były na mnie. W każdym razie tak mi się zdawało.

Usłyszałem syrenę, zbliżała się.

– No i z głowy – rzucił Sampson. – Już po nim.

– Oby zgnił w piekle – warknęła Bree.

Spojrzałem na nią; takiego wyrazu twarzy jeszcze nigdy u niej nie widziałem. To najbardziej opiekuńcza osoba, jaką znam. W pewnym sensie wszystko, co czułem, przeszło na nią.

I znowu płakała. Bez wątplenia myślała o biednej Avie. Cokolwiek

Guidice jej zrobił, wykorzystał ją niczym pionka tylko po to, by się dostać do mnie.

Wiedzieliśmy jedynie tyle, że już ani jedno ludzkie życie nie zostanie zmarnowane przez Rona Guidice'a. Zapewne, gdyby w grę wchodziła inna sprawa, taka myśl byłaby pocieszająca.

Ale nie tym razem. Rebecca Reilly wciąż gdzieś tam była. A Ava zginęła. Nic nie mogło nas pocieszyć po tym wszystkim, co się stało. Na pewno nie od razu. Sami musimy się z tym uporać, w swoim czasie.

Mimo to wiedziałem, że jakoś damy radę.

Epilog

Krąg życia

Rozdział 109

Wkrótce po tym, jak Guidice umarł, w pełni wyjaśniła się jego sytuacja. Gdy nazwisko syna trafiło na czołówki wszystkich gazet w kraju, matka zadzwoniła na policję.

Po pięciu dniach i dwóch niezależnych badaniach DNA potwierdzono, że dziecko, którym opiekowała się Lydia Guidice, to w rzeczywistości Rebecca Reilly. Oraz że jej siostra, Emma Lee Guidice, jest biologiczną córką Rona Guidice'a i Amandy Simms, pierwszej spośród jego ciężarnych ofiar.

Wzbudziło to najrozmaitsze, głośnie spekulacje na temat Avy i tego, co chciał jej zgotować, zanim zginęła. Mieliśmy już jednak za sobą kremację jej ciała. Ceremonia pożegnalna była kameralna. Nie miała wyników badań uzębienia, jej szczątki zidentyfikowano na tyle, na ile było to możliwe.

No i tak. Żadne z nas nie było gotowe zmierzyć się z możliwością, że przed śmiercią była w ciąży. Pytanie miało rozplynać się we mgle wielkiej niewiadomej, co, być może, było najlepsze.

Ale zawsze będę o tym myślał. Będę się zastanawiał nad wieloma elementami tej sprawy.

Kiedy Biuro Opieki nad Dzieckiem i Rodziną przejęło pieczę nad dwiema córkami Guidice'a, Bree i ja współpracowaliśmy z nimi, zabiegając, by pani Guidice mogła raz na jakiś czas widywać się z dziewczynkami. Może nie miała kompetencji, by je wychować, ale nie popełniła rażących zaniedbań. Przede wszystkim budziła we mnie współczucie.

Stephanie zgodziła się prowadzić ich sprawę i przyrzekła, że nie spocznie, dopóki nie znajdzie domu, w którym obie dziewczynki będą mogły razem zamieszkać. Tymczasem trafiły do małego, dobrze kierowanego przejściowego ośrodka opiekuńczego w Foggy Bottom.

Nawet nie mogło nam przemknąć przez myśl, by wziąć do siebie Rebecę i Emmę Lee, bo dopiero co utraciliśmy Avę. Jednak w ciągu pierwszych miesięcy wraz z Bree kilkakrotnie odwiedziliśmy ośrodek.

– Proszę, proszę – powiedziałem, kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy Rebecę. Bree powoli kołysała niemowlę w przód i w tył, jakby robiła to milion razy. – Dobrze ci to idzie.

Wzruszyła tylko ramionami i patrzyła na maleństwo tak – no cóż, muszę to powiedzieć – jak tylko kobieta może patrzeć na dziecko.

Temat posiadania własnych dzieci już właściwie nie figurował na liście. Rozmawialiśmy o tym przed ślubem i zostawiliśmy tę kwestię za sobą. Ale życie czasem zatacza krąg. Już myślałeś, że masz coś z głowy, a to nagle wraca i staje przed tobą w całej okazałości.

Nie mówię, że tego dnia podjęliśmy z Bree nowe decyzje, ani nawet, że zamierzaliśmy je podjąć. Ale gdybym miał zgadywać, rzekłbym, że przenikały nas podobne uczucia, kiedy tak kołysała do snu małą Rebecę.

Po chwili uniosła głowę i zauważyła, że się jej przyglądam.

– No co? – spytała.

– Nic.

Uśmiechnęła się, jakby odgadła moje myśli.

– Nic, tak?

Teraz ja z kolei wzruszyłem ramionami.

– Cudownie w tej chwili wyglądasz – powiedziałem. – I tyle.

– To przez nią – odparła Bree. – To ona dobrze na mnie wygląda.

Nie sposób było zaprzeczyć.

Rozdział 110

– Wejdz, Alex, siadaj. Miło cię widzieć.

Mam niemało podziwu dla Adele Finaly. Uważam ją za jedną z najlepszych psychoterapeutek, jakie miałem okazję widzieć w akcji.

Zapewne dlatego godzę się na jej zasadę nienoszenia obuwia w czasie sesji. Nawet już o tym nie myślę. Po prostu zostawiam tenisówki na macie przed drzwiami jej pełnego roślin gabinetu, wchodzę i siadam tam gdzie zawsze, na kanapie.

– Sporo wody upłynęło – zaczęła, sadowiąc się na fotelu w kwiaty. – Coś konkretnego cię do mnie sprowadza?

Przypomina mi Audrey Hepburn lub Lenę Horne. Ma szczególną umiejętność, potrafi być niewiarygodnie bystra, a zarazem przystępna.

– Najstarsze pytanie w książce. W mojej książce.

– Mmm. – Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. – Ach, to pytanie.

Spora część sesji upłynęła mi na relacjonowaniu wydarzeń minionego miesiąca. Wiedziała, kim jest Ava, ale nie wiedziała, jak straszny obrót przybrały sprawy.

Opowiedziałem jej również o Ronie Guidisie. Nie tylko o tym, co uczynił, ale i o tym, czego doświadczyłem ostatniego dnia. Oraz o tym, że gdyby sprawy potoczyły się inaczej, inne byłoby zakończenie tej historii. Nie wiedziałem, że jestem w stanie tak bardzo kogoś nienawidzić, i aż mnie to przeraziło.

– Mówię sobie, że tym razem poszło o coś innego. Że sprawa była osobista. Dotyczyła Avy i trafiła mnie do szpiku kości. Już nie wspomnę o dwóch innych bardzo ważnych śledztwach, w których brałem udział.

– Owszem, sprawa była szczególna – przyznała Adele. – Ta dziewczynka mieszkała w twoim domu i bardzo możliwe, że oficjalnie stałaby się

członkinią waszej rodziny. Twoją córką.

Potwierdziłem skinieniem głowy; nie byłem pewien, czy potrafię o tym mówić i nie pęknąć.

– Alex – odezwała się Adele, nachylając się ku mnie i kładąc mi rękę na nadgarstku. – Problem w tym, że jeśli o ciebie chodzi, to sprawa jest szczególna. Zawsze znajduje się powód, dla którego przeginasz i lądujesz w strefie ciemności.

Prawda, sama prawda. Nie znalazłem na to odpowiedzi. Adele mówiła więc dalej. Zawsze mogę liczyć, że pokaże mi obie strony medalu.

– Wiesz, co jeszcze można powiedzieć bez ryzyka pomyłki? Są na tym świecie podłe dranie. I ktoś musi się parać tym, czym się parasz, a my jesteśmy wielkimi szczęściarzami, że robisz to tak dobrze. Co jednak nie znaczy, że czasem nie przeginasz i nie przejmujesz się za bardzo. Tak myślę, Alex. I wtedy się o ciebie martwię, martwię się tym, co może ci się przytrafić... Twojej duszy.

– Ty się o mnie martwisz? – spytałem z uśmiechem. – Adele, aż się wzruszyłem.

Wiedziała, że to unik, i nie dała się nabrać. Drążyła dalej.

– Może powinniśmy przestać pytać, dlaczego jesteś taki, jaki jesteś, i skupili się na kwestii, czy coś, cokolwiek, można na to poradzić.

Spojrzałem na nią trochę potulnie.

– Chcę do ciebie przychodzić tak długo, aż mnie zemdli od słuchania samego siebie i będę wreszcie gotów na to, by coś zmienić. Zmienić coś naprawdę.

Adele odchyliła się na oparcie fotela i popatrzyła na mnie, jakbym wygrał szkolny konkurs ortograficzny.

– No i całkiem dobra odpowiedź. Tak na początek.

– A ty? Gdybyś uprawiała hazard, postawiłabyś na to, że będę cię nawiedzał do końca moich dni? Że będę przychodził i zadreślał cię w kółko tymi samymi cholernymi pytaniami?

– Boże drogi, oby nie. Jesteś ode mnie dwadzieścia lat młodszy.

Zawsze potrafi we właściwej chwili rzucić coś do śmiechu. Ujmuje mnie

tym.

– Wiesz, co mam na myśli – podjąłem. – Kiedy wreszcie uda nam się to rozgryźć?

– Jeśli dalej będziesz do mnie przychodził? Może kiedyś...

– Może kiedyś? I to ma być twoja odpowiedź?

– Tak, i będę się jej trzymać.

Pewnie miała rację. Kiedyś, pewnego dnia, znajdziemy rozwiązanie. Rozpracujemy sprawę.

No, chyba że się nam nie uda. Nikt lepiej ode mnie nie wie, że słowo „kiedyś” to pojęcie, a nie pewnik. Nie ma gwarancji, że kiedyś osiągnę jakiś cel, nawet jeśli miałyby nim być jutrzejsze śniadanie. Jednakże na tej samej zasadzie muszę brać taką możliwość w rachubę.

W przeciwnym bowiem razie nie mam nic. A to do mnie niepodobne.

[1](#) *Creep* (ang.) – kreatura.

[2](#) *Green Eggs and Ham* (*Zielone jajka i szynka*) – książka dla dzieci Dr. Seussa.

JAMES PATTERSON

CROSS

MY

HEART



**YOU THINK YOU KNOW
ALEX CROSS.**

THINK AGAIN.

